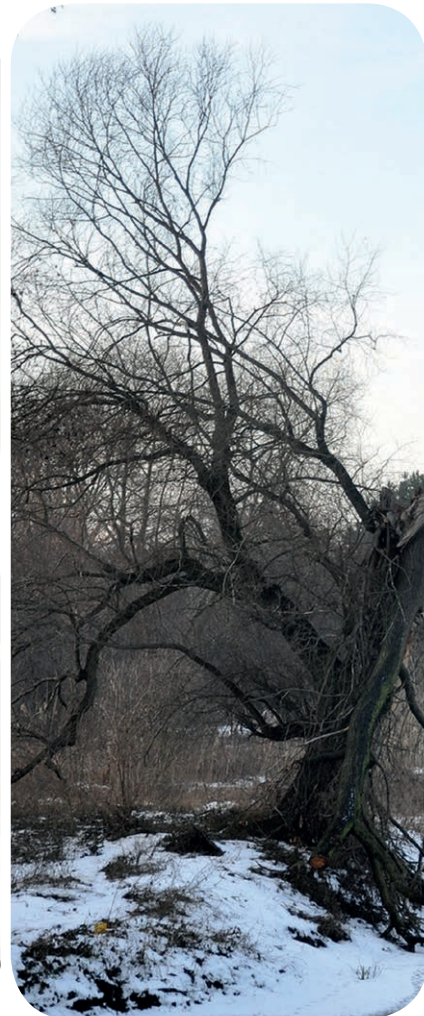




KWARTALNIK KULTURALNY TOWARZYSTWA PTAAK | NR 2 (2) PAŹDZIERNIK 2016

Kulturalnik Poznański

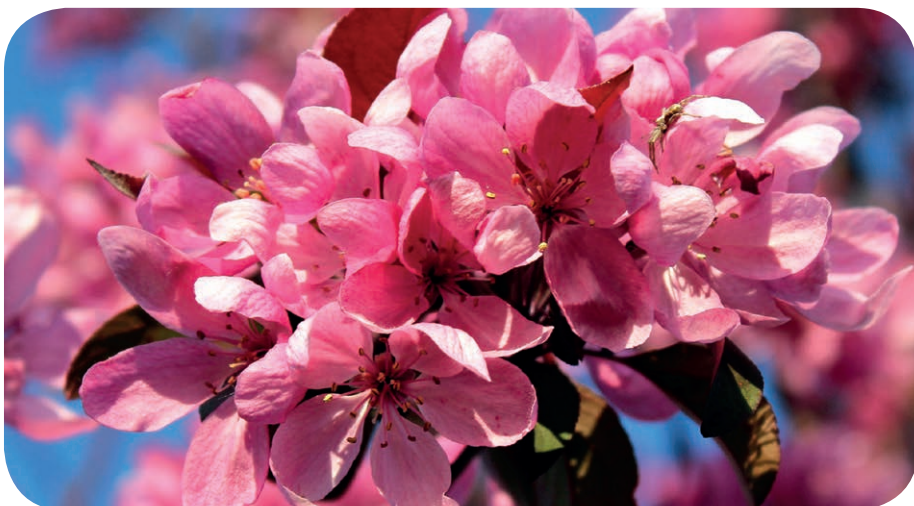




POZNAŃSKA PRZYRODA PRZEZ 365 DNI

BARTOSZ M. KAJ

Za oknami trwa w najlepsze mieniąca się całą paletą barw jesień, która wielu zachwyca swym swoistym pięknem. Na naszych łamach mały fotoreportaż ukazujący piękno przyrody, które można podziwiać cały rok niezależnie od miesiąca. Najwięcej miejsca rzecz jasna zajmuje wiosna, która to jest dla wielu najpiękniejszą z pór roku. Zdjęcia przyrody zostały wykonane wyłącznie na terenie Poznania - zarówno w licznych parkach jak i innych równie urokliwych terenach zielonych. •





SŁOWO WSTĘPNE

Szanowni Czytelnicy

Oddajemy w Wasze ręce drugi numer „Kulturalnika Poznańskiego”. Pierwszy zdominowany był przez wydarzenia związane z 1050-leciem Chrztu Polski oraz kolejną edycją Ery Jazzu. W tym numerze dużo miejsca zajmują koncert De Press z okazji 60. rocznicy Poznańskiego Czerwca oraz wydarzenia towarzyszące rocznicy urodzin Elvisa Presley’a. Ponadto przyjrzymy się bliżej poznańskiej Farze, a zwłaszcza jej organom.

W naszej galerii będzie można zobaczyć uroki jesieni oraz piękno przyrody w Poznaniu. Natomiast miłośnicy żelaznych szlaków będą mogli poczytać o wycieczkach kolejowych oraz o poznańskich liniach turystycznych.

Dla osób lubiących kulturę retro adresowany jest *Kącik „Radio Yesterday”*, w którym przypomnimy artystów, płyty, filmy oraz styl życia z czasów PRL. W ten klimat wpisują się także artykuły o modzie na płyty winylowe oraz o poznańskim Muzeum Unifry. Kącik nawiązuje do audycji „Radio Yesterday”, która emitowana była w każdą sobotę na antenie Radia Merkury Poznań.

Czytelnikom lubiącym czytać książki, polecamy recenzję powieści Andrzeja Górnego „Idź, tam gdzie jesteś” oraz wywiad z autorem. Również warta polecenia jest rozmowa z Piotrem Kałużnym. Ponadto polecamy zapowiedzi i relacje z koncertów oraz felietony naszych autorów.

„Kulturalnik Poznański” wychodzi na przeciw tym, którzy twierdzą, że w Poznaniu nic się nie dzieje - informujemy o spektaklach, koncertach, wystawach i ciekawych wydawnictwach, szczególnie, jeśli są dziełem poznańskich artystów. Jednocześnie chcemy sprawdzić na ziemi osoby, które uważają Poznań za miasto kultury. Niestety nasze miasto nie wykorzystuje potencjału miejscowych twórców.

Dzięki uprzejmości Radia Merkury do naszego czasopisma dołączamy płytę EP-kę zespołu De Press z piosenkami nagranych do tekstów opowiadających o wydarzeniach z 28 czerwca 1956 roku.

Czy i kiedy ukażą się kolejne numery „Kulturalnika Poznańskiego” zależy od wielu czynników. Mamy jednak nadzieję, że nasze czasopismo przypadnie Państwu do gustu i będą Państwo czekać na kolejne wydania oraz zaglądać na naszą stronę internetową kulturalnikpoznancki.blogspot.pl oraz na nasz profil na Facebooku. Wtedy możliwe będzie, że uda nam się rozwinąć i zaistnieć na dłużej.

Michał Sobkowiak
Redaktor Naczelny

Wydawca – Polskie Towarzystwo Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAAK,



sfinansowanie Samorząd miasta Poznania

POZnań*

Redaguje zespół redakcyjny w składzie: Michał Sobkowiak – redaktor naczelny, Tamara Przepis – sekretarz redakcji, Bartosz Kaj – foto, Jacek Lerch, Natalia Mikołajska, Andrzej Wilowski, Druk – Grafikon Wojciech Konowski

SPIIS TREŚCI

- | | | | |
|-----------|---|-----------|--|
| 1 | SŁOWO WSTĘPNE | 32 | TURYSTYKA KOLEJOWA |
| 3 | PIOTR KAŁUŻNY
MUZYK POSZUKIWANY | 33 | KOLEJNY UDANY SEZON
PRZESZEDŁ DO HISTORII |
| 4 | DE PRESS W HALI W-7 | 34 | Z NASZYM ŚWIATEM? |
| 5 | PATRIOTYCZNY ROCK | 36 | O NIEOBOJĘTNYM KONCERCIE
EWELINY I PIOTRA |
| 6 | POZNAŃ 56 | 37 | PAMIĘTAJMY O OGRODACH |
| 8 | ERA JAZZU NA BIS: LIZZ WRIGHT | 38 | HISTORIA PEWNEGO MNIE |
| 9 | POZNAŃSKI JAZZ PROJEKT ERY
JAZZU | 40 | FORTEPIANISTA JACEK KORTUS |
| 10 | KĄCIK „RADIA YESTERDAY”
– SŁOWO WSTĘPNE | 42 | ŚPIEWANA NIE TYLKO DLA POETÓW |
| 11 | MUZEUM UNITRY | 43 | JUBILEUSZ ZESPOŁU WOKALNEGO
KONSONANS |
| 12 | LOMBARD – LEGENDA WCIĄŻ ŻYWA | 44 | VII WYŚCIG JASZCZURÓW |
| 14 | ZDZISŁAWA SOŚNICKA – GWIAZDA
NIEJEDNEGO SEZONU | 45 | WODNIKI POD LIPAMI |
| 16 | URSZULA SIPIŃSKA | 46 | TWÓJ CZŁOWIECZY,
SZCZĘŚLIWY LOS... |
| 17 | PAMIĘTAJMY
O ANDRZEJU SOBCZAKU | 47 | HAPPENING GITAROWY |
| 18 | PO CYGAŃSKU, Z SERCEM! | 48 | POZNAŃSKIE BOOGIE –
WSPOMNIENIE O WOJTKU |
| 19 | MUZYKALIA PIOTRA WIZA | 50 | CZAS JEST ILUZJĄ |
| 20 | FORCOM BAND | 56 | BO JA MAM TAM TAKI KRAMIK... |
| 21 | LAUREAT TEGOROCZNEJ
STATUETKI WODNIKA | 59 | WYNYL ZNÓW POPULARNY |
| 22 | WODNIKI, ACH WODNIKI | 60 | WOLNOŚĆ MAMY JAK NAM JĄ
NARYSUJĄ |
| 24 | PAMIĘTAMY ELVISA PRESLEYA | 61 | POETKA HELENA GORDZIEJ |
| 26 | POWIEDZIELI, CO WIEDZIELI... | 62 | ANDRZEJ GÓRNY
„IDŹ, TAM GDZIE JESTEŚ” |
| 28 | WYWIAD PERKUSYJNY | 63 | JAROSŁAW ANCZEWSKI |
| 30 | PIERWSZY TAKI REJS | 64 | TADEUSZ WIERZBICKI |
| 31 | Z KOMUNIKACJĄ ZBIOROWĄ NA TY | 64 | STEFAN POPŁAWSKI |

PIOTR KAŁUŻNY MUZYK POSZUKIWANY

Piotr nie jest celebrytą, choć w branży estradowej szanowany. Publiczność nie ma tej świadomości, że bez niego wiele imprez nie doszłoby do skutku. Kiedy w Poznaniu powstaje –jak to się dziś nazywa – jakiś muzyczny projekt i potrzebny jest aranżer, dyrygent, czy tylko akompaniator, na liście pierwsze nazwisko jakie się pojawia, to Piotr Kałużny. Nie tylko dlatego, że jest koleżeński, ale z powodu rozległych kompetencji i niezawodności.

ANDRZEJ WIŁOWSKI

Uratował nie jedną imprezę, kiedy solista był niedysponowany, jak pamiętny występ Jana Izby Izbińskiego w klubie „Blue Note”. Nie raz wystąpił na zastępstwie, ratując organizatorów przed katastrofą. Jednak działalność Piotra to nie tylko estradowe pogotowie ratunkowe, raczej margines, choć absorbujący.

Jeszcze więcej energii oddaje pasji pedagogicznej, jako wykładowca poznańskiego uniwersytetu i wrocławskiej akademii muzycznej. We Wrocławiu jest znany jeszcze z innego powodu. Parokrotnie jego uczen-nice zdobywały nagrody na wrocławskim festiwalu piosenki aktorskiej, a on sam zdo-

bywał laury jako kompozytor. Szkoda, że tak mało pisze piosenek. Nie wiadomo, czy to dlatego, że nie ma odpowiedniego materiału literackiego, czy brak zainteresowania ze stron gwiazd estrady.

Niejako na marginesie działalności pedagogicznej, napisał unikalny w polskiej literaturze muzycznej, podręcznik harmonii dla adeptów sztuki estradowej.

Dyskografia Piotra Kałużnego jest bogata. Możemy go usłyszeć jako akompaniatora na płytach wielu wykonawców. Ja wyróżniłbym album Grzegorza Tomczaka „Miłość to za mało”. Albumy autorskie Piotra możemy znaleźć na różnych półkach. Począwszy od jazzowych transkrypcji staropolskich pieśni wielkopostnych i kolęd, po jazzowe interpretacje klasyków. Ja najwyżej sobie cenie dwupłyty album z fortepianowymi transkrypcjami Coltrainea. Szkoda, że przez krytykę niemal nie zauważony.

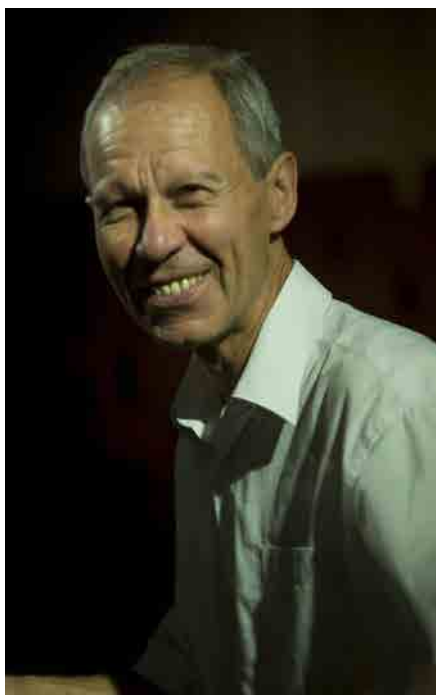
Możnaby sądzić, że Piotr Kałużny, to wyłącznie pianista i akompaniator, lubiący czasem dla relaksu pograć bluesa. Ja poznałem go prawie 40 lat temu, jako żywiołowego lidera i aranżera, kierującego dużą orkiestrą jazzową. Przed laty odbywał się w Poznaniu festiwal bigbandów jazzowych, ale zdaje się, że dziś takie przedsięwzięcia są za drogie. Jestem przekonany, że Piotr do dziś lubi duże składy, można się o tym przekonać słuchając jego aranżacji i pod batutą orkiestry na u-tube standardu Burta Bacharacha „Walk com by”, z solistką Eweliną Rajchel. Ostatnim projektem Piotra Kałużnego jest kolekcja



Ewelina Rajchel i Piotr Kałużny

standardów muzyki rozrywkowej, wśród których jest kilkanaście Burta Bacharacha, w aranżacjach na orkiestry i kameralny skład, solistką jest Ewelina Rajchel, ostatnie jego odkrycie. Program z Burtem w roli głównej w wersji kameralnej prezentował w ubiegłym roku w poznańskim klubie „Blue note”.

Klasyk sięga po klasyków? Bynajmniej, mimo długiego stażu estradowego Piotr jest niezmiennie młodzieńczy i poszukujący, każdemu nowemu przedsięwzięciu oddaje się z pasją i możemy się po nim spodziewać jeszcze nie jednego zaskakującego pomysłu, a chwilowo życzyłbym sobie u publiczności częstszych prezentacji „śpiewników klasyków” w wykonaniu Piotra i Eweliny. •



Piotr Kałużny

DE PRESS W HALI W-7

Hala W-7. Zakłady Hipolita Cegielskiego w Poznaniu. To tutaj produkowano w czasach PRL wyroby „S”, czyli elementy uzbrojenia dla Układu Warszawskiego. To tutaj 28 czerwca 1956 roku robotnicy zakładu postanowili przerwać pracę i wyjść na ulice Poznania, aby zaprotestować przeciwko władzy, która tylko z nazwy była „ludowa”.

ARKADIUSZ KOZŁOWSKI

25 czerwca 2016 roku – Hala W-7 po latach zapomnienia ponownie zapełniła się Poznaniankami. Wszystko za sprawą koncertu grupy De Press, który był jednym ze znaczących elementów obchodów 60-lecia Rocznicy Czerwca 1956.

Radio Merkury – Regionalna Rozgłośnia Polskiego Radia w Poznaniu – namówiło lidera zespołu De Press – Andrzeja Dziubka – do napisania utworów, które bazując na tekstach z tych dramatycznych dni, dały współczesne świadectwo pamięci poznańskiego powstania.

Powstały 4 nagrania wydane na płycie, którą można otrzymać m. in. z niniejszym numerem „Kulturalnika Poznańskiego”.

Finałem tego wielowątkowego wydarzenia był niedzielny koncert zespołu. W historycznej hali pojawiło się około 500 osób, które znalazły się w scenerii opuszczonej od lat przestrzeni, gdzie o wczorajszej potęgde tego miejsca świadczyły tylko resztki urządzeń fabrycznych, które nikomu i niczemu obecnie nie służą.

De Press to zespół bardzo ważny dla historii i współczesności polskiej muzyki. Gra bezkompromisowo i tylko te dźwięki, które uznaje za wiarygodne. Mieliśmy więc post punk wzbogacony o folkowe tony i balladowe nastroje.

Największe poruszenie wywołała koncertowa wersja utworu do wiersza Kazimierza Iłakowiczówny „Rozstrzelano moje serce w Poznaniu” – utworu prezentowanego w Radiu Merkury Poznań od wielu dni, który stał się już w Wielkopolsce kultowym.

Równie emocjonalnie reagowała zgromadzona publiczność na utwór „Czarny czwartek” do tekstu, który powstał kilka dni po spacyfikowaniu poznańskiego powstania. Muzycy przy-



ZDJEŃCIA ANNA ADAMCZYK



ZDJEŃCIA ANNA ADAMCZYK

gotowali także koncertowe wersje nagrań wydanych na 4-nagraniowej płycie: „Idziemy na UB”, „Za wolność” (do słów uczestnika z tamtych dni Włodzimierza Marciniaka) oraz pieśń przyjaźni polsko-węgierskiej „Nie do zmiażdżenia”. Ta ostatnia piosenka powróciła na bis w węgierskiej wersji językowej (w zapowiedzi lider De Press odwołał się do swoich węgierskich korzeni rodzinnych).

Godziny występ zawierał także utwory z przygotowywanej płyty o Czerwcu 1956 („Romek Strzałkowski”, „Poznańskie krzyże”), a także odniesienia do tematyki żołnierzy wyklętych („Rebe-

lianci”) oraz inspirującą wersję „Ballady o Janku Wiśniewskim”, będącą muzycznym symbolem wydarzeń z grudnia 1970 roku na Wybrzeżu.

Grupa De Press wystąpiła w składzie: Andrzej Dziubek – wokalista, Dariusz Budkiewicz – bas, Seweryn Piętka – perkusja, Tomasz Fudała – gitara, Rafał Nowak – akordeon.

Po zakończeniu koncertu publiczność zaproszona została do symbolicznej konsumpcji (chleb ze smalcem, ogórek, kiełbasa, kawa zbożowa) oraz otrzymała egzemplarz pamiątkowej EP-ki wydanej przez Radio Merkury, która poprzedza album zespołu zapowiadany na październik 2016 roku.

Uzupełnieniem scenicznej kreacji zespołu były działania multimedialne (na ekranach zdjęcia i filmy dokumentujące tamte chwile) oraz prezentacja fragmentów listów, które w czerwcu 1956 roku napływały do Polskiego Radia.

Koncert powstał przy współudziale TVP3, IPN i Polskiego Radia i był transmitowany przez Telewizję Polską oraz Polskie Radio dla Ciebie (Warszawa), Radio Lublin i Radio Kraków. •

PATRIOTYCZNY ROCK

W niedzielę 26 czerwca spotkaliśmy się w hali W7 opuszczonej przez zakłady Cegielskiego, odbył się niezwykle koncert z okazji 60 rocznicy czerwcowej rezurekcji w Poznaniu. W programie był muzyczny hołd bohaterom tamtych wypadków. Specjalny program na tę okazję przygotował Andrzej Dziubek z formacją De Press.

ANDRZEJ WILOWSKI
KRZYSZTOF WODNICZAK

Tego niepokornego artysty nie trzeba przedstawiać, choć rzadko gości na antenach radiowych, galach i festiwalach. Przypomni tylko, że od lat specjalizuje się w gatunku, który nazywamy „patriotycznym rockiem”. W repertuarze ma pieśni legionowe, ale i „Balladę o Janku Wiśniewskim”, którą też przypomniał na koncercie w Ceglarzu. Występ poprzedził komentarz historyczny. De Press zaczęli od dwóch pieśni do słów Włodzimierza Marciniaka „Za Wolność „ Czerwiec 56”. Te teksty, to spontaniczna reakcja na uliczne walki. Inny klimat wywołała rockowa ballada do słów Kazimierzy Iłakowiczówny „Rozstrzelano moje serce”, mocną w wyrazie, ciskającą w gardle. „Czarny Czwartek” wiersz Franciszka Fenikowskiego, oprawiony w rockowe akordy zabrzmiał zupełnie inaczej, niż znany z aktorskich recytacji, jak apel, pieśń buntu. Pieśń o Romku to pamięć Strzałkowskiego, najmłodszego bohatera i ofiary poznańskiego czerwca. W tekście pieśni „Idziemy na UB” Byrski przypomina epizod walki pod siedzibę bezpieki na ulicy Kochanowskiego. Największe wrażenie wywołała porównująca poznański czerwiec z budapesztańskim październikiem. Pochód po wolność dwóch narodów. W muzyce Dziubek nawiązał tu do węgierskiego folkloru. Czego pragnęli poznańscy powstańcy, opowiada piosenka „Poznańskie Marzenie ‚56”, której słowa napisała Anna Żochowska. Przypomnieli kilka pieśni historycznych. anonimową piosenkę partyzancką z czasu II Wojny Światowej, „Myśmy Rebelianci”. Solidarnościowa pieśń „Janek Wiśniewski Padł” do słów Krzysztofa Dowgiałła, zyskała nowe nuty

ZDJĘCIE ANNA DOLSKA



Pół tysiąca poznaniaków wysłuchało koncertu De Press

napisane przez Andrzeja Dziubka. „Orla Wrona nie pokona” tekst napisali internowani z Jaworzna, z nową muzyką Andrzeja Dziubka w tej wersji znany z youtube. Wolimy nie myśleć co by się działo, gdyby był wykonany na którejś z demonstracji w czasie stanu wojennego. Kanon patriotyczny zakończył utwór „Poznańskie krzyże” do tekstu Wojciecha Zmiażdżenia” tym razem w węgierskim tłumaczeniu Akoas Engelmayera. Czy stanie się przebojem na Węgrzech, czas pokaże. Wszystko odbyło się w postindustrialnej scenografii. W hali pozostały resztki przemysłowych instalacji i unosił się zapach smarów. Żaden awangardzki artysta instalator nie wymyśliłby lepszej scenografii. To, co przemawiało, to z nim autentyczność i szczerść przekazu. Andrzej Dziubek ma rockową charyzmą,

a grający z nim muzycy potrafią z gitary wyjść poza bierność wydobyć śpiewne riffy, ale też drapieżne dźwięki, jak muzycy punkowi. Po koncercie poczęstunek w konwencji luksusu sprzed 60 lat, chleb ze smalcem i ogórek, kawa zbożowa Turek, Dobrzanka, Marago – te marki kaw królowały w domach i zakładach pracy. Przekąszając publiczność dzieliła się wrażeniami, a niektórzy nucili zasłyszane frazy, cytowali teksty. Myślimy, że na długo ten uroczony koncert zostanie w naszej pamięci. Pomysłodawcą tego koncertu był nowy prezes Radia Merkury Filip Rdesiński, który z pomocą radiowych przyjaciół i słuchaczy dokonał rzeczy zdawałoby się niemożliwej. A jednak nie ma rzeczy w nurcie rocka niewykonalnych. •

POZNAŃ 56

28 czerwca minęła 60 rocznica wydarzeń, które określamy dziś jako „wypadki poznańskie” czy „poznański czerwiec”. Dlatego w dzisiejszym „Seansie...” przypomnimy obraz, którego akcja dzieje się w Poznaniu 28 czerwca 1956 roku.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Większość czytelników zna „poznański czerwiec” z historii, opowiadań, a niektórzy sami go przeżyli, dlatego też nie będziemy tutaj przypominać co się wtedy działo w Stolicy Wielkopolski, a skupimy się na fabule filmu Filipa Bajona.

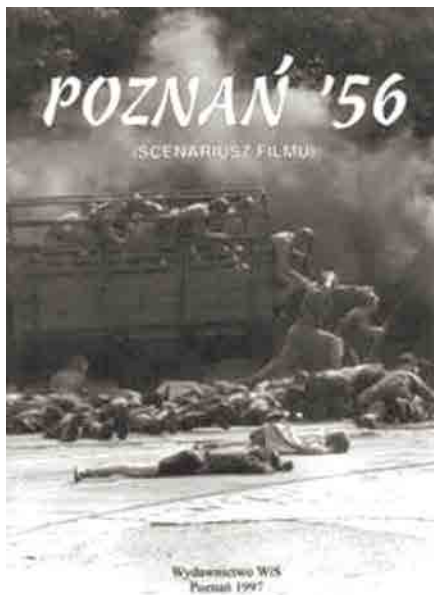
FABUŁA

Film prezentuje wydarzenia poznańskiego powstania w 1956 roku. Głównymi bohaterami tego czarno-białego filmu są dwaj chłopcy, 10-letni Piotrek, którego ojciec jest jednym z uczestników strajku, oraz 12-letni Darek, syn wysoko postawionego pracownika SB. To ich oczami widzowie śledzą rozwój wydarzeń. Ponieważ dzieci w tym wieku mają naturalną skłonność „pchania się tam, gdzie dzieje się coś ciekawego”.

Kamera ukazuje rozruchy uliczne z głębi ciemnych bram, poprzez sztachety płotów, zagracone podwórka. Wszędzie panuje chaos, a rewolucyjny mechanizm napędza się sam, „porywając” kolejnych ludzi, zaskoczonych tym, co sami sprowokowali.

Poza dwójką uczniów, w filmie Bajona odnajdziemy jeszcze kilka innych wątków. M.in. perypetie Zenka – młodego robotnika, który uniesiony emocjonalnym porywem, staje się mimowolnym przywódcą protestu, czy też historię pięciu profesorów, którzy zdążając na sympozjum naukowe do Szczecina stają się przypadkowymi świadkami rozruchów. Ich wagon władze odłączają od reszty składu, ryglują i pozostawiają na bocznym torze. Z tej perspektywy obserwują i komentują rozgrywane się wokół wydarzenia.

Film „Poznań 56” trwa 106 minut i został wyreżyserowany przez Filipa Bajona. Scenariusz napisali Andrzej Górny i Filip Bajon,



XXXXXX

natomiast muzykę skomponował Michał Lorenc. Premiera filmu odbyła się 28 czerwca 1996r., a na ekrany kin obraz trafił 22. 11. 1996r.

OBSADA

Mateusz Hornung jako Piotrek
 Arkadiusz Walkowiak jako Darek
 Michał Żebrowski jako Zenek
 Agata Kulesza jako Zośka, nauczycielka młodych bohaterów, ukochana Zenka
 Tadeusz Szymków jako Stachu Kaczmarek, ojciec Piotrka
 Maciej Kozłowski jako UB-ek
 Władysław Kowalski jako Profesor w wagonie
 Jerzy Radziwiłowicz jako Profesor w wagonie
 Jan Nowicki jako Profesor w wagonie
 Daniel Olbrychski jako Profesor w wagonie
 Janusz Gajos jako Profesor w wagonie
 Bronisław Pawlik jako Dziadek Piotrka

Mieczysław Hryniewicz jako Człowiek z walizką

Olaf Lubaszenko jako Czołgista

Robert Więckiewicz jako Robotnik

CIEKAWOSTKI

„Poznań 56” podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w 1996 roku wzbudził wiele kontrowersji. Dotyczyły one niemal wszystkiego: perspektywy narracyjnej, zgodności z faktami, montażu itd.

Film pierwotnie miał nosić tytuł „Szczuny”, jednak pod naciskiem opinii publicznej, zmieniono go na bardziej neutralny „Poznań 56”.

Scenariusz filmu oparty był jedynie na wspomnieniach jego autorów, dlatego w inny niż zazwyczaj sposób opowiada o dramatach najnowszej historii. Dzieje poznańskiego powstania ukazane są w sposób, jak to określił Bajon: „*antyroczyński, antykombatancki, antymartyrologiczny, antypolityczny i antyrozhunkowy*”. Tego nie było ani w „Człowieku z żelaza”, ani w żadnej innej produkcji z rodzimej klasyki.

W czasie wydarzeń „poznańskiego czerwca” Filip Bajon miał dziewięć lat. „*To wszystko działo się w mojej dzielnicy. Nagle na ulicach i podwórkach, na których bawiliśmy się w wojnę, zaczęła się wojna naprawdę. Pojawił się czołg, na dachu stał karabin maszynowy, wokół pełno łusek...*” – wspomina reżyser. Jego pamięć stała się jedyną kanwą scenariusza oraz wpłynęła na wybór czarno-białej taśmy, na której nakręcono film. „*Tak we wspomnieniach widzę ówczesną rzeczywistość*” – dowodził Bajon w jednym z wywiadów.

Poszczególne sceny nie tworzą przyczynowo-skutkowego ciągu, co zdaniem reżysera oddaje spontaniczność poznańskiego zrywu oraz gwarantuje jego wiarygodny obraz.



Kadr z filmu Filipa Bajona *Poznań 56*

Mimo błędów, takich jak najnowszy tabor PKP pojawiający się w scenie w wagonowni, czy też współczesne latarnie na większości ulic, film dość wiarygodnie przenosi nas do Poznania A. D. 1956. Oglądamy stare kamienice, obserwujemy stosunki międzyludzkie, widzimy radość dziecka, które pierwszy raz w życiu je banana. Dziś takie zachowania bohaterów mogą wydawać się dziwne lub niezrozumiałe, jednak należy pamiętać, że działo się to sześćdziesiąt lat temu, w zupełnie innych realiach.

Styl gry aktorskiej przypomina filmy sprzed kilku dekad. Z jednej strony aktorzy są bardzo oszczędni w wyrazie, z drugiej natomiast niezwykle melodramatyczni (Agata Kulesza w roli Zośki). Tym samym postacie nie zyskują naszej sympatii. Zabieg ten trudno nazwać „old schoolowym”, gdyż zdecydowanie jest archaiczny. Pozytywnym wyjątkiem stał się tu Michał Żebrowski, który

wnosi nieco świeżości swoją grą. Dobrze wypadli także dziecięcy aktorzy. Mimo, iż daleko im do naturalności, lecz – biorąc poprawkę na wiek chłopców – obaj godni są pochwały.

Duże brawa należą się autorom zdjęć do filmu „Poznań 56”. Sceny wyważania bramy więziennej oraz pojawienie się chłopaków wśród tłumu robotników na długo zapadają w pamięć. Gorzej wypada muzyka autorstwa Michała Lorenca, która nie jest zła, lecz jest niedopasowana do wydarzeń na ekranie.

„Poznań 56” wyreżyserował Filip Bajon, który większości widzów kojarzy się z kiepską ekranizacją „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego. Opowieść o pierwszym proteście przeciwko władzy komunistycznej w Polsce również nie zachwycała publiczności. Zarzucano filmowi, iż widzowie niewiele wiedzący na temat wydarzeń z 28 czerwca 1956

roku, w czasie projekcji dużo więcej się dowiedzą; że demonstracja ok. 100 000 ludzi walczących o Boga, wolność, chleb i godne życie oraz przeciw reżimowi zainstalowanemu przez Sowieców w Polsce, została w filmie wypaczona i zmarginalizowana. Kombatanci Czerwca 1956 mieli żal, że to nie jest film o nich. Jednak Andrzej Górny, współautor scenariusza, także jest kombatantem tamtego zrywu i jak sam przyznaje: „Zrobiliśmy film o ludziach, ich przeżyciach, a nie film historyczny”.

„Poznań 56” to film specyficzny, po części metafizyczny, po trosze psychologiczny, który opowiada o losach bohaterów na tle wydarzeń z 28 czerwca 1956 roku, a nie o samych wydarzeniach. To sztuka trudna w odbiorze. Mimo to, chociażby z lokalno-patriotycznego obowiązku, warto w okolicach kolejnej rocznicy 28 czerwca 1956 roku przypomnieć sobie film Filipa Bajona. •

ERA JAZZU NA BIS: LIZZ WRIGHT

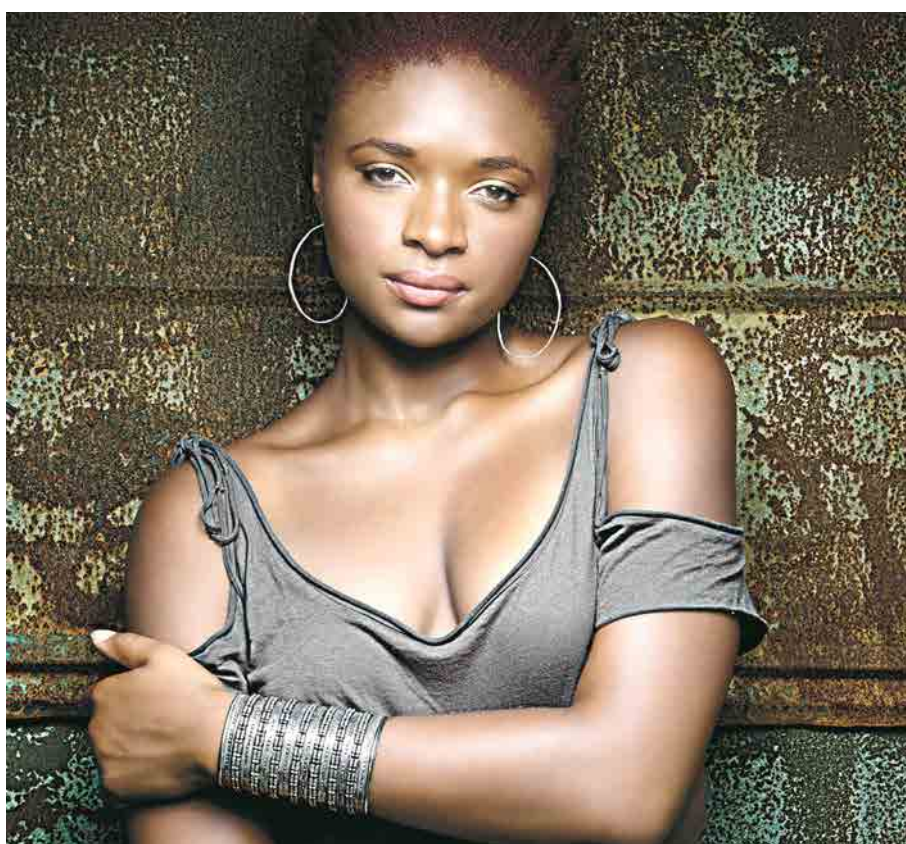
Mimo, iż tegoroczny festiwal Era Jazzu dawno za nami, to 7 listopada w Poznaniu odbędzie się gala Ery Jazzu i jedyny w Polsce koncert genialnej i charyzmatycznej wokalistki Lizz Wright. Do tego czasu jeszcze daleko, ale już dziś warto zarezerwować sobie czas.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Amerykańska pieśniarka jest dzisiaj najwspanialszym przykładem pokoleniowej zmiany jaka dokonuje się w wokalne muzyce jazzowej. Jest symbolem młodych, wschodzących gwiazd, dla których śpiewanie jazzu jest naturalną konsekwencją fascynacji bluesem, gospel, muzyką soul czy wręcz folkowymi zaśpiewami prowincjonalnej Ameryki oraz inspiracjami czerpanymi z egzotycznej muzyki etnicznej.

Korzenie muzyki i sztuki wokalne Lizz Wright – rekomenduje koncert Dionizy Piątkowski, szef Ery Jazzu – są odniesieniem do tego, czym fascynuje się i kulturowo przenika Czarna społeczność amerykańskiego Południa. Rozkołysany soul, rhythm and blues, melancholia bluesa, impresyjność jazzu i tradycja gospel zbudowały wrażliwość Lizz Wright. Córka pastora z prowincjonalnej Georgii najlepszą naukę odebrała wtapiając się we własną kulturę i muzyczny obyczaj. Jako młoda dziewczyna wraz ze swoją rodziną i bliskimi śpiewała w chórach na całym Południu USA. Jako solistka brawurowo zadebiutowała koncertując w serii koncertów poświęconych pamięci jej wielkiej mentorki – Billie Holiday.

Pierwsze dwa albumy artystki – „Salt” i „Dreaming Wide Awake” wzbudziły ogromne emocje wśród słuchaczy. Towarzyszące im koncerty stały się wielkim triumfem młodej wokalistki z amerykańskiego Południa, a recenzent prestiżowego „The Wall Street Journal” określił jej głos mianem „zmysłowego i rozważnego”. Z taką rekomendacją Lizz Wright nagrała kolejny album „The Orchard”. Album ten „CBS News Sunday Morning” określił mianem „jednego z najlep-



szych albumów 2008 roku” a „Los Angeles Times” „przełomem artystycznym w karierze Wright, której zmysłowa, matowa barwa głosu, znalazła w końcu swoje właściwe miejsce”. „Fellowship” to kolejny album, gdzie Lizz Wright zapełnia konsekwentnie tradycyjnymi nagraniami gospel oraz utrzymanymi w podobnym nastroju własnymi kompozycjami. Wielkim sukcesem okazał się projekt „Four Woman: Tribute to Nina Simone”, który Lizz Wright zrealizowała wraz z Angelique Kidjo, Lisą Simone i Dianną Reeves. Najnowszy album Lizz Wright nosi znamien-

ny tytuł „Freedom & Surrender”. Tym razem wokalistka proponuje rozkołysany soul, rhythm and blues, melancholię bluesa, impresyjność jazzu i tradycję gospel. Artystka nie stroni od jazzu, improwizacji, stylistyki folka, bluesa i country, sięga ochoczo po standardy. Taki właśnie program charyzmatyczna wokalistka przedstawi na jedynym koncercie w Polsce.

Koncert Lizz Wright w ramach gali Ery Jazzu odbędzie się 7 listopada 2016r. o godz. 20:00 w Centrum Kongresowym UM w Poznaniu. Bilety w cenie 100-160 zł. •

POZNAŃSKI JAZZ

PROJEKT ERY JAZZU

KRYSTIAN WAGAY

Szczególny przebieg będzie miała jesienna edycja Ery Jazzu. Wraz z genialną, amerykańską wokalistką Lizz Wright na estradzie pojawi się także kolejny zespół Dawida Kostki, laureata Nagrody Ery Jazzu 2016. Koncertową premierę będzie miał także album „Dawid Kostka Quartet & Chico Freeman”.

Tym razem przedstawiamy Global Schwung Quintet – rekomenduję zespół i gitarzystę Dionizy Piątkowski, szef Ery Jazzu – formację poznańskich muzyków, obsypaną tuzinem nagród i wyróżnień, w której przewodzi nasz laureat. Koncert ten to także doskonały pretekst dla premiery albumu jaki laureat Nagrody Ery Jazzu nagrał wraz z legendarnym saksofonistą Chico Freemanem w czasie wiosennego Aquanet Jazz Festival”.

Zespół Global Schwung Quintet powstał z inicjatywy Dawida Kostki latem 2014 roku. Skład krystalizował się kilka tygodni, po czym został uzupełniony w pierwszej kolejności o brata gitarzysty, kontrabasistę Damiana Kostkę. Następnie w krótkim czasie formację uzupełnili perkusista Maciej Burzyński, saksofonista Seweryn Graniasty oraz grający na fortepianie Adam Bieranowski. Po kilku próbach, zespół postanowił wejść do studia nagraniowego żeby zarejestrować pierwszy premierowy materiał, składający się głównie z autorskich kompozycji lidera oraz standardów jazzowych (np. „Nica’s Dream”). Większość muzyków związana jest z poznańską Akademią Muzyczną, część zespołu pobierała również nauki na uczelniach w Zielonej Górze i Wrocławiu oraz na licznych warsztatach organizowanych w Polsce i w Europie. Kompozytorem większości utworów jest Dawid Kostka, choć zespół nie stroni również od



► Global Schwung Quintet



► Dawid Kostka

autorskich opracowań standardów jazzowych czy piosenek z kręgu muzyki popularnej. Mimo, że dla muzyków główną inspiracją pozostaje przede wszystkim jazz, to w muzyce zespołu przewijają się ele-

menty muzyki rockowej, elektronicznej czy też popowej. Stąd też inspiracje w Global Schwung Quintet sięgają Milesa Davisa i Herbiego Hancocka ale także Adama Rogersa czy Aarona Parksa.

Global Schwung Quintet stał się „etadowym” laureatem wielu konkursów (od Grand Prix Bielskiej Zadymki Jazzowej po wyróżnienie na Blue Note Poznań Competition oraz Grand Prix Krokus Jazz Festival). Muzycy zespołu byli wielokrotnie nagradzani indywidualnie na festiwalach i konkursach jazzowych oraz dostrzeżeni przez wybitnych artystów jazzowych (czego dowodem są sesje Poznań Jazz Project z takimi muzykami jak Chico Freeman czy Vinx). Album „Dawid Kostka Quartet & Chico Freeman” będzie miał swoją premierę w czasie listopadowego koncertu Ery Jazzu. •

KĄCIK „RADIA YESTERDAY” – SŁOWO WSTĘPNE

„Radio Yesterday” to program radiowy nadawany przez ponad dwadzieścia lat w poznańskim radiu publicznym (Radio Merkury). To także w symboliczne hasło grupujące wielu zwolenników muzyki z lat 60-tych i 70-tych, którzy nie wyobrażają sobie swojego muzycznego otoczenia bez Elvisa Presleya, The Beatles czy Bee Gees. Ale także bez brzmienia przebojów, artystów już zapomnianych, którzy przemknęli przez listy przebojów w tempie ekspresowym, nie kupując biletu powrotnego.

ARKADIUSZ KOZŁOWSKI



To program zawsze związany z Poznaniem i Poznaniakami. Ale także ze względu na zasięg Radia Merkury z Wielkopolską (przy dobrej pogodzie „łapano” również w Szczecinie czy pod Łodzią). W radiowych archiwach szukaliśmy muzycznych śladów poznańskiego popu i big bitu (zapisanych na starych szpulach). Rozmawialiśmy o gwiazdach związanych kiedyś z Poznaniem (Anna Jantar, Zdzisława Sośnicka) o symbolach poznańskiego

blues/rocka (Wojciech Skowroński, Stress) o artystach z ogromnym dorobkiem, którzy nigdy Poznania się nie wyrzekli (Wojciech Korda, Urszula Sipińska). Poznaniacy zawsze kochali stare granie i ten sobotni program pozwalał im w sobotnie przedpołudnie przez 3 godziny pielęgnować miłość do tradycji rock’n’rolla. „Radio Yesterday” zawsze starało się w tym pomóc, z czego jesteśmy nieustająco dumni. Na łamach „Kulturalnika Poznańskiego” w Ką-

ciku „Radia Yesterday” ukazują się cykle: „Jacek Liersch przypomina”, gdzie wspominamy zapomnianych już dziś artystów; „Rarytasy z zakurzonej grającej szafy”, poświęcone płytom, do których warto powracać; „Alfabet ‘Radia Yesterday’” – przypominamy osoby, zjawiska i przedmioty, które tworzyły klimat czasów minionych oraz „Seans na weekend” – tu natomiast proponujemy filmy, które warto po latach obejrzeć. •

MUZEUM UNITY

W budynku Zespołu Szkół Łączności przy ul. Przelajowej 4 można odwiedzić Muzeum Unity. W przestronnej sali pasjonaci dobrej polskiej elektroniki (przede wszystkim sprzętu HI-FI i audio) prezentują niektóre ze swoich stale rosnących zbiorów.

BARTOSZ KAJ

Na wystawie znalazły się wiekowe eksponaty produkowane przez czołowych krajowych producentów zrzeszonych w zjednoczeniu Unitra. Nie brak także starych urządzeń z lat powojennych, wielu ciekawych konstrukcji z lat 80-tych, pierwszych nowoczesnych (jak na owe czasy) produktów powstałych w latach 90-tych oraz modeli produkowanych już w pierwszych latach XXI wieku. Wystawa cieszy się sporym zainteresowaniem, zwłaszcza podczas Nocy Muzeów.



Wśród sporej ilości prezentowanego sprzętu warto szerzej opisać flagowy wybór firmy Dora z pierwszej połowy lat 90-tych – wieżę serii SL 500 i jej późniejszą wersję znaną jako SL 700. W skład zestawu wchodziły następujące elementy: wzmacniacz (dwa modele różniące się mocą i wyglądem), korektor graficzny

(w późniejszym czasie powstała także wersja z analizatorem widma), magnetofon ze sterowaniem dotykowym (drożny model był wyposażony w systemy Dolby B, C i HX Pro), tuner z dwoma zakresami FM (w czasach produkcji zestawu bardziej powszechnym terminem używanym w Polsce

był UKF) oraz odtwarzacz CD bazujący na module marki Philips.

Był to pierwszy zestaw, do którego dołączony został pilot obsługujący większość funkcji poszczególnych elementów (z wyjątkiem korektora), a jako opcja możliwy był zakup dopasowanego wzorniczko gramofonu z łódzkich zakładów Fonica. W późniejszym czasie powstał także ciekawy amplituner znany jako AWS 504, tuner wyposażony w importowany moduł RDS, czy nawet procesor dźwięku DSP. Kolejne ciekawe konstrukcje nigdy nie



doczekały się realizacji – firma Dora upadła w pierwszych latach nowego stulecia.

Innymi ciekawymi, oczywiście czynnymi eksponatami są Colorofony – obowiązkowe wyposażenie dyskotek sprzed lat. Wrażenie robią także najstarsze gramofony marki Fonica. Bez wątpienia marzeniem wielu młodych ludzi z lat 80 i 90 był zestaw głośnikowy (kolumny) z wrzesińskiego Tonsilu, a zwłaszcza najbardziej rozpoznawany (do dziś) model, jakim są bez wątpienia Altusy. Pasjonatów złotych czasów polskiej elektroniki cały czas przybywa i to może tylko cieszyć. •

LOMBARD

– LEGENDA WCIĄŻ ŻYWA

Większość zespołów rockowych tworzą koledzy czy nawet przyjaciele znający się od lat. Są jednak wyjątki. Legendarny polski zespół rockowy Lombard powstał w wyniku castingu. Może dlatego trzydziestoczteroletnią już historię grupy tworzy osiemnasty skład. Dziś trudno sobie wyobrazić polską muzykę bez takich przebojów jak „Przeżyj to sam” czy „Szkłana pogoda”. 18 maja minie 35. rocznica pierwszej próby zespołu.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Wiosną 1981 roku Grzegorz Stróżniak uczył się jeszcze w poznańskim Studium Sztuki Estradowej. Początkowo specjalizował się w typowej dla tamtych czasów piosence – śpiewając w zespole wokalnym Vist, który towarzyszył ówczesnym gwiazdom estrady w rodzaju Krzysztofa Krawczyka.

– Nie miałem sprecyzowanej wizji muzycznej, ale kiedy zobaczyłem Maanam w Opolu już wiedziałem, że chcę grać rocka. Poszedłem więc do dyrektora szkoły i opowiedziałem mu o swoim zamiarze. Charakterystyczną cechą zespołu miało być to, że będzie troje wokalistów: Małgorzata, Wanda i ja. Przydzielono nam opiekuna – menadżera projektu i zaczęły się poszukiwania muzyków. Zebraliśmy skład i zaczęliśmy pracować każdy z osobna i wszyscy razem – wspomina Grzegorz Stróżniak.

W ten sposób powstał zespół Skandal, przemianowany potem na Lombard. Pierwsza próba miała miejsce już w maju, a pierwszy koncert – w październiku 1981 roku. Menedżer zespołu szybko zorganizował sesję nagraniową. Z prośbą o napisanie piosenek dla Lombardu zwrócił się do swego dawnego kolegi, muzyka, kompozytora i tekściarza, nieżyjącego już dziś Jacka Skubikowskiego.

Nagrania Lombardu miały zaskakująco ciekawe brzmienie. Z jednej strony gitarowe partie, a z drugiej – klawiszowe motywy. Wszystko to uzupełniał śpiew któregoś z trojga wokalistów. Dźwięki te były zaaranżowane nowocześnie, niemal nowofalowo,



łączyć rockową zadziorność z popową melodyką.

Pod koniec roku Lombard w swoim repertuarze miał już kilkanaście piosenek. Pojawiały się one w radiu i telewizji, dlatego zespół mógł ruszyć w swoją pierwszą trasę koncertową po Polsce u boku Budki Suflera.

Zespół stawał się coraz popularniejszy i stało się jasne, że powinien jak najszybciej nagrać debiutancki album. Kompozycje dostarczali autorzy z zewnątrz, ale i Stróżniak zaczął komponować ciekawe utwory.

– Początkowo nikt nie wierzył w moje zdolności kompozytorskie i aranżacyjne. O swojej pozycję w zespole długo musiałem walczyć. W tamtych czasach czułem się niedoceniony. Komponowałem, aranżowałem, śpiewałem i grałem, były sukcesy, a ja wciąż byłem krytykowany – dodaje.

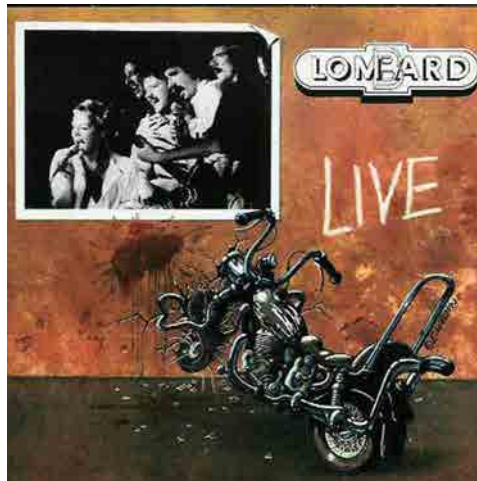
W listopadzie 1982 roku zespół zagrał koncert w Filharmonii Szczecińskiej, który zarejestrowano i część nagrań wybrano na płytę „Live”. Krążek ukazał się pół roku później, stając się debiutem fonograficznym kapeli.

„Śmierć dyskotece!” trafiła ostatecznie do sklepów muzycznych w czerwcu 1983 roku. Album rozchodził się jak przysłowiowe ciepłe bułeczki. W sumie sprzedano aż 400 tys. egzemplarzy! Dzięki temu Lombard stał się jednym z najpopularniejszych zespołów rockowych w Polsce. Fani dziwili się tylko, że na albumie zabrakło studyjnej wersji „Przeżyj to sam”.

Dobłą formę zespołu potwierdziły jej kolejne płyty – „Szara maść” z 1984 i „Anatomia” z 1985 roku. Niestety, przez konflikt między Stróżniakiem a Ostrowską i Niewiarowskim grupa straciła impet. Apogeum nastąpiło pod koniec lat 80., kiedy Grzegorz Stróżniak rozstał się z Lombardem.

CZAS PRZEŁOMU

Z okazji dziesięciolecia Lombardu, w 1991 roku zespół przygotował płytę z największymi przebojami w nowych wersjach i znów z trojgiem wokalistów – Ostrowską, Kwietniewską i Stróżniakiem. W ciągu kolejnych dwóch lat odbywały się sporadyczne kon-



certy odrodzonego zespołu. Następnie znów zawieszono jego działalność. Nie na długo. Od 1994 roku Grzegorz Stróżniak koncertował z zespołem Lombard Group, którego był też menadżerem. Zaczynali praktycznie od zera, przecierając szlaki i wskrzeszając legendę. Kiedy kolejny raz zawiedli koledzy z zespołu, po występie wspólnie z Małgorzatą Ostrowską w „Szansie na sukces”, Grzegorz zaproponował jej współpracę koncertową. Łudził się, że Lombard w dawnym składzie znów wejdzie do studia i w końcu powstaną nowe piosenki. W 1997 roku Lombard zaczął koncertować w całej Polsce jednak pod nazwą Małgorzata Ostrowska i zespół Lombard.

LOMBARD WRACA DO GRY

W 1999 roku Ostrowska odeszła z zespołu, zostawiając Grzegorza z podpisanymi już ze swojej strony i zespołu Lombard umowami koncertowymi. Grzegorz Stróżniak: „Zostałem postawiony pod ścianą!”. Nie myśląc długo, zadzwonił do poznanej w 1997 roku wokalistki Marty Cugier, z którą pracował nad ich wspólną płytą i zapytał czy nie

zechciałaby uratować Lombardu. Grzegorz Stróżniak: „To nie była szybka i łatwa decyzja. Marta, choć miała 21 lat, była racjonalnie myślącą, mądrą, młodą kobietą. Rozważaliśmy razem wszystkie za i przeciw. Lombard jednak znaczył dla mnie zbyt wiele i za dużo pracy kosztował mnie jego powrót, by teraz się poddać. Marta Cugier dosłownie w tydzień nauczyła się repertuaru zespołu Lombard, dodając jeszcze dwa wybrane przez siebie utwory”. Pojechali na pierwszy wspólny koncert do Międzyrzecza Podlaskiego w lipcu 1999 roku.

W 2000 roku wyszła płyta „Deja’vu”. Utwory takie jak: „Deja’vu – to już było” czy też „Patrz! Patrz!” gościły na pierwszych miejscach list przebojów w MTV i Vivie (wtedy były to jeszcze stacje muzyczne). Lombard dużo koncertował w Polsce, ale i dla polonii na całym świecie. Do mediów trudno było przebić się z rockową muzyką, a Lombard grał wtedy ostro jak nigdy przedtem. W 2011 roku grupa nagrała ostatnią, jak dotychczas, studyjną płytę „Show Time”. Długi czas powstawania „Show Time”, liczne poprawki i dopracowania, sprawił, iż

fani otrzymali przemyślany i bardzo spójny materiał, który zbierał dobre recenzje. Zespół Lombard cały czas koncertuje w Polsce, jak i zagranicą, odwiedzając szczególnie często Stany Zjednoczone i Kanadę. Rejestracji koncertu z kopalni Wujek z okazji dwudziestosześciolecia jej pacyfikacji podjęła się TVP. Jednakże do dziś nie został on wyemitowany. Materiał ten można za to nabyć na płytach DVD.

Rok jubileuszowy rozpoczęło wydanie płyty „Swing” zawierającej swingowe wersje utworów z bogatej historii grupy. Muzycy zapowiedzieli także wydanie nowej płyty studyjnej oraz jubileuszową trasę koncertową i inne niespodzianki.

– Problemy się nie skończyły, ale wraz z Martą Cugier, obecną wokalistką zespołu i moją życiową partnerką, robimy swoje, odnosząc mniejsze lub większe sukcesy. Dobrze nam tak trochę na uboczu tego dziś szalonego show-biznesu, w którym tak naprawdę przestała się już liczyć muzyka – podsumowuje Grzegorz Stróżniak.

Czytaj więcej na stronie internetowej „Kulturalnika Poznańskiego”

ZDZISŁAWA SOŚNICKA – GWIAZDA NIEJEDNEGO SEZONU

W zalewie gwiazd i gwiazdeczek jednego sezonu, błyszczą nieliczne supergwiazdy, które nie zniżały swego poziomu, by zaspokoić najprostsze gusta. Dzięki temu królowały na przebojowym niebie przez wiele sezonów, a i teraz, po wielu latach świetlnych, dawny ich blask nadal rzuca cienie.

MICHAŁ SOBKOWIAK



Taką właśnie supergwiazdą jest Zdzisława Sośnicka, która najjaśniej błyszczała w latach 70. i 80., gdy wykonywała takie przeboje jak „Dom, który mam”, „Żegnaj lato na rok”, „Julia i ja” i „Aleja gwiazd”. Z polskich wykonawców debiutujących na przełomie lat 60. i 70. Sośnicka odnosiła największe sukcesy w latach 80. Po 17 latach powróciła z nowym materiałem.

POCZĄTKI

Piosenkarka i kompozytorka urodziła się w Kaliszu. Jej rodzice nie byli zawodowo związani z muzyką. Jednak muzyka była nieodłącznym elementem ich życia. Miłością do muzyki mama postanowiła podzielić się z córkami Zdzisławą i Ewą. To właśnie

mama zaprowadziła przyszłą gwiazdę na egzamin do Szkoły Muzycznej. Miała wtedy 7 lat. Następnym etapem nauki była Średnia Szkoła Muzyczna – w klasie fortepianu. W 1961 roku przyznano Zdzisławie Sośnickej pierwsze w życiu wyróżnienie – Stypendium Chopinowskie. – „*Moje zainteresowania muzyczne wykraczały już wtedy, poza grę na jednym instrumencie*” – wyznała artystka. Studiować chciała na PWSM w Poznaniu na Wydziale Teorii Muzyki. – „*Interesowała mnie kompozycja i dyrygentura. Niestety zabrakło mi kilku punktów. Profesor Stefan Stuligrosz zaproponował mi Wydział Wychowania Muzycznego*” – wspomina Pani Zdzisława. Ostatecznie wybrała i ukończyła dyrygenturę chóralną i instrumentalną.

Jako piosenkarka zadebiutowała w roku 1963 na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. W tym samym roku wzięła także udział w II Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie, zostając jego finalistką, a rok później zdobyła I nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. W czasie studiów współpracowała ze Studenckim Teatrem Nurt w Poznaniu, zespołem Huberta Szymczyńskiego oraz grupami Tramp i Bizony. Karierę solową rozpoczęła w roku 1968.

NA ROZDROŻU

Po ukończeniu nauki znalazła się na rozdrożu. Artystka dała sobie 2 lata, żeby za-

istnieć w branży rozrywkowej. Przez te 2 lata nie zdarzyło się nic sugerującego, że powinna iść w tym kierunku. „I nagle, tuż po tym terminie zobaczyłam podczas koncertu na molo w Sopocie – na którym śpiewałam – Janusza Rzeszewskiego, reżysera TV Polskiej. Nie pomyślałam, że przyszedł w mojej sprawie. A jednak myliłam się – przyszedł z mojego powodu” – wspomina piosenkarka. W ten oto sposób Zdzisława Sośnicka znalazła się w dużej grupie artystów, którzy wyjeżdżali za granicę na koncerty pokazowe. „Odtąd opieka Pana Janusza była dla mnie znacząca. Brałam udział w prawie wszystkich jego programach. W jednym z nich zobaczył mnie Marek Sewen. Przesłał telegram: proszę przyjechać do Polskich Nagrań. Następnego dnia byłam w Warszawie. (...) Już na pierwszym spotkaniu zaczęliśmy rozmowę o piosence 'Dom, który mam', nagrałam ją rekordowo szybko. (...) Nagrody w Opolu (1971 - przyp. red.) nie dostałam, ale co tam dostałam największą nagrodę od publiczności. Dostałam miłość i wielki kredyt zaufania. To była duża odpowiedzialność. Wiedziałam, że nie mogę zawieść. W tym samym roku Festiwal w Sopocie – 4 nagrody. Przedtem w Rostocku – 2 nagrody. Potem MIDEM w Cannes 1972 r., na który, pojechałam już z pierwszą moją dużą płytą (LP)” – tak wspomina początek kariery Pani Zdzisława.

STYLISTYCZNA RÓŻNORODNOŚĆ

Wśród swoich inspiracji piosenkarka wymienia Santanę, Giorgio Morodera oraz Earth, Wind & Fire, „a największym objawieniem Quincy Jones – kompozytor aranżer i producent. Szybko doszłam do wniosku, że lubię mocne, osadzone aranże, duże orkiestry i świetnie grające sekcje. Wystarczyło się dobrze rozejrzeć, takich muzyków, mieliśmy w Polsce” – dodaje Sośnicka.

Każda płyta artystki odbiegała stylistycznie od poprzedniej, wprowadzała coś nowego, lecz „duch Sośnickiej” był słyszalny. – „Początkowo publiczność patrzyła na te moje nowe pomysły ze zdumieniem, chyba mieli wątpliwości czy to na pewno ja?! Nie poddawałam się, wyciągałam wnioski, poprawiałam i biegłam dalej. Co chciałam osiągnąć? Czy zdobyć

większą popularność? Nie – Chciałam wszystkiego spróbować. Bawić się muzyką i pracować. Ćwiczyłam godzinami nie czując mijającego czasu” – stwierdziła piosenkarka.

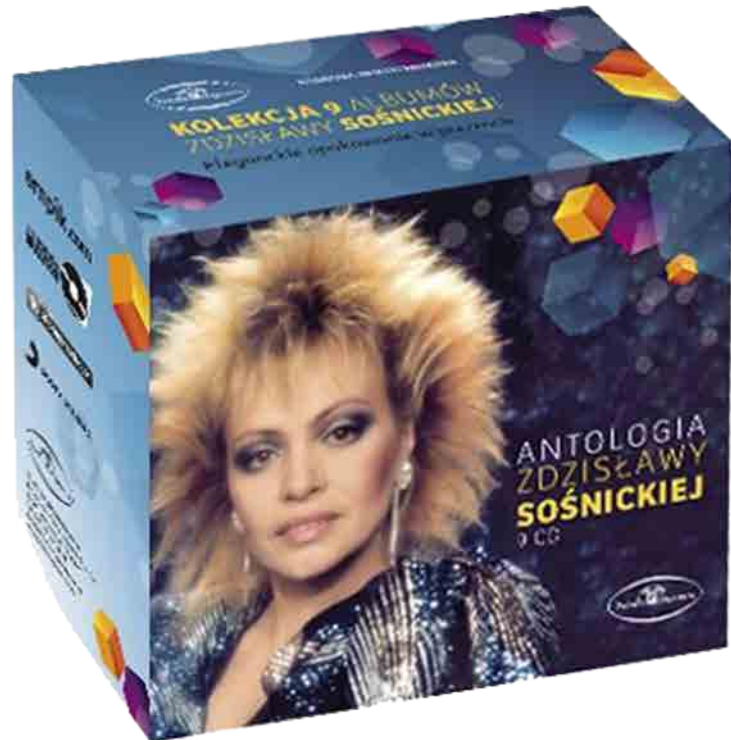
NIE TYLKO SCENA

Zdzisławę Sośnicką można było także zobaczyć na wielkim ekranie. Wystąpiła m.in. w filmie „Akademia Pana Kleksa” w roli Smutnej Księżniczki (1983, reż. Krzysztof Gradowski).

Poza sceną Pani Zdzisława także miała co robić. Zajmowała się m.in. projektowaniem domu czy urządzeniem ogrodu. „Każdą roślinę wybrałam sama, dobrałam dla niej ziemię i znajdowałam najwłaściwsze miejsce. Jestem rozrzutna przy zakupach roślin. Ale w życiu – nie” – dodaje piosenkarka.

Kocha zacisze swojego domu, lubi oglądać filmy i czytać książki oraz podróżować do najdalszych zakątków świata.

A oto jak koleżankę po fachu ocenia Zbigniew Wodecki: „Każdy, kto zachwycał się partią Evity w wykonaniu Madonny, powinien usłyszeć ten utwór w interpretacji Zdzisławy Sośnickiej. Różnica jest kolosalna. Cały problem w tym, że Madonna urodziła się w Detroit, a Sośnicka w Kaliszu”.



NIC DODAC NIK UJAĆ.

Po kilkunastu latach przerwy w karierze Pani Zdzisława przypominała o sobie w ubiegłym roku, przy okazji wydania reedycji wcześniejszych płyt. Zainteresowanie, jakie wywołały poprzednie płyty oraz nowa, świetna kompozycja Romualda Lipki, skłoniły artystkę do prac nad głosem i ponownego wejścia do studia. Teraz czekamy na powrót na scenę.

DYSKOGRAFIA

- 1971 – **Dom, który mam (Zdzisława Sośnicka)**
- 1974 – **Taki dzień zdarza się raz (Zdzisława Sośnicka 2)**
- 1976 – **Moja muzyka**
- 1979 – **Odcienie samotności (2 LP)**
- 1984 – **Realia**
- 1987 – **Aleja gwiazd**
- 1989 – **Serce**
- 1990 – **Musicale**
- 1990 – **Musicals**
- 1997 – **The best of Zdzisława Sośnicka**
- 1998 – **Magia Serc**
- 1999 – **Złota kolekcja: Kochać znaczy żyć**
- 2014 – **Zaśpiewane niewydane**
- 2015 – **Tańcz choćby płonął świat**

URSZULA Sipińska



Urszula Sipińska „Poziomki”

Jest rok 1970. Właśnie ukazuje się pierwsza w karierze piosenkarki „czwórka” (dziś zwana „epką”), a na niej wielki przebój „Poziomki”. Wtedy cała Polska nuciła tę rzadkiej urody piosenkę. A co poza „Poziomkami” można było posłuchać na tej płycie? „Dłonie bliskie, dłonie dalekie”, „Kwiat” i „Trzymając się za ręce”. Urszuli Sipińskiej w nagraniach towarzyszył zespół „Partita” oraz zespół instrumentalny Włodzimierza Kruszyńskiego i Adama Skorupki.

JACEK LIERSCH

W czasie swej kariery estradowej Urszula Sipińska wydała aż (lub może tylko) 11 czwórek, w tym jedną wydaną przez enerdowską „Amigę”. Jak na ówczesne czasy wynik zaprawdę imponujący. Trzeba też dodać, że okładkę premierowej „epki” zaprojektowała sama artystka. Płytkę wydały niezawodne Polskie Nagrania Muza pod numerem katalogowym N 0582. Ówczesna cena 25 zł. A my nie patrząc na mijający czas i trzymając się za ręce chodźmy poszukać poziomek. One nawet po tylu latach smakują wybornie. •

RARYTASY Z ZAKURZONEJ GRAJĄCEJ SZAFY

Urszula Sipińska „Są takie dni w tygodniu / Kolorowy film”

Był rok 1980. Polski rynek fonograficzny z lekka kulał. No może to zbyt delikatne określenie, ale faktem jest, że półki księgarń (bo o sklepach muzycznych z prawdziwego zdarzenia można było tylko pomarzyć) świeciły pustkami. Jednak w każdym z polskich miast były księgarnie, gdzie można było znaleźć perełki fonografii. Tej naszej, rodzimej jak i wykonawców z bratnich państw socjalistycznych.

JACEK LIERSCH



Wymagało to ze strony konsumenta cierpliwości Indianina, aby upolować cokolwiek, a także nawiązać nić sympatii ze sprzedawcą/sprzedawczynią w celu zostawienia towaru pod ladą. Dziś mogę to już zdradzić, bo pani ekspedientka z księgarni jest już na emeryturze. Moja niewątpliwie nienachalna uroda sprawiła, że pani ekspedientka z księgarni zostawiała mi płyty, które z wielką sympatią słucham do dziś. W roku 1980 w ten oto sposób nabyłem płytę Urszuli Sipińskiej zatytułowaną „Są takie dni w tygodniu / Kolorowy film”. Płyta naprawdę ciekawa i oryginalna. Stronę „A” zaczynają dwa znakomite przeboje „Są takie dni w tygodniu” i „Pamiętam nas”. Trzy kolejne to piosenki: „Sentymentalny dzień”, „Płynąć” i „Gdy po trudnym dniu” to kompozycje mniej przebojowe, ale też znane sympatykom talentu Urszuli Sipińskiej. Druga strona zaczyna się od blisko dziesięciminutowej składanki przebojów z lat

sześciodziesiątych zatytułowanej „Limit czasu, czyli czy nas jeszcze pamiętasz”. Po tem mamy jeszcze trzy kompozycje. „Weź kolorowy film”, „Ach, cóż to za romans był” i „Śpiewam i gram”. Wszystko znane i obsłuchane dzięki Polskiemu Radiu (tak, tak kiedyś PR polską piosenką stało). A dziś pozostaje nam tylko cofnąć się do zacnego winyla i powrócić do rytmów z tamtych lat. Niby nie tak odległych, a jednak tak trudno dziś o tak zacne piosenki.

Gwoli uzupełnienia informacji o tej płycie należy dodać, że autorem piosenek są Jerzy Konrad, Andrzej Ellmann i Urszula Sipińska. Za teksty odpowiedzialni byli Andrzej Kuryło, Jacek Grań i Adam Kreczmar. Nad całością czuwał Franciszek Walicki. A przyjemność ta kosztowała osiem ówczesnych dych. Plus wyrób czekoladopodobny, jako zadośćuczynienie dla znajomego sprzedawcy. Ale uwierzcie mi, naprawdę było warto! •

PAMIETAJMY O ANDRZEJU SOB CZAKU

Do napisania tego artykułu zainspirowało mnie Radio Emaus, a konkretnie wieczorna audycja muzyczna, nadana 29 września. Audycja poświęcony zmarłemu 31 maja 2011 r. Andrzejowi Sobczakowi.

KRZYSZTOF WODNICZAK



ZDJEŃCIE WIKTOR FRANCYSZYN

Jerzy Milian z Grupa Stress nagrywali w Rozgłośni Polskiego Radia w Poznaniu

Był ode mnie o 5 dni starszy, napisał kilka tysięcy tekstów piosenek, był autorem audycji radiowych i telewizyjnych, autorem niezliczonych bajek, producentem ponad stu filmów dokumentalnych. Okazuje się, że Jego słowa nigdy nie umierają, są ponadczasowe. Przekonał się podczas radiowego koncertu wspomnieniowego. Te najbardziej znane i uznane to Hi Fi – Wanda Kwiatkowska, Nie było ciebie tyle lat – Krystyna Giżowska, Szalona zabawa trwa – Urszula Sipińska, Ostatni raz zatańczysz ze mną – Krzysztof Krawczyk, W białej ciszy powiew – Bogusław Mec, Jak na lotni – Andrzej Zaucha, Te łyżki niepotrzebne nikomu – Wojciech Korda, Za jeden grosz – Gang Marcela, Dorosłe dzieci – Turbo, Przeżyj to sam – Lombard, W górę serca niech zwycięży Lech – Grupa Stress.

Szczególnie ten ostatni utwór – hymn piłkarskiego Lecha był, jest i zapewne długo jeszcze będzie na ustach nie tylko kibiców. Pamiętam dobrze jak powstawał ten prestiżowy dla poznańskiego środowiska piłkarskiego utwór. Współpracowałem z Grupą Stress będąc nieformalnym kierownikiem (nie znano wówczas jeszcze określenia menedżer czy impresario) i mimo iż piłka kopana nie była moją ulubioną dyscypliną to przed pierwszym w I lidze meczem Lech – Legia uzgodniliśmy, że przygotujemy jakiś akcent muzyczny. Odnaleźliśmy nieznanego a zarekomendowanego przez lidera zespołu Wioliny, Januarego Zaradnego – który już z Nim współpracował pisząc teksty do jego kompozycji – Andrzeja Sobczaka urzędnika – kancelistę w PKP i to On do muzyki Yellow Submarine znanej z wykonania The Beatles napisał... Ludzi tłum przez miasto gna...

Był rok 1972. Nagrania dokonał świetny realizator Jerzy Kamyszek w Rozgłośni Polskiego Radia w Poznaniu przy ul. Berwińskiego 4. Zagrała i zaśpiewała Grupa Stress z udziałem kibiców i piłkarzy Lecha. Jednego pamiętam dobrze, był to Ryszard Szpakowski. Nastąpił oczekiwany dzień meczu. Zanim sędzia dał sygnał gwizdkiem do pierwszego zagrania, wcześniej na stadion wjechała na platformie Grupa Stress wykonując nagrany wcześniej utwór – hymn. Owacjom nie było końca. Przysłowiowy strzał w dziesiątkę i głos spikera Jana Ciszewskiego... dla czego to wymyślono w Poznaniu, a nie na Śląsku, gdzie jest tak wielki potencjał piłkarski. Mówił tak dla widzów i radiosłuchaczy wręcz z pretensjami do nas, za nasze oryginalne połączenie sportu i muzyki. A przecież pamiętamy audycję w Programie I Polskiego Radia Przy muzyce o sporcie. •

PO CYGAŃSKU, Z SERCEM!

Otrzymałem zaproszenie: „Wiadomość z ostatniej chwili. Jutro w piątek, tj. 29 lipca br., o godz. 14.00, na dziedzińcu Urzędu Miejskiego, na Placu Kolegiackim, odbędzie się koncert Międzynarodowej Orkiestry Cygańskiej, która jeszcze nie istnieje. Wyjaśniam tę sprzeczność. Miklosz Czureja, poznański wirtuoz skrzypiec od dawna marzy o orkiestrze cygańskiej z prawdziwego zdarzenia. Zaprosił więc ponad 20 muzyków romskich z Niemiec, Węgier, Czech i Słowacji do wspólnego występu. Jest to zatem orkiestra grająca autentyczną muzykę cygańską. Wszyscy muzycy są wirtuozami, a więc zespół w takim składzie skazany jest na sukces. Przeszkodą może być nietypowa godzina, ale na to nie było wpływu. Proszę przekazać informację o koncercie dalej. Serdecznie polecam i pozdrawiam – Zbigniew Skibniewski”.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Znając dobrze podpisanego pod tym komunikatem animatora wybrałem się, aby o wyznaczonej godzinie (nietypowej dla przedstawień i koncertów) wysłuchać nowego MUZYCZNEGO bytu. Tu szczególnie, koncert ze względu na warunki pogodowe przeniesiono do sali Białej Urzędu Miasta Poznania, która okazała się niewystarczająco pojemna. Tak wielu przybyło melomanów dobrej muzyki.

Miklos Deki Czureja – po siedmiu latach chudych – rozpoczyna wędrówkę na szczyt artystycznego Parnasu i nie będzie musiał wybierać między Scyllą dochodowości, a Charybdą artystyczną i uda mu się najbliższe siedem lat określić jako tłuste. Ten rok rozpoczął dobrze, bo Jacek Jaśkowiak prezydent Poznania, wręczył mu Wielką Pieczęć za zasługi dla Poznania, później Kapituła przyznała Miklosowi Nagrodę Miasta Poznania w dziedzinie Artysta, teraz stworzył kilkunastoosobową orkiestrę. A to nie koniec, bo już zapowiedział i zaprasza nas na premierowy koncert 40-osobowej Romskiej Orkiestry – pod koniec tego roku. A może wzorem koncertów filharmoników wiedeńskich zagra koncert noworoczny i w ten sposób ożywi wieczór 1 stycznia w Poznaniu. Melomanów nie zabraknie...

Podczas piątkowego koncertu Czureja – wirtuoz skrzypiec i Król Czardasza – wystąpił z pięcioma muzykami grającymi na skrzypcach, troje grało na cymbałach, dwoma kontrabasistami, klawecistą, gitarzystą i pianistą. To podstawowy skład. Dochodzili inni instrumentalści – soliści trębacz, gitarzysta oraz gitarzysta i skrzypaczka (ojciec Nordi i córka Neomi) w świetnym jazzującym utworze przypominającym duet Stepha-



Miklos Deki Czureja



ne Grappelli i Django Reinhardt. Utwory zaprezentowane przez orkiestrę należą do kanonu artystycznej muzyki romskiej, Replui fecken, Czardasz a-moll, Cygana Jana, Serbiana, Monti Csrdas, Taniec węgierski nr 5 Brahmsa, Herrekai, Słowik czy śpiewane „To były piękne dni”, „Prawdziwych Cyganów już nie ma”, pozwoliły nam przenieść się w inną

strefę kulturową i jakże różniły się od lansowanego w polskich mediach elektronicznych cygańskich popisów rodem z disco polo, tego najbardziej komercyjnego.

Czardasze, piosenki, liryczne ballady, to kompozycje, dzięki mistrzowskiemu wykonaniu, zyskują w nowej interpretacji niepowtarzalne i zaskakujące brzmienie. Miklos Deki Czureja połączył swe siły z romskimi muzykami z Polski, Niemiec, Słowacji, Czech i Węgier rozszerzając koncertowy repertuar o czardasze Vittonia Montiego wzbogacając klimat występów swoją niepowtarzalną sceniczną charyzmą. Do tego młode tancerki... Publiczność wysłuchała koncertu ze znakiem Q.

Co będzie jak Miklos Deki Czureja zaprezentuje nam 40-osobowy ansambel? Co wówczas napiszą recenzenci? Jakich użyją przymiotników? •

Zdjęcia Zbigniew Skibniewski

MUZYKALIA PIOTRA WIZA

Wizowie, to rozpoznawana w nie tylko Poznaniu, wielopokoleniowa rodzina muzyczna, która zaznaczyła swą obecność w niejednej dziedzinie życia kulturalnego naszego miasta. Z niej wywodzi się Piotr, aranżer, kompozytor, pianista, wokalista, założyciel wielu muzycznych zespołów.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Ostatnim z jego projektów jest SUN FLOWER ORCHESTRA, wspólnie stworzonym z prof. Mariuszem Dereweckim, wykładowcą w katedrze skrzypiec poznańskiej Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego. Ostatnio tę orkiestrę słyszałem na żywo przed pięcioma laty podczas rozdania WODNIKÓW, jakimi Krzysztof Wodniczak, honoruje tych, którym – jak twierdzi – coś zawdzięcza. Dodajmy, że ufundowane przez siebie statuetki wręczył, m. in. Halinie Frąckowiak, Krystynie Prońko, Józefowi Skrzekowi. Do tego wyróżnienia nominowana była również SUN FLOWER5 ORCHESTRA. Ale niestety, WODNIKI trafiły do innych. Orkiestra Piotra Wiza i Marka Dereweckiego miała okresy lepsze i gorsze. Działała aktywnie lub z mniejszym natężeniem, niekiedy w zawieszeniu. Jednak bardzo miły prezent pod choinkę otrzymałem od Piotra – płytę CD, pod jakże znamienne tytułem SUN FLOWER ORCHESTRA „LOVE SYMPHONIC” (niestety, długo by szukać tego krążka w dobrych sklepach muzycznych). Piotr Wiza wydał ją własnym sumptem – tu czapki, za konsekwencję w działaniu na polu muzycznym. Czyżby żadna oficyna wydająca płyty nie była tym zainteresowana? Pytanie takie sobie, bo nie skieruję do konkretnego odbiorcy. Przecież tzw. mędzersi – tworzący zagraniczne kooperacje – nie są nastawieni na wydawanie polskich twórców z różnych obszarów dźwięków. Tyle przydługawego wstępu. Przechodząc do opisanie artystycznych wizji Piotra Wiza, chociaż gwoli faktów zapisanych na okładce płyty trzeba też wymienić Dariusza Rennerta, kompozytora „Love z za story”, „Arlee”, „To nic tak miało być” i „Cały Ty”. Może nie jest to w stu procentach autorska płyta Piotra Wiza, ale na pewno jedna z niewielu polskich CD, która pobudza wrażliwość, nie ze względu na wykonanie (choć nie dosłyszałem jakiś „kiksów” instrumentalistów czy wokalistów), ale ze względu na dźwięk i brzmienie szczególnie utworów instrumentalnych „Love Symphonic Overture” i „Evermore – Love Symphonic Finale”, na pewno zasługuje na uznanie. Przemysław Śliżyński, realizator dźwięku, znacznie przyczynił się do tego, że w sposób szczególny podczas muzykowania odczuwałem wzruszenie. A song perełka „Nie lękaj się”, (znałem wcześniejszą wersję śpiewaną po angielsku przez Grahama Crowforda) piękny, wzruszający, chwytający za serce, budzi tęsknotę i ... nadzieję. Klimatyczny, wzruszający, pełen prawdy ludzkiego tu i teraz (z może i potem, kto wie?), trwa długo. Co wracam, słucham i przestaję się bać! I czego więcej.



FORCOM BAND

Zespół FORCOM BAND powstał w roku 2006 w Poznaniu z inicjatywy kilku zapalonych muzyków-amatorów, miłośników muzyki granej w pełni na żywo, pracowników firmy „FORCOM”.

KRYSTIAN WAGAY

Założyciele zespołu ze środków uzyskanych z Funduszu Socjalnego firmy własnymi siłami wyremontowali i przystosowali do potrzeb muzycznych salę prób w dawnym pomieszczeniu kotłowni w podziemiach budynku oraz zakupili pierwszy sprzęt muzyczny, który z każdym rokiem działalności rozrastał się do pokaźnej obecnie objętości. Początkowo kilkuosobowy skład rozrósł się w ciągu kolejnych lat działalności do kilkunastu osób grających ze sobą w różnych konfiguracjach. Trudno więc w tym przypadku mówić o zespole o ustalonym składzie osobowym, jest to raczej grupa zapaleńców muzykujących wspólnie w różnych układach i jedynie w przypadku występów grupy ustala się repertuar i skład wykonawców. Od początku istnienia wszelkimi działaniami zespołu kieruje najstarszy z jego członków, multiinstrumentalista Włodzimierz Śładkowski.

Główną sceną występów są coroczne spotkania integracyjne firmy w maju i czerwcu, gdzie zespół występuje w plenerze i na kilkugodzinnej biesiadzie tanecznej prezentując możliwie wszystkich wykonawców w zmieniających się konfiguracjach. W repertuarze zespołu jest ponad 150 standardów muzyki z kręgu bluesa, rock'and'rolla i pop polskich (m. in. Skaldowie, Breakout, Czesław Niemen, Budka Suflera, Elektryczne Gitary, Dżem, Perfekt, Lombard, Maanam) i zagranicznych (m. in. Elvis Presley, The Beatles, Procol Harum, John Lennon, ABBA, Europa, Tina Turner, Gary Moore, Queen, Electric Light Orchestra, Grund Funk Railroad, TOTO, Smoky, Bon Jovi, U2) wykonawców.

Z profesjonalnie zaadoptowanej sali prób w podziemiach siedziby firmy przy ul. Ga-



jowej 6 w Poznaniu korzystają nie tylko pracownicy firmy ale też wiele zaprzyjaźnionych zespołów zewnętrznych oraz studenci szkół muzycznych i Akademii Muzycznej w Poznaniu. Często osoby te wspomagają FORCOM BAND na próbach i występach, co podnosi walory artystyczne zespołu i wpływa motywacyjnie na jego członków.

Od wielu lat FORCOM BAND współpracuje ze znanym poznańskim redaktorem muzycznym i społecznikiem – Krzysztofem Wodniczakiem, co zaowocowało licznymi koncertami w Jeżyckim Centrum Kultury w Poznaniu na organizowanych przez niego pod różnymi szyldami spotkaniach muzycznych. Od maja 2014 roku zespół FORCOM BAND w swym podstawowym składzie występuje z wokalistką Marianą Cwiąkałą, aktualnie studentką 1 roku Akademii Muzycznej w Poznaniu. W tym składzie zespół występował w 2015 roku

w poznańskiej Farze na koncercie poświęconym pamięci Franciszka Walickiego, prezentując utwory z repertuaru Ady Rusowicz i zespołu Breakout z jego tekstami, a także na Międzynarodowej Konferencji „Muzyka w PRL” zorganizowanej przez IPN i Wydział Historyczny UAM, na którym prezentowane były utwory polskich zespołów rockowych z lat 1960-80. Coraz częściej też zespół koncertuje w poznańskim Pubie Old School Piwomania. Zespół organizuje co roku w listopadzie Warsztaty Muzyczne (ostatnie odbyły się w Zanimyśle) na które zaprasza zaprzyjaźnione zespoły i muzyków, którzy w różny sposób wspomagali rozwój zespołu, przez co przyczynia się do integracji środowiska muzycznego Poznania. Chętnie występuje też na imprezach na rzecz mieszkańców miasta m. innymi we wrześniu 2016r. na terenach Pracowniczych Ogrodów Działkowych w różnych miejscach Poznania. •

LAUREAT TEGOROCZNEJ STATUETKI WODNIKA

Według ogólnie szanowanych Poznaniaków – Zastępcy prezydenta Jędrzeja Solarskiego, prof. Waldemara Łazugi historyka i felietonisty, dr Danuty Rogalskiej – sekr. Stowarzyszenia Muzycznego Brzmienia, wokalisty i gitarzysty Piotra Kuźniaka, muzyków Tadeusza Konicznego i Leszka Mutha, reżysera filmowego Jana Pery, kolekcjonera Jarosława Kędziory (prywatnie brata Wojciecha Kordy), Dominika Górnego z Towarzystwa Im. Hipolita Cegielskiego, Lechosława Lerczaka – znanego społecznika z My Poznaniacy – słuchających koncertu POZNANIACY PAMIĘTAJĄ PRESLEYA niewątpliwie wyróżniającym się wykonawcą był wokalista WŁODZIMIERZ JANOWSKI. Pierwsze szlify muzyczne zdobywał w Szkole Podstawowej SN nr I, w Poznaniu jako uczestnik szkolnego chóru i szkolnej orkiestry.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Nauczyciel muzyki, skąd inąd druh harcmistrz przygrywający na akordeonie, wkładał wiele pracy i uwagi w śpiewających czysto, choć może mniej czysto grających. Były to czasy tzw. „komuny”, w której kładło się jeszcze nacisk na kształcenie słuchu społeczeństwa, być może choćby po to, aby można było wspólnie śpiewać Hymn Narodowy, Bogurodzicę i inne pieśni sakralne.

Dopiero pod koniec nauki w Liceum nr IV rozpoczął pogrywanie. Pierwszy zespół w jakim się udzielał jako wokalista to Alfa-Centauri: gitarzystą był Mariusz Rybicki, który później założył Grupę Stress. Na początku roku 1971 r. wszedł w skład zespołu Takt grającym w składzie: Janusz Piątkowski instr. klawiszowe, gitara basowa Zbigniew Wrombel, gitara Sławomir Sokołowski, perkusja Marek Surdyk oraz Janowski jako wokalista. Takt uczestniczył w licznych przeglądach i konfrontacjach muzycznych o wydźwięku ogólnopolskim, wziął też udział w Wielkopolskich Rytmach Młodych w Jarocinie, w 1973 r. zespół otrzymał nagrodę Kameleona wraz ze wszystkimi przysługującymi za coś tam każdemu z muzyków nagrodami. Takt uczestniczył też w 3 Festiwalu Młodzieżowej Muzyki Współczesnej w Kaliszu (w 1973 r.) Po tym występie wziął ich pod swe „skrzydła” niezapomniany, nieżyjący już Ryszard Szyłberg (odsylam do Encyklopedii Polskiego Rocka). Zespół opuszcza Sławomir Sokołowski i zakłada grupę Bolter stając się

wiodącą postacią komercyjnego rynku muzycznego.

Stworzono grupę Poznańscy Bardowie w składzie Janusz Piątkowski -klawisz (le-ader), Zbigniew Wrombel – git. bas. Marek Surdyk perk., Tadeusz Gbur – trąbka, Józef Czerniak -puzon, Jarek Stanisławski – saks, Zenon Dolata, no i Włodek Janowski – vocal. Był to ostatni skład zespołu Bardowie, który rozwiązał się w roku 1975 po III Festiwalu Muzyki Młodzieżowej w Chorzowie, na którym bohater tego tekstu wraz z Hanną Banaszak wykonał dwa utwory. Zespół został wyróżniony przez członka jury Czesława Niemena Wydrzyckiego, co pozwoliło poznańskim muzykom wystąpić w koncercie laureatów. Utwory z tego festiwalu duetu Hanna Banaszak – Włodek Janowski zostały zapisane na taśmach radiowych, odtworzone dwa czy trzy razy w Polskim Radiu Poznań po czym przepadł gdzieś w archiwum radiowym.

W międzyczasie Janowski związał się z zespołem Ryszarda Kniata, aby wziąć udział w eliminacjach międzywojewódzkich IV Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki (luty 1980 r.) w Myśliborzu. Wraz z zespołem jako wokalistą i saksofonistą wykonał prawer-się piosenki „Są takie łyzy”, wykonywanej później przez Wojciecha Kordę i Alibabki.

Większa część muzyków – z którymi odbywał próby i występował – trafiła do Poznańskiej Orkiestry Radiowej Zbigniewa Górnego. Włodzimierz Janowski natomiast, po odrzuce-

niu go w przedbiegach do Poznańskiego Studium Piosenkarzkiego rozpoczął naukę już jako muzyk ociemniały w Średniej Szkole Muzycznej II stopnia im. Fryderyka Chopina w Poznaniu w klasie saksofon altowy. Szkołę ukończył z Dyplomem w roku 1982 i od tego czasu gra i śpiewa, gdzie i z kim się da. A okazji ma ku temu wiele, staje się postacią rozpoznawalną i niebanalną poprzez swój stosunek do kultury muzycznej w pełnym tego słowa znaczeniu. Pieniądze – w odróżnieniu od innych muzyków, z którymi współpracował nigdy nie odebrały mu – wrażliwość. Mimo, iż przez całe dorosłe bytowanie żyjąc w niedostatku z nękającymi go nieuleczalnymi chorobami jest przykładem bezinteresownej działalności (nie kariery, bo nigdy o nią nie zabiegał, mimo, iż miał swoje tzw. pięć minut choćby w okresie duetu z Hanną Banaszak mógł te nagrania starać się spopularyzować, żeby zagwarantować sobie mu znaczący sukces i mógłby też pójść własną artystyczną ścieżką ku drogowskazowi – Scylla (dochodowość), a Charybda (artyzm). Nie uczynił tego bo w jego śpiewaniu całym sobą nie można – jak twierdzi – pójść na jakiegokolwiek kompromisy.

Przeglądając życiorys artystyczny i historie życia Włodzimierza Janowskiego pytań jest wiele, odpowiedzi może mniej, ale chciałem pokazać nie tylko skomplikowane losy, ale...resztę dopowiedzcie sobie Państwo sami po występie tego oryginalnego wokalisty i saksofonisty. •

WODNIKI, ACH WODNIKI

Od dziesięciu lat Krzysztof Wodniczak producent muzyczny, animator kultury i redaktor przyznaje swoje prywatne nagrody statuetki zaprojektowane przez rzeźbiarza Kazimierza Rafalika ludziom kultury i muzyki za ... coś bliżej nieokreślonego. Twierdzi, że za ubogacenie jego ego, za coś, że im coś zawdzięcza.

DAROW

Pierwszy koncert był bardzo okazały, Wodniczak przyznawał, a o wręczenie poprosił Grażynę Łobaszewską (Halinie Zimmermann), prof. Andrzeja Tatarskiego (Piotrowi Kałużnemu), Tadeusza Nalepę (dla Wojciecha Hoffmanna), Krzysztofa Cugowskiego (Piotrowi Szchulzowi), Andrzeja Rybińskiego (dla Affabree Concinui), Adama Trabińskiego (Dionizy Piątkowski), Juliusza Kubla (dla Grzegorza Tomczaka). Od tamtej Wodnikowej imprezy minęło 10 lat. Darczyńca kilka razy w międzyczasie zapraszał na podobne muzykalia z cyklu WODNIKI od Wodniczaka. Z kronikarskiego obowiązku odnotowuję nazwiska laureatów jacy otrzymali już statuetki WODNIKI; Halina Frąckowiak, Krystyna Prońko, Ewelina Rajchel, Darek Rogers, Marek Raduli, Przemysław Kieliszewski, Tadeusz Mandat Lis, Krzysztof Ścierański, Grzegorz Kupczyk, Wojciech Korda, Ryszard Sławiński, Ryszard Podlewski, Andrzej Wilowski.

29 września br. minęły 70 urodziny darczyńcy WODNIKÓW i oczywiście nie mogłoby się obyć bez jakże muzycznych akcentów. Na swoje urodziny z udziałem tegorocznych nagrodzonych poprosił nas Wodniczak, a byli nimi Marta Grabowska, która otrzymała statuetkę za dorównanie wokaliz Annie German (zaśpiewała Wróc do Sorrento, Tańczące Eurydyki, Człowieczy los), Włodzimierz Janowski za śpiewanie całym sobą. Jego interpretacje Let It Be Me, Tears In Heaven, Sweet Home Chicago, I Cant Stop Loving You, Georgia On My Mind – jak mowi młoda generacja „powaliły z nóg” i wiemy, że to talent nad talentami. Takiego wokalisty soulowego i to białego

CZAS WODNIKA

**W czterdziestym szóstym,
w mroku komuny,
Przydarzył się światu
w Ostrowie ów pan,
By brzmienia wydawać
i targać te struny,
Na których do dzisiaj nam gra.**

**Dzieckiem w kołysce
za pióro wnet chwycił
I wszędzie go pełno od tyłu już lat;
Niejednym zapewne
nas jeszcze zachwyci –
– Ech, żyj-że Wodniku sto lat!**

**Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Czas Wodnika, Wodnika wciąż czas!
Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Czas Wodnika, Wodnika wciąż czas!**

**W sercu pokorny,
choć w barach jak Ursus –
– Quo vadis Wodniku ?
W zanadru co masz?
Wal dalej do przodu i trzymaj się kursu,
A drogę niech wskaże ci PTAAAK!**

**Listę pokornych świat dalej niech pisze,
Choć na niej na pewno nie pora ci być,
Dopóki w rytm bluesa się serce kołysze,
Wodniku – daj coś nam na bis!!!**

**Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Czas Wodnika, Wodnika wciąż czas!
Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Tu-tu-tu-tu-tu-tu!
Czas Wodnika, Wodnika wciąż czas!**

ANDRZEJ SOBCZAK

dawno nie słyszeliśmy. Oby częściej dla nas koncertował!

Zespół Forcom Band otrzymał statuetkę za przypomnienie repertuaru lat 60tych i 70. tych. Zaśpiewał m. in. – Historia Jednej znajomości– Jerzego Kosseli Oni zaraz przyjdą tu – Bogdana Loebła i Tadeusza Nalepy.

Zespół wokalny Konsonans – za rozśpiewanie młodzieży i seniorów – wykonał kilka znanych piosenek m. in. Czas Wodnika (tekst w załączeniu), Czekoladowy twist, Zimny drań, To jest taniec lambetewock, Moon river.

Wszyscy wykonywali swoje utwory bez debiutanckiej tremy. Interpretowali „po swojemu”. Pocieszały te wykonania uszy i zmysły. Wokaliści i zespoły otrzymali rześiste, zasłużone brawa i byli tym samym zobligowani do bisowania.

Koncert WODNIKowy dobiegł końca, a życzeniom i gratulacjom nie było końca. Przybyli laureaci nagród z ubiegłych lat – i w ten sposób rozmawiano jak Wodniki z Wodnikami. Przytoczę kilka oryginalnych dedykacji dla Jubilata Krzysztofa Wodniczaka.

Życzę dalszych wspaniałych sukcesów dla dobra kultury (Aldona Latosik), Witamy w Klubie 70 latków, Wszystkiego Najlepszego Bogdan Nowak, Jubilate, Siedem Zero, kondycji jak Zero Zero Siedem, dużo satysfakcji i radości z patronowania artystom przez dalsze dziesięciolecia (Eugeniusz Biały), Sukcesów w życiu, szczęścia w miłości, dużo uśmiechu i dużo radości, spełnienia wszystkich najskrytszych marzeń, samych przyjemnych w Twoim życiu zdarzeń (Ewelina Rajchel, Piotr Kałużny), Niech Senior ma

kondycję młodzieźowca, niech wigor artystyczny towarzyszy na kolejne długie lata (Antoni Karwacki), Dużo sił, zdrowia i pomyślności we wszystkim czego się podejmujesz, życzę Tobie dobrych ludzi wokół (Irek Wojciechowski), Miło, że dobijasz do grona autentycznych seniorów. Najlepszego (Andrzej Kuczyński), Szczerze życzenia jubileuszowe. Zdrowia i wiele sił do realizacji planów (Maciej Piotr), Kłaniam się do ziemi i biję po siedemkróć brawo. Siódemka z przodku zobowiązuje (Krystian Wagay)

Gdyby ktoś mi w latach siedemdziesiątych powiedział, że 70 to może być wiek rockendrolowy, to bym nie uwierzył, a jednak. Wszyscy go znamy jako „Wodnika” od pół wieku miłośnika, organizatora, promotora i redaktora muzycznego, ale przede wszystkim, jako przyjaciela artystów, wiernego swoim idolom Elvisowi i Niemenowi. Przyjaźń z Wodnikiem jest trudna i wymagająca, ciągle w coś wkręca i nakręca, nie odpuszcza, nie pozwala się zatrzymać, ciągle w ruchu, w trasie. Trudno zliczyć jego pomysły i inicjatywy i nawet jak czasem



Kwintet wokalny Konsonans

coś nie wyjdzie, to zawsze gwarantowana jest dobra zabawa, bo jak śpiewał Brell „Kumple to grunt”. Krzysztof Wodniczak 29 września 2016 skończył 70 lat i wierze, że da nam szansę do obchodzenia nie jednego swojego jubileuszu (Andrzej Wilowski) I ja tam byłem wino piłem, wsłuchiwałem się w cudowne dźwięki znanych melodii, piękne głosy wykonawców. Siedemdziesiątka!! co to dla Ciebie. Żyj nam długo

i dekoruj swoje i nasze życie tak wspaniale jak to robisz dotychczas.

Nie wiemy jak to robisz, ale w Twoim towarzystwie, w muzycznym otoczeniu, tworzysz niepowtarzalny nastrój, w którym wszyscy czujemy się kapitalnie, zapominając o troskach dnia codziennego.

Tak trzymać Krzysztofie!!!

Wszystkiego naj... (Lechosław Lerczak z Przyjaciółmi)•



Zespół wokalny - instrumentalny Forcom Band

PAMIĘTAMY ELVISA PRESLEYA

15 sierpnia 2016 r. w przeddzień 39 rocznicy nadal przez niektórych kwestionowanej śmierci Elvisa Presleya, z inicjatywy Towarzystwa PTAAK czyli Polskiego Towarzystwa Artystów, Autorów, Animatorów Kultury a Krzysztofa Wodniczaka – niestrudzonego animatora kultury – przede wszystkim, z nadspodziewanym skutkiem, odbyła się impreza, którą organizatorzy opatrzyli tytułem „Poznaniacy pamiętają Presleya”. To najprawdopodobniej tylko drugie miejsce w Polsce, po krakowskim Zakrzówku gdzie w tak spektakularny sposób czci się pamięć o Elvisie. A może w tym roku nawet jedyne takie miejsce w RP.

HIREK ŚCIGACZ

W ydarzenie miało dwie części. W pierwszej, z nabrzeża Warty przy POZNAŃSKIEJ katedrze, na ten czas nazwanego Elvis PRESLEY Blvd (Bulwar Elvisa Presleya), świetnie się prezentującym statkiem spacerowym w rejs po rzece wypłynęli admiratorzy artysty. Na długo przed zaplanowanym terminem wodnego „spaceru” na przystani zgromadziło się tak wielu zainteresowanych, że statek musiał wypłynąć dwa razy. Pierwszy raz o 14, drugi o 15. Przy w miarę sprzyjającej pogodzie na pokładzie rozlegały się dźwięki znanych utworów z repertuaru Króla, również granych „na żywo”, choć nie do końca słyszalnych wskutek głośnej pracy silnika, co jednak nie przeszkadzało kontemplowaniu krajobrazu wzdłuż koryta rzeki. A ten nie wszystkich zachwycał. W trakcie rejsu nie tylko ja odniosłem wrażenie, że stolica Wielkopolski jest jakby odwrócona plecami do Warty. Rozległe połacie po jednej i drugiej stronie rzeki, które mogłyby być ciągami spacerowymi, rowerowymi porastają chwasty. Aż się prosi, żeby wzorem innych miast umiejący wykorzystać dobrodziejstwo jakim jest przepływająca przez nie rzeka, stworzyć w Poznaniu nad Wartą choćby jeden bulwar. Niechby nawet Bulwar Elvisa Presleya. A dlaczego nie? Jeżeli w Krakowie od 2003 r. jest blisko 300-metrowa aleja Elvisa Presleya na Zakrzówku, a przy niej znajduje się pomnik Elvisa i nikomu to nie wadzi, to co, Poznań nie może królewskiemu Krakowowi dorównać? Jeżeli piękny Toruń, może nazwać tamtejszy tętniący życiem nadwiślański bulwar Filadelfijskim, to co Poznań nie może mieć



Magdalena Bąkowska



Ostatnie takie trio

choćby namiastki głównego traktu w Memphis, Tennessee? Może prócz zbliźniaczonego z Poznaniem Toledo w Ohio, jeszcze jedno miasto w USA, właśnie Memphis, zbliżyłoby się do Poznania?

Zanim w królewskim grodzie Przemysła II powstanie dowód pamięci o znaczeniu Króla w popkulturze cieszymy się tym, że poznaniacy pamiętali o nim pojawiając się w sporiej liczbie w świąteczny wieczór 15 sierpnia w pobliżu pięknego poznańskiego ratusza na okolicznościowym koncercie.

Wprawdzie nie wszyscy anonsowani wykonawcy wystąpili, ale ważne że ci, którym artystyzm Presleya jest bliski, wypełnili muzyką te dwie godziny. I tak: młoda, pełna uroku Marianna Ćwiąkała zachwycała wdziękiem i świeżością wykonania choćby takiego elvisowego przeboju jak „Return to sender”. Występ (szkoda, że tak krótki) zespołu CrossFire z pasją przywołał rock and rollowy klimat pamiętnych Creedence Clearwater Revival, którzy przecież byli pod silnym wpływem Elvisa Presley’a i innych jemu współczesnych. Zdu-

miewająco mocny rhythm and bluesowy wokal Włodzimierza Janowskiego [ex-Bardowie, poznańscy(!), bo byli przecież jeszcze warszawscy], szczególnie zachwycił słuchaczy w piosence Dona Gibsona „I can’t stop loving you” będącej w repertuarze Raya Charlesa, oczywiście Elvisa, ale i wielu innych. Magdaleny Bąkowskiej – wokalistki zespołu Chilli eM wykonanie bluesowego, nie bardzo łatwego „Fever”, w sposób niepodrabialny zaśpiewanego przez Presley’a na albumie „Elvis is back” zwróciło uwagę słuchaczy ceniących sobie mniej ograne, bardziej „korzenne” utwory z repertuaru piosenkarza. Kilkaście minut oddał na chwałę Elvisa również Tomasz Dziubiński – znany gitarzysta, kompozytor, wokalista, którego osiągnięciami można by obdzielić co najmniej kilkunastu muzyków. Piosenkarski wkład do imprezy wnieśli Maciej Piotr oraz Ostatnie Takie Trio – zespół, który niestety, prócz nazwy, nie ma nic wspólnego z fenomenalną rhythm and bluesową kapelą rodem z Wrocławia – laureatem nagrody publiczności na Festiwalu Mu-

zyki Rockowej w Jarocinie w 1985 r. Było też miejsce na wierszowaną biografię Króla (a po części poemat na jego cześć) napisaną i odczytaną przez Bogusława Gralińskiego. Tenor Sławomir Jaślar zaśpiewał w konwencji operowej dwie („O sole mio” i „Torna a Sorrento”) spośród trzech klasycznych pieśni neapolitańskich (trzecią jest „Santa Lucia”), które Elvis włączył do swojego ogromnego repertuaru. Dwie pierwsze znane oczywiście pod tytułami „It’s now or never” i „Surrender”. Właśnie! Wielka szkoda, że uwielbienie Elvisa Presley’a jest tak powierzchowne i pamięć wybiórcza. Tu, na tym koncercie dało się słyszeć zaledwie kilka, przede wszystkim tych najbardziej sentymentalnych piosenek wybranych z przebogatej w ilości i w formie spuścizny artysty. Wszak lista utworów zaśpiewanych przez Elvisa a utrwalonych na płytach czy taśmach filmowych liczy 738 pozycji. Warto o tym pamiętać, żeby przypadające 8 stycznia obchody rocznicy urodzin były jeszcze bardziej okazałe niż wspomnienie jego emigracji z planety Ziemia. •

POWIEDZIELI, CO WIEDZIELI...

Poznań w czołówce miast, w których nie zapomina się o kolejnej rocznicy śmierci Króla Rock and Rolla – w różny sposób – przypomina się dokonania Elvise Aarona Presleya. W ten sposób animatorzy i organizatorzy wychodzą naprzeciw oczekiwaniom fanek i sympatyków Elvise udowadniając jednocześnie, że przeszłe nie umiera tylko ma inne oblicza. Nowe wersje wykonywane przez artystów, którzy Jego repertuar wykonują po swojemu. I to jest ważny plus interpretacyjny, który tchnie świeżością oczekiwaną przez słuchaczy.

TEKST I ZDJĘCIA HIERONIM DYMALSKI

Właśnie podczas koncertu POZNANIACY PAMIĘTAJĄ PRESLEYA doznaliśmy olśnienia przy interpretacjach evergreenów przez mniej znanych wykonawców pochodzących z Poznania. Zapytaliśmy wykonawców jakie mają skojarzenia z Elvise Presleyem. Oto ich wypowiedzi:

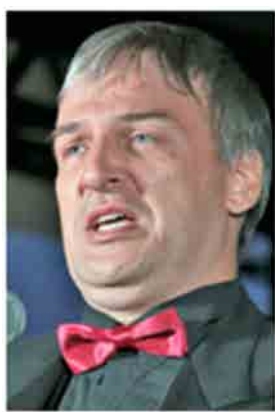


MARIANNA ĆWIAKAŁA

Epoka Elvise Presleya, jest dla mnie dość odległa, tak więc ciężko jest mi wczuć się w jego klimat. Jednakże dzięki Krzysztofowi Wodniczakowi, mogłam odkryć go dla siebie. Tematyka utworów jakie wykonywał Elvis jest wciąż aktualna, bo przecież miłość to temat numer jeden wśród młodych ludzi. Ponadto linia melodyczna jest łatwo zapamiętywalna i charakterystyczna, dzięki czemu z przyjemnością śpiewam te utwory. I w dalszym ciągu będę Jego repertuar udoskonalała.

SŁAWOMIR JAŚLAR

Piosenki wykonywane przez Elvise Presleya usłyszałem po raz pierwszy jako



kilkuletni chłopak, kiedy niedługo po Jego śmierci nadawano w Polskim Radiu nagrania. Wówczas jak i później byłem pod wrażeniem Jego niepowtarzalnego głosu. Dzisiaj Elvis Presley jest mi bliski zwłaszcza przez zaśpiewanie pieśni neapolitańskich: O sole mio, Torna a Sorento i Santa Lucia. Lekkość i muzykalność z jaką śpiewa te pieśni neapolitańskie budzą niekiedy zazdrość ambitnych także śpiewaków klasycznych.

Jeśli więc dzisiaj uznaje się Presleya artystą ponadczasowym i po utwory z Jego repertuaru sięgają kolejne pokolenia piosenkarzy i śpiewaków to tajemnica tego faktu tkwi pewnie także w tych cechach. Dlatego nie raz wracam do tych jak i innych nagrań wsłuchując się w jego głos i interpretacje.

WŁODZIMIERZ JANOWSKI

Po raz pierwszy nazwisko Presleya „zagrało” mi w uszach jeszcze przed rokiem siedemdziesiątym ubiegłego wieku. Moja sąsiadka, rówieśniczka, posiadała kilka winylowych płyt z wykonywanymi przez



Niego piosenkami. Potem, gdy sam zacząłem muzykować utwory z repertuaru Presleya stały się nieodłącznym składnikiem repertuaru. Było coś takiego w melodyce wykonywanych przez Niego utworów, co powodowało odruchowy zwrot w kierunku gitary. Łapaliśmy funkcje gitarowe intonując zawzięcie co krótsze utwory. Mimo zaistnienia kolejnych zespołów rockowych zwanych w Polsce beatowych On wciąż istniał w szeregu wykonawców.

BOGUSŁAW GRALIŃSKI

Jako były założyciel i perkusista kwintetu muzycznego Brunatni w Koninie oraz zespołów zakładowych Elekton I, Elektron II, Elektron III w Koninie i Poznaniu wychowany muzycznie na repertuarze Elvise Aarona Presleya już od końca lat 50. darzyłem Tego Wielkiego Artystę ogromnym szacunkiem i podziwem, co w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ub. stulecia zaczęło graniczyć u mnie z pewną obsesją. Parając się równolegle od tego samego okresu czasu, twórczością poetycką o naj-



różniejszej tematyce, poświęciłem Temu Człowiekowi aż sześć utworów wierszowanych ściśle związanych z Jego Osobą, jako Legendy i Króla Rock and Rolla, którego muzyka najpierw zmieniła Amerykę, a niedługo potem cały świat! Są to „Elvis Aaron Presley”, „Boski Elvis”, „Czwarty wymiar Elvisa”, „Pro memoria”, „W cieniu Elvisa” oraz „Pierwszy singiel Elvisa”.

Człowiekowi Temu zawdzięczam kilkakrotne wyprowadzenie mnie z ogromnego „doła” psychicznego po nagłej i niespodziewanej śmierci mojej żony Marii, jak również wypadkach komunikacyjnych, w których sam o mało nie zostałem pozbawiony życia.

Cyt. „O Elvisie, który przecież, żyjesz ciągle w sercach naszych Twa Legenda i dobroć – pozostaną po wsze czasy”. Miał całkowitą rację John Lennon wypowiadając znamienne słowa „przed Elvisem nic nie było”. Podpisuję się pod tym wielokrotnie!



MACIEJ PIOTR

Grając z bratem Ryszardem na gitarze pierwsze przeboje Elvisa Presleya wkroczy-

liśmy w świat, który nie skończył się kadencją.

Utwory Króla Rock’n Rolla zagościły na stałe w naszym domu. Były inspirujące, pobudzały do śpiewu i tańca.

Muzyka Presleya na stałe weszła do repertuarów wielu zespołów i wykonawców.

Jako 17-to latek powołany do zespołu „rozrywkowego” odkryłem, że w ich repertuarze jest ponad 10 utworów Elvisa.

Na domiar brat przywiózł z pobytu w Stanach Zjednoczonych 20 longplayów Elvisa Presleya. Przesłuchując tę „stertę” utworów nasiąknąłem nimi i ... zacząłem śpiewać. Tak, pokrótce, zaczęła się fascynacja Jego muzyką.

Potem była przerwa. Dzisiaj wracam do tej muzyki bo jej dźwięki brzmią ponadczasowo. Na styczeń – rocznicę urodzin Presleya, zamierzam przygotować recital/koncert „Niezapomniane przeboje Elvisa Presleya”



ANDRZEJ KOSOWSKI

Powszechnie znane były kłopoty, wręcz trudności na jakie napotykali młodzi wykonawcy śpiewając w obcym języku na przełomie lat 60 i 70. Piosenki Presleya można było wykonywać (w czasach szkoły licealnej) jedynie w wąskich gronach znajomych, aby nie narazić się na uwagi pedagogów. Całe szczęście mamy to za sobą. Ja wykonując od lat osiemdziesiątych bardzo różnorodny, czytaj użyteczny, repertuar nie sposób było ominąć utworów jakie śpiewał Elvis Presley. Mogę powiedzieć, że liczne kompozycje jakie wykonywał Presley staram się opracowywać „po swojemu”; nawet pomagam

młodszym adeptom sztuki piosenkarzkiej w wykreowaniu sposobu interpretacji. Może nie zawsze końcowe efekty są takie jakie bym oczekiwał, ale oni idą własną drogą i kiedyś będą na tyle spełnieni, że przypomną sobie, że zaczęli od repertuaru Elvisa Presleya.



KRZYSZTOF WODNICZAK

W latach 60. , kiedy w ostrowskiej księgarni przy ul. Raszkowskiej „wystałem” w kolejce za longplayem Elvisa Regrassa, – obok owoców cytrusowych prezent od braci kubańczyków w socjalizmie – stwierdziłem, że Elvisa Presleya mogę zaliczyć do moich ulubionych wokalistów. Kiedy zaś usłyszałem utwór Fiver Edieggoj Cpleya i Johna Davenporta moja fascynacja odniosła się o kilka stopni wyżej. Najbardziej admirowałem w tym czasie jednak nagrania The Animals.

Kiedy– na przełomie lat 60. /70. rozpocząłem swoją działalność redakcyjno – menadżerską i popularyzatorsko – upowszechnieniową wśród swoich jednych z wielu dziedzin muzycznych w 25. rocznicę śmierci Elvisa Presleya zorganizowałem pierwszy koncert z cyklu POZNANIACY PAMIĘTAJĄ PRESLEYA.

Mam niemałe zadowolenie, wręcz się cieszę, że ciągle jestem w „grze”, jestem aktywny, bo chce mi się chcieć. Mogę nieskromnie stwierdzić, że jestem jedynym animatorem w Polsce, który od tylu lat pielęgnuje pamięć o Presleyu. Jak mówią cz innej, młodszej generacji „ Mam u nich za to piątkę”. W 2017 roku planuję aż trzy spotkania muzyczne z dominantą utworów jakie śpiewał dla nas Presley – 8 stycznia, 5 lipca i 16 sierpnia. Już DZISIAJ zapraszam do Poznania! •

WYWIAD PERKUSYJNY

Jest taki zespół w Poznaniu „Scent Of Music Blues”, a mnie zdarzyło się być ostatnio na jego próbie. Marek Kajdryś gra tam na perkusji. Pomyśleć by można, że to taki zwykły perkusista, ale nie, zupełnie nie – pan Mareczek, bo tak go nazywamy, ogarnia znakomicie wszystkie instrumenty zespołu i wymyśla dla nich linie melodyczne. Poza tym posiada szkołę perkusji ‘School Of Drumline by Marek Kajdryś’ i właśnie o perkusji – choć nie tylko – traktować będzie ten wywiad.

NATALIA MIKOŁAJSKA



Pan Mareczak Kosmita z werbelm nauczycielskim zawieszonym na szyi i z odbitymi w szkolnym lustrze uczniami w tle

Panie Marku, Mareczku, zacznijmy od podstaw – perkusistą można być jazzowym, popowym, rockowym i metalowym. Jakim jest pan?

Hm... Ja staram się być perkusistą w każdym calu, czyli grać każdy rodzaj muzyki. Gram na perkusji od 15, 16 lat i przez ten czas zawsze starałem się odgrywać różne style muzyczne. Dodam jeszcze, że kiedyś to było tak, że można było być muzykiem wykonującym, grającym tylko jeden typ muzyki. Teraz są inne czasy – w dzisiejszym świecie trzeba grać każdy rodzaj muzyki, praktykować w mniejszym lub większym stopniu wszystkie style.

ZATEM JEST PAN MULTIPERKUSISTĄ?

O! Tak. Właśnie tak jest.

Dobrze, trzymajmy się na razie tych podstaw – perkusje są akustyczne i elektryczne – na jakiej uczy pan grać w swojej szkole?

Większość moich uczniów z racji tego, że mieszka w blokach, małych domkach w mieście, kupuje sobie zestawy elektryczne, których dźwięk można spokojnie przekselować na słuchawki i nie przeszkadzać sąsiadom – to bardzo praktyczne. Tutaj w szkole są więc zestawy elektryczne i akustyczne. Zresztą trzeba uczyć grać na akustykach i elektrykach.

A JAKIE SĄ TYPY PERKUSJI?

Perkusja występuje w muzyce klasycznej i szkołach muzycznych, ale tam można używać nawet jednego tylko instrumentu...

Z tego co wiem – w szkołach muzycznych uczą o akordzie, a efekty perkusyjne nie mogą ponoć być składnikami akordu.

Tak, ale nie do końca, bo tylko jeśli chodzi i instrumenty perkusyjne membranowe, czyli np. werbel, bęben czy tamburyn. Chociaż przy ich odpowiednim nastrojeniu możliwe jest

jednak zagranie akordu – akord ma minimum 3 dźwięki. Są natomiast instrumenty perkusyjne melodyczne takie jak: wibrafon, ksylofon, kotły i marimba, na których normalnie gra się akordy.

WRÓĆMY JEDNAK DO TYCH TYPÓW PERKUSJI.

Właśnie – perkusja może też być przynależna stricte muzyce rockowej i jazzowej. Mamy wtedy dość typowy podstawowy zestaw instrumentów, ale w miarę potrzeby można też uzupełniać go o mniej reprezentatywne składniki. Przy tym typie perkusji – rockowej czy jazzowej – używa się po angielsku słowa drums.

O! DRUMS – TO TAK JAK NAZWA PANA SZKOŁY.

Tak, zgodzę się z panią, Nati – wyjątkowo, że tak powiem... W tym – rockowo-jazzowym –

znaczeniu polskie określenie perkusja jest odpowiednikiem angielskiego słowa drums, natomiast muzyk, grający na różnego rodzaju tych mniej reprezentatywnych składnikach, perkusjonaliach czy tzw. „przeszkadzajkach” (są to np.: shaker, tamburyn, triangel, conga, bongosy itp.) określane jest jako perkusjonalista.

CZY TE PRZESKADZAJKI TO TEŻ PAŃSKA BAJKA?

Tak, dokładnie tak. Od 15 czy 16 lat uczę się gry na perkusji i równocześnie gram na perkusjonaliach.

PRZESKADZJKACH?

Tak, choć to taka ich spolszczona nazwa. Mnie się podoba. Bardzo. Ale wracając – jest pan więc perkusistą czy perkusjonalistą? Cała kwestia wygląda tu w ten sposób, że perkusista zawsze może grać na różnych przeszkadzajkach czy perkusjonaliach, bo czuje rytm. Natomiast nie zawsze osoba obsługująca te przeszkadzajki umie grać na zestawie perkusyjnym. Czyli perkusista może być perkusjonalistą, ale odwrotnie to już nie jest takie oczywiste.

PERKUSJA I ZESTAW PERKUSYJNY

Czy o każdym zestawie perkusyjnym można powiedzieć, że to perkusja?

Tak. Jeżeli jest jakiś zestaw perkusyjny i ktoś wskaże na niego, że oto mamy perkusję, to jest OK. Ale pojęcie perkusja jest na tyle ogromne, że jeśli wyrzuciłbym teraz słowo perkusja, to mógłbym wymieniać instrumenty w nieskończoność. Bowiem sama perkusja ma tak rozbudowane instrumentarium, że głowa boli, bo są tam...

Proszę nie wymieniać panie Mareczku, tylko powiedzieć z czego składa się taki podstawowy zestaw perkusyjny?

Najpierw należy sobie odpowiedzieć do jakiego rodzaju muzyki. Jako że najpopularniejsza muzyka to rock lub metal, to najważniejszy chyba, bo najbardziej widoczny jest tu bęben wielki tzw. centralka. Najczęściej ma on 22-cale średnicy, choć może ich mieć też 24. Poza tym jest też werbel, czyli bęben mały, z reguły szeroki na 14 cali. Dalej są tomy, z reguły trzy. Pierwszy ma 16-18 a nawet więcej cali średnicy, drugi – średni – 4 cale i 5 – mały.

A TALERZY NIE MA W TAKIM ZESTAWIE?

Oczywiście, że są. Po pierwsze mamy tu tzw. hi-haty, czyli dwa stykające się równolegle talerze o różnej lub jednakowej grubości montowane na jednym statywie, które dzięki pedałowemu można obsługiwać nogą i wybijać rytm. Następny talerz to ride – ma on krótki i bardzo wysoki dźwięk. W jego górnej części występuje kopułka lub tzw. Bell, a poza tym ride może występować z nitami umieszczonymi w dowolnym miejscu powierzchni talerza.

Czy ilość talerzy odpowiada ilości bębnów?

Nie, ich ilość zależy od zestawu. W podstawowym mamy jeszcze blaszkę do akcentowania, tzw. cash, czyli talerz o różnej grubości w rozmiarach od 12 do 21 cali, używany dla podkreślenia rytmu w granym utworze i zwiększenia brzmienia bębna basowego lub werbla.

CZY WSZYSTKIE TE SKŁADNIKI ZESTAWU PERKUSYJNEGO MUSZĄ W NIM BYĆ?

Nie zawsze – można zagrać koncert na małej scenie, gdzie po prostu nie ma miejsca na cały zestaw perkusyjny. Czasami też gra się koncert kameralny – na taki ja zabieram ze sobą tylko centralkę, werbel, hi-haty i tomy, a zostawiam rida i casha.

CZY GORZEJ SŁYCHAĆ TAKĄ PERKUSJĘ?

Gorzej jak gorzej. Głównie chodzi tu o to, że okrojona perkusja traci na barwach. Po prostu mamy wtedy mniej blaszek i przez to okrojoną paletę barw, bo nie można już tak łatwo dostrajać się do całego utworu.

TAKI ZESTAW SIĘ ROZBUDOWUJE, TAK?

W szczególności w rocku progresywnym, gdzie perkusja spełniała poza rolę wybijania rytmu i nadawania tempa także funkcje melodyczne, budowy przestrzeni dźwiękowej i nastroju.

TO JAK – AKORDU PERKUSJA ZAGRAĆ NIE MOŻE, A MELODIĘ TO JUŻ TAK?

A jak rozbudować taki zestaw perkusyjny?

A co powie pan o pałkach do gry na perkusji? Na próbie miał pan, panie Mareczku, takie miotełki czy szczoteczki i był pan z nich bardzo dumny. Dlaczego?

Na zestawie gra się zazwyczaj drewnianymi pałkami (czasem mogą posiadać plastikową końcówkę), a w pewnych sytuacjach także specjalnymi miotełkami lub tzw. szczotkami perkusyjnymi (inaczej hot rods – kilkanaście cienkich witek połączonych plastikową oprawką)

A DLACZEGO WYBRAŁ PAN PERKUSJĘ?

Na jakiej perkusji najbardziej lubi pan grać?

Pana ulubieni perkusiści, wzory do naśladowania to...

Dlaczego perkusiści tak mają, panie Mareczku, że na jakimkolwiek koncercie są, od razu gładzą do rytmu?

NIE PERKUSJA

Dobrze, przejdźmy teraz do tego co wykonał pan na próbie, kiedy wymyślał pan melodię do jednego utworu każdemu instrumentowi, a w „Scent Of Music Blues” jest w sumie 5 takich instrumentów. Taka „umiejętność” nie jest dana chyba każdemu muzykowi. Czy to nazywa się talent? Skoro nie, to gdzie i jak pan się tego nauczył, panie Mareczku?

PRZYKŁADOWA LEKCJA (TEORETYCZNA) W ‘SCHOOL OF DRUMLINE BY MAREK KAJDRYS’

Ale my, pani Natalio, w szkole raczej nie przeprowadzamy lekcji teoretycznych.

JAK ROZPOCZĄĆ NAUKĘ GRY NA PERKUSJI?

Co jest potrzebne na początku, a co później? Chodzi mi tu głównie o wydatki, które ponieść musi każdy przyszły perkusista.

Czy perkusję się stroi?

Jak?

Moje ostatnie pytanie dotyczy tego, że kiedyś z dyrektorem administracyjnym pana szkoły perkusji załamywaliście ręce nad klaszczącą publicznością pewnego koncertu, proszę więc na koniec nauczyć nas – czyli i czytelników i mnie – jak należy klaszczać na koncertach. •

PIERWSZY TAKI REJS

z Presley'em na wodzie i na scenie...

„W życiu artysty najważniejsze są trzy daty – narodzin, wydania pierwszego singla i śmierci” – powiedział Krzysztof Wodniczak, pomysłodawca pierwszego w dziejach wydarzeń „Poznaniacy pamiętają Presley’a” rejsu statkiem. Parafrazując te słowa, w rytmie „That’s All Right”, zaśpiewajmy – w historii Poznania, już za kilka lat stanie się unikatową tradycja Rejsów z Presley'em.

DOMINIK GÓRNY

Rejs rozpoczął się 15 sierpnia br., kilka bitów po godzinie 15. Wskazówka słońca jak ramię gramofonu, wskazywała właściwy czas na „Love me tender” i „It’s now or never”. Popłynęliśmy...

Słuchaliśmy nagrań z płyty i grającego na żywo dziennikarskiego big bandu (szczególnie czułe dźwięki kontrabasisty Kazimierza Millera i drapieżne nastroje gitary Zbyszka Ostrowskiego, która w ruchach jego dłoni była klasyczna jedynie nazwy). Wspominaliśmy, bo przecież pamięć jak piosenka, która przyspieszając rytm naszych serc staje się przebojem. Rock and roll był obecny nie tylko na wodzie, ale i wieczorem, na „Scenie na Quadro” na Starym Rynku. Wtedy też usłyszeliśmy najbardziej ogniste szlagiery Presley’a w wykonaniu tych, którzy pamiętają. Z legendą Króla Rock and Rolla romansowała (jako pierwsza) Marianna Cwiąkała i „Ostatnie Takie trio”. Między tym, co pierwsze i ostatnie w naszych myślach i pragnieniach, jeszcze z plakatów grały i śpiewały takie nazwiska jak: Tomasz Dziubiński, Włodzimierz Janowski, Sławomir Jaślar, Grzegorz Kupczyk, Maciej Piotr, Chili Em, Cross Fire. Wiersz autorski wypowiedział Bogusław Graliński.

Are you lonesome tonight? Ależ skąd, nie byliśmy samotni tej nocy. Wydarzenie z cyklu „Poznaniacy pamiętają Presley’a” po raz kolejny pokazało nowe doznanie melodii kolorytu wyobraźni o tym jaki był Elvis, jego twórczość, marzenia – te spełnione i takie, które nigdy nie doczekały się wyśpiewania podczas tournée. Dobrze, że Poznań chce pamiętać... nie tylko legendarnie, ale współcześnie... że znajdują się ci, którzy wspierają takie inicjaty-



ZDJĘCIA HIERONIM DYMALSKI

AQUANET przyczynił się do Wodnej Sceny



ZDJĘCIA HIERONIM DYMALSKI

Pasażerowie czuli się jak w Kraju Radości

wy jak Miasto Poznań i firma Aquanet, dzięki którym rejs i koncert mogły mieć określony – godny zapamiętania wymiar.

Dlaczego Presley był „Królem”? – bo nie nosił korony ze złota, tylko z piosenek. A te,

które usłyszeliśmy podczas rejsu i koncertu miały w sobie blask rubinów i topazów – nie tylko takich, jakie możemy dziś podziwiać w miejscach poświęconych Presley’owi – zapewniam – „That’s All Right”.

Z KOMUNIKACJĄ ZBIOROWĄ NA TY

Jeśli na widok tramwaju świecą Ci się oczy; jeździsz ulubionym typem autobusu od pętli do pętli, żeby „zaliczyć” daną trasę; najchętniej odpoczywasz podróżując koleją, zwiedzając stare dworce czy wieże wodne, a może wolisz trasy wyłączone z ruchu. Nie lecz się. Inni mają podobnie.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Takich pasjonatów zrzesza Klub Miłośników Pojazdów Szynowych działający przy MPK Poznań. Odwiedzając jakieś miasto, nie zwiedzają oni starówki, czy muzeów, przecież trzeba objechać sieć tramwajową i sfotografować wszystkie jeżdżące tu typy tramwajów i autobusów. Wielu z nich urlopy planuje tak, aby przede wszystkim spędzić je na torach. Takie osoby pokonują olbrzymie ilości kilometrów torami kolejowymi, tramwajowymi lub liniami autobusowymi. Raczej trudno spotkać ich na plaży. Wielu miłośników zna na pamięć rozkłady jazdy, inni zbierają wszelkiego typu tablice z pojazdów, kolejne osoby budują makiety i modele.

Miłośnicy komunikacji miejskiej są często znawcami systemów transportowych wielu miast, ogromnych ilości rozwiązań technicznych i organizacyjnych stosowanych na całym świecie. Bez przerwy zdobywają wiedzę na temat komunikacji miejskiej, a jak się spotykają, to o tramwajach mogą rozmawiać bez końca.

Poza możliwością realizacji swoich zainteresowań, stowarzyszenie stawia przed członkami szereg celów m. in. propagowanie korzystania z komunikacji miejskiej, a także wdrażanie w niej najlepszych rozwiązań. Klubowicze wymieniają się swoimi poglądami oraz rozpowszechniają wiedzę, wydając „Przystanek”, czy organizując imprezy dla Poznaniaków i przyjezdnych gości.

JEST CO ROBIĆ

Najważniejsze zadania, jakie stoją przed KMPS'em, to opieka nad historycznymi i zabytkowymi pojazdami komunikacji miejskiej. Często nakłania się właściciela pojazdów (MPK Poznań) do wykonania niezbędnych napraw. Regularne wykonywanie remon-



XXXXXXX

tów generalnych pojazdów zabytkowych ze względu na brak pieniędzy jest niemożliwe. Właśnie dlatego od kilku lat trwa kwesta „Ratujmy stare bimby”. KMPS został uznany również za organizację pożytku publicznego, dzięki czemu każdy rozliczając podatek dochodowy, może przekazać 1% na ten cel. Zebrane środki zostaną przeznaczone na gruntowny remont jednego z tramwajów.

Z własnych zasobów Klub finansuje bieżące prace wykonywane ochotniczo przez członków stowarzyszenia. W tym roku dzięki m. in. staraniom miłośników udało się przywrócić do ruchu wagon Carl Weyer 305. W najbliższym czasie planowany jest remont wagonu 3G 805, a także wagonu silnikowego, który mógłby jeździć z doczepą sanocką ND 436, mowa o wagonach N 2024 i 4N 2022. Ten pierwszy został wyprodukowany w Stoczni Gdańskiej, drugi jest prawdopodobnie jedynym zachowanym wagonem silnikowym 4N w Polsce. Oba mają być po remontach tramwajami dwukierunkowymi. W kolejce czekają też m. in. KSW 158 czy S2D 423. Wiele jest również do zrobienia na polu autobusowym.

NIE ZAWSZE JEST RÓŻOWO

Nie wszystkie działania Klubu kończą się sukcesami. Do porażek należy zaliczyć zniszczenie jedyne go egzemplarza tramwaju 115N 400 czy nie zachowanie dla kolejnych pokoleń autobusów Ikarus IK160P – zwanych Zemunami, przedstawiciela jedynej w Poznaniu serii pojazdów trzyosiowych Neoplana N4020, czy też „Białej Damy”, czyli Ikarusa 435. Na szczęście ten ostatni znalazł się pod opieką warszawskich miłośników, więc będzie można go oglądać w stolicy. Wina w tych przypadkach nie leży po stronie KMPS, gdyż pojazdy były własnością MPK Poznań. Klub niestety nie dysponuje ani środkami finansowymi ani też zapleczem garażowym, by móc odkupić pojazdy wycofywane z ruchu.

Jeśli czujesz, że to coś dla ciebie – zgłoś się do Klubu Miłośników Pojazdów Szynowych. Terminy spotkań i szczegółowe informacje o działalności Klubu oraz o organizowanych imprezach dostępne są pod adresem: <http://www.kmps.org.pl>

* Na podstawie artykułu Łukasza Bandoza KMPS zaprasza zainteresowanych ze specjalnego wydania „Przystanku” z 17. 03.

2013 roku.

TURYSTYKA KOLEJOWA

Jeśli komuś jazda pociągiem kojarzy się tylko z dojazdem do i z pracy lub szkoły zatłoczonym składem albo z biznesowymi przejazdami w pierwszej klasie, to znaczy iż nie słyszał o turystyce kolejowej.

MICHAŁ SOBKOWIAK



XXXXXX

Turystyka kolejowa to nic innego, jak podróż (najczęściej) zabytkowym składem do różnych zakątków Polski, gdzie po drodze możemy podziwiać krajozabytki, zabytki architektury i techniki, brać udział w atrakcjach przygotowanych przez organizatorów, a po dojechaniu do celu np. zwiedzać miasta z przewodnikiem, popływać katamaranem czy zażyć kilkugodzinnej kąpieli słonecznej. Obecnie organizowane w Polsce przejazdy turystyczne są jednodniowe, ale m. in. w Niemczech, Szwajcarii, Hiszpanii, a nawet w Rosji można spędzić w pociągu dwutygodniowe wakacje. Przykładowo trasą kolei transsyberyjskiej można przemierzyć całą Rosję, zwiedzając poszczególne miasta na trasie, by na końcu dotrzeć aż do Chin. Taka podróż przez Azję w obie strony i z czasem na zwiedzanie, zajmie nam około czterech tygodni. Należy jednak uważać, by zamiast do luksusowego

pociągu turystycznego nie wsiąść do zwykłego rozkładowego, gdyż komfort podróży między nimi diametralnie się różni. Chyba, że ktoś jako atrakcję dodatkową uważa podróż w warunkach survivalowych.

W Polsce takich długich wycieczek kolejowych póki co nie ma, ale i tak jest z czego wybierać. Jednym z organizatorów kolejowych przejazdów wycieczkowych jest Instytut Rozwoju i Promocji Kolei, który uruchomił produkt turystyczny TurKol. pl.

TURKOL. PL

To organizacja profesjonalnie działająca na styku kolei z innymi dziedzinami rzeczywistości społecznej i gospodarczej. Od 1999 r. prowadzi działania związane z transportem szynowym i publicznym, zdobywając przy tym coraz większe doświadczenie i uznanie. Ponadto Instytut zaangażowany jest w kilkanaście projektów związanych z zarządzaniem,

badaniami, promocją i rozwiązaniami systemowymi dla kolei. Współpracuje z władzami samorządowymi, grupą PKP, przewoźnikami samorządowymi, mediami oraz sektorem prywatnym. Instytut lobbuje na rzecz transportu zrównoważonego oraz propagowania nowoczesnych rozwiązań w kolejnictwie.

WSIAŚĆ DO POCIĄGU...

W roku 2016 Turystyka Kolejowa TurKol. pl zaplanowała sporo ciekawych pociągów w różnych kierunkach. W ofercie znajdziemy m. in. dobrze znany wielu pasażerom przejazd pociągiem „Pirat” do kołobrzeskiego portu; podróż po Ziemi Kujawsko-Pomorskiej z piernikami w tle, czyli pociągi „Piernik” i „Ko-Piernik”; skład „Pojezierze” do Międzyzdrojów czy kończąca letnie wakacje wyprawa pociągiem „Kilof” w Sudety. Szczegóły oferty wycieczek dostępne są w zakładce „Kalendarium” na stronie TurKol. pl. •

KOLEJNY UDANY SEZON PRZESZEDŁ DO HISTORII

W dniu 2 października br. zakończył się kolejny już sezon na Kolei Parkowej Maltanka (zwanej po prostu Maltanką). Malownicza trasa tej urokliwej i zarazem będącej już jednym z symboli Poznania wąskotorowej kolejki (o rozstawie szyn 600 mm) wiedzie przez malownicze zielone tereny rekreacyjnie położone w pobliżu północnego brzegu Jeziora Maltańskiego.

BARTOSZ KAJ



Przez cały sezon 2016 (rozpoczęty w tym roku 16 kwietnia) Maltanka kursowała co godzinę w dni robocze i co 30 minut w weekendy oraz święta. Podobnie jak w latach ubiegłych największą popularnością cieszyły się Dni Pary, czyli wybrane weekendy sezonu, podczas których w miejsce jednej z dwóch lokomotywek spalinowych pojawiał się parowóz Borsig Bn2t z 1925 roku (zwany też w żargonie Borsukiem). Warto dodać, że ta unikatowa maszyna posiada dwie gwizdawki.



Pisząc o Maltance nie można też zapomnieć o liniach turystycznych – tramwajowej z numer 0 i autobusowej 100, które podob-

nie jak Maltanka na stałe wpisały się krajo-
braz stolicy Wielkopolski. W tym sezonie na
poznzańskie ulice po raz ostatni wyjechały
w niedzielę 25 września. Podobnie jak w la-
tach ubiegłych można było „przenieść się
w czasie” na pokładzie choćby składu po-
czciwych enek czy czerwono-kremowego
ogórka lub nieco młodszego ikarusa.
Poniżej kilka ujęć z tegorocznego sezonu
tak na Maltance jak i na liniach turystycz-
nych. Kolejna okazja na swoistą „podróż do
przeszłości” już wiosną 2017. •

Z NASZYM ŚWIATEM?

Chociaż sezon teatralny już za nami, wspomnimy jedną z najciekawszych premier tegorocznej wiosny, a będzie to „Lear” na motywach tragedii Williama Shakespeare’a „Król Lear” w reżyserii Jędrzeja Piaskowskiego, wystawiany na scenie Teatru Nowego w Poznaniu.

ANDRZEJ GÓRNY

Mamy przed sobą na otwarciu nieoznaczoną, niczym nienacechowaną przestrzeń ogromnej sceny obudowanej wysokimi białymi ścianami, co zdają się lekko lśnić, tak jakby wewnątrz było samo dla siebie, pogrążone jedynie w dostojności ciszy, która zwykle zaprasza, lecz tu jest w dziwnym nieoczekiwaniu, niejako wbrew naszej obecności. Stąd od razu rodzi się poczucie, że właśnie dlatego może stać się tu wszystko, z czym człowiek wtargnie i będzie czynił swoje, aż po wyczerpanie. W tej połyskującej bieli jest po prostu miejsce na wszystko i nic. Więc to nawet logiczne, że pierwszy jest tu Błazen (Antonina Choroszy), niemający własnego życia, na swój sposób wolna istota, bo karmiąca się wyłącznie życiem innych, i skazana na obnażanie cudzej prawdy, jaka by nie była. Inaczej on po prostu nie istnieje. U niego błaznowanie to coś o wiele więcej niż zawód. Z drugiej strony jakkolwiek by błaznował, nic się nie zmienia. Zawsze pozostaną tacy, co zostali porzuceni w biedzie, albo wręcz poczują się oszukani, dla których prędzej czy później musi przyjść czas zemsty. Siedzi więc Błazen przy rampie, z nami, niejako po sąsiedzku, i ma swej roli dość. Jest ostatecznie zmęczony, wie, że dla niego roboty nigdy nie zabraknie. Każdy swoim życiem nowej materii dostarcza, można by nieomal powiedzieć, że na swój sposób to ono, życie, samo błaznuje, kiedy ludzie ukazują się w nagiej prawdzie ich ciągle przewrotnych czynów. Czy jest możliwe, żeby istniała tego jakaś granica? Czy zmierza to do jakiegoś ostatecznego finału, kiedy nie ma wyjścia dla nikogo? Błazen rzeczywiście schodzi z pierwszego planu, puszczając niejako wszystko w ruch, wedle jego własnych prawideł, wszystkowiedzącego.



Mamy oto przed sobą władcę absolutnego, Leara (Aleksander Machalica), któremu nic nie jest w stanie zagrozić. Dokoła niego nic innego tylko świadectwa jego władztwa. Z kogo jest niezadowolony, lekką ręką skazuje na wygnanie. Dzieliąc królestwo między córki, pyta jedynie o wyznanie miłości względem siebie, która kocha najmocniej. Do konkurencji nie staje najukochańsza Kordelia (Mateusz Ławrynowicz). Ona jedna chce kochać ojca, ale na pewno nie króla. Urażona duma Leara jest mocniejsza niż miłość i natychmiast spotyka ją los wygnańca. Leara po prostu zwyczajnie uwiodła potęga własnego królewskiego panowania. Można powiedzieć, oślepiła go pycha. Nie przewidział, że jako patriarcha – już nie król opierający swoją wolę przede wszystkim na egzekwowaniu władzy – nie ma w tym świecie mocy skutecznego oddziaływania. Tu liczą się inne bardzo konkretne, namacalne argumenty. Oddając wymierne, wręcz uchwytne

materialnie królewskie atrybuty władzy, rujnował nie tylko swoją pozycję w królestwie, ale samo królestwo także. Rezygnując z atrybutów władcy, Lear spuszczał niejako ze smyczy namiętność władzy u innych, dając wolne pole innym do walki ich osobistych ambicji, co musiało się skończyć ogólną anarchią. We wzajemnej rywalizacji o władzę giną Goneryla (Gabriela Frycz) i Regana (Dorota Abbe) i także w imię obrony ojca Kordelia. Bo sprzymierzając się w tym celu z królem Francji, wówczas jednak wrogiem Anglii, siłą rzeczy znalazła się na straconej pozycji. Z kolei Księżę Albanii (Ildefons Stachowiak) ma szansę zabłysnąć jako ten, co ratuje Anglię przed zagrożeniem. Skrywane dotąd ambicje ujawniają się również u innych, którym wydaje się, że czas sprzyja, aby mogły się one spełnić. Tak jest w przypadku Edmunda (Nikodem Kasprowicz), który nie chce być gorszy w hierarchii od brata Edgara (Szymon Mysłakowski) – choć

jest takim z racji urodzenia. Ucieka się więc do intrygi, która uderza jednak w niego samego, a przy okazji nijako rykoszetem trafia też w ojca, Glostera (Tadeusz Drzewiecki). Nie ma się w tym świecie do wyboru zbyt wielu możliwości i rozwiązań wbrew pozorom. Jest albo pycha i bezwzględność władcy, który trzyma wszystko w swych rękach i trzeba mu czapkować – albo brak przytłaczającego wszystkich despoty nieuchronnie oznacza, że mamy wtedy natychmiast ambitne dążenia wielu, którzy poczuć się uprawnieni, nawet przeznaczeni, i wszelkimi możliwymi sposobami będą dążyć do władzy, co w ostatecznym rezultacie prowadzi do anarchii i chaosu. Dwie takie perspektywy – obie otwierające drogę do zła, a w konsekwencji do upadku – wyłaniają się jako jedyne możliwe rozwiązania, podsuwane przez rzeczywistość. Nie ma odejścia od tego dylematu – ku temu prowadzi nas przedstawienie. Zdaje się zresztą prowadzić nas dalej. Oto pod koniec, rośnie po środku sceny sterta strzępów, pozostałości po różnych ludzkich usiłowaniach i przedsięwzięciach, które okazały się niszczące albo po prostu nieudane, nazbyt obnażające ponurą prawdę rzeczywistości. Postaci, jak przegrani, po prostu porzucają, co stało się już nieużyteczne, i widzimy to po środku sceny. Leżą tam – świadectwa zawiedzionych nadziei, niezrealizowanych projektów, czy mocno nieudanych. Człowiek po prostu zawodzi. A na ścianie czytamy potem napis: „Nie ma wyjścia”. Prosty i nieodparcie przeprowadzony beznamiętny teatralnie wywód. Są jednak wśród tych porzucanych resztek także manekiny, słychać w ciszy puste ich stuknięcia, kiedy porzucane padają na podłogę sceny. Ale manekin, jak pamiętamy, z reguły budził dziwny niepokój i pytanie: Czy to już naprawdę coś nieodwracalnego, możliwy kres poznania, a w każdym razie ostrzeżenie dla nas – myślimy –, czy może coś w nim nadal pozostało jednak bliskie życiu, jakaś resztką jest jeszcze wspólna nam, żywym, choć może utajona, nierozpoznana, czego my, czując się w różnych okolicznościach przegrani – nie zauważamy, gotowi łatwo poniechać naturalną ciekawość. I może, w różnych sprzyjających okolicznościach manekin, kiedyś sprawi nam niespodziankę? Przypo-

wniało mi się od razu wielkie przedstawienie Tadeusza Kantora „Umarła klasa” w piwnicy krakowskich Krzysztoforów w 1975 roku, przed jego późniejszym światowym triumfalnym tournée. To tam myśli te nie dawały spokoju. W tym przedstawieniu od manekinów byliśmy gotowi dużo oczekiwać, że pozwolą nam coś odkryć, czegoś ważnego się dopatrzeć – po prostu przeżyć mocno znaczącą chwilę, i choćby jedną, krótką – niejako im wyrwać dla siebie. Tym bardziej, że sam Kantor też był obecny w przestrzeni scenicznego działania, i czuwał w skupieniu, obserwując aktorów i manekiny, jak manifestują ich zupełną: to osobność, to współobecność – i niekiedy osobiście wtedy ingerował, wtrącając jakby to były relacje naprawdę rzeczywiste. Uplłynęły dziesiątki lat i widzę, jak bardzo inaczej manekin jest tutaj użyty. Brak, którym niepokoi nas jego podobieństwo do istoty ludzkiej, już dzisiaj nie prowokuje by oczekiwać czegoś więcej. Tutaj manekin nie wymusza obecności człowieka. Odwrotnie, rzucane zwyczajnie na podłogę przez postaci, są po to, żeby obnażyć wszelkie miaraże, jakimi się karmiono i po prostu posprzątać je w końcu jako rzeczy absolutnie zbyteczne, a nie próbować z nimi jakiegokolwiek relacje na poły ludzkie. Tyle że dzisiaj na horyzoncie świta już myśl, że człowiek znajdzie prędzej czy później o wiele lepszego partnera do gry ze sobą, nauka zaczyna dzisiaj wspierać te przeczeczenia konkretnymi rozwiązaniami z dziedziny robotyki. Ale na chwilę obecną mamy jeszcze sytuację przeraźliwie jasno przedstawioną w końcowej scenie „Leara”. Zebrawszy oto pozostałości różnorodnych udanych i nieudanych poczynań w sterty, możemy jedynie czekać na śmieciarzy, żeby to wywozili. Postaci z każdą chwilą coraz bardziej stawały się tylko ludźmi (nawet nie aktorami, którzy jeszcze grali jakieś określone role!), jak my wszyscy na widowni. Tyle że jeszcze długo znoszono na środek sceny pozostałości tego co się działo. Jednak porzuciwszy je wszystkie, nie zeszli ze sceny. I, właściwie zgodnie z napisem: „nie ma wyjścia” – usiedli. Ale nie było w nich żadnego widocznego dla nas napięcia, wszyscy spokojni, na luzie, są pod ścianą w głębi sceny, nie mając widocznie sobie,

ani nam, nic do zarzucenia. To już przecież nie do końca są postaci, uprzytamniając sobie. Siedzą zwyczajnie, jak po skończonej robocie, i oddają pole całej sceny, nawet z tym co nieuprzątnięte – właśnie nam, na widowni! Bo w naszym kierunku cały czas spoglądają, jakby na coś jednak czekały. Ale my przecież wiemy, przychodzi refleks, że wszystko skończone. „Nie ma wyjścia” takim napisem na ścianie Reżyser nas przecież powiadamia o sytuacji, jaką sobie ludzie swoimi poczynaniami urządzili. W półmroku nie widać wiele, ale gdyby twarze dokładnie zobaczyć, może mielibyśmy trochę pewności, że to niekoniecznie rezygnacja siedzieć tak z uporem pod ścianą – i po swojemu, na bardzo zwyczajny ludzki sposób, z takiej sytuacji poniekąd się wyzwalać; i wbrew napisowi, przynajmniej ciągle ku nam spoglądać, czegoś widocznie oczekując. Bo czy jest inne myślenie u człowieka możliwe, dopóki się żyje?

Bagaż doświadczeń u wielu się gromadzi, ten i ów sam sobie wtóruje, ale z różnym skutkiem, najczęściej złym, bo nie zawsze zdobędzie się w sobie na chichoczącego błazna, co, jak wierne lustro, prawdę pokaże bez ogródek. Można powiedzieć ludzkość, w miarę narastania ludzkiej samowiedzy, musi błaznować już sobie sama. Nigdy przecież nie możemy być pewni, kiedy Życie samo ze siebie błaznuje, bo tak się rzeczywistość układa, a kiedy osobiście błazen interweniuje, coś dokładając, przerysowując. I widać, kiedy na otwarciu przedstawienia siedzi przy rampie, że na profesję jest po prostu skazana. •

*Teatr Nowy w Poznaniu prezentuje: „Leara”
na motywach „Króla Leara” Williama Shakespeare’a.*

Przekład: Józef Paszkowski.

*Reżyseria i opracowanie muzyczne: Jędrzej Piaskowski; dramaturgia Michał Pabian; scenografia i kostiumy: Justyna Elminowska; opracowanie dźwięku: Kamil Kęska; reżyseria światła: Paulina Góral; projekcje video: Marta Nawrot; inspicjent, asystent reżysera: Józef Piechowiak.
Premiera: 9 kwietnia 2016.*

O NIEOBOJĘTNYM KONCERCIE EWELINY I PIOTRA

W poznańskiej Cafe Dylemat od dwóch już lat cyklicznie – w ostatni wtorek miesiąca – odbywają się koncertowe Wieczory Nieobojętne. Może w nich wziąć udział każdy właściwie, jednak po wcześniejszym zaaprobowaniu i umówieniu się z organizatorem. W ten wtorek gwiazdą wieczoru był – bowiem taka jest zawsze – duet Rajchel/Kałużny.

NATALIA MIKOŁAJSKA

Wieczór Nieobojętny zaczął się od wspólnego śpiewania wykonawców i muzyków z publicznością, do którego zachęcali wspólnymi siłami Krzysztof Dziuba i Przemek Mazurek – połowa organizatorów i sił sprawczych imprezy. Tych *spiritus movensów* jest jeszcze kilka, bo Wojciech Winiarski i Paweł Głowacki, ale ich akurat w ten wtorek nie było albo tak zręcznie ukrywali swoją obecność, że nie mogłam ich dokładnie zlokalizować wśród grypy muzyków przygrywających wokalistom.

Wróćmy jednak do tego początkowego wspólnego śpiewania: podzielone ono było na dwie części – rozpoczynającą Wieczór i go kończącą – a cała publiczność otrzymała stosowne kartki z niezbędnymi do śpiewania tekstami. W przerwie zaśpiewano wspólnie jeszcze jeden utwór Maryli Rodowicz. Wypada tu teraz dodać, że tradycją Wieczorów Nieobojętnych jest zamawianie u Przemka Mazurka piosenki, którą pisze on w trakcie imprezy i wykonuje wraz z którymś z wokalistów, a raczej z wokalistką na jej końcu. Tym razem – w ramach głosowania, a poddano mu trzy propozycje – wygrała piosenka z tematem „In vitro”. Pan Przemek poradził sobie z nim idealnie, bo nie dość, że muzyka była nietuzinkowa, to tekst był genialny, a in vitro stało się w piosence panem In Vitrem, który znakomicie nadaje się na tatę, jeśli tylko nie ma innych możliwości.

Teraz należy się cofnąć – piosenka o In Vitrze grana była przecież, zresztą zgodnie z programem Wieczoru, na jego końcu – wracamy więc do początku. Na scenie występowali wszyscy ci, którzy umówili się wcześniej z organizatorami. Są to ludzie, dla których kształt i wydźwięk wykonywanego utworu nie jest obojętny, którzy są w niego zaangażowani, przy czym miało się wrażenie, że prawie każdy zna całą resztę, i że lubią się wzajemnie – nie było tam zatem raczej żadnej rywalizacji. Tym bardziej, że Przemek Mazurek twierdzi, że *nie chce, żeby te wieczory były jakąś formą ścigania się o to, kto lepiej zaśpiewał, zagrał, kto ma lepszy wokal*. I tak, śpiewało naprawdę wiele osób, a wszyscy zapowiadani byli przez Przemysława Mazurka lub Krzysztofa Dziubę (pan Przemek miał przecież piosenkę do pisania i nie mógł stać wychodząc na scenę) jako starzy znajomi. Przygrywało im również wielu muzyków. Dostatecznie im to wychodziło, ale w wielu przypadkach były to utwory powszechnie znane i lubiane, covery po prostu. Na dodatek wykonywane były przez totalnych amatorów, jednak mam tu na myśli raczej tylko wokalistów, bo muzycy chyba wszyscy już do tej amatorskiej grupy nie należeli. Co się tyczy amatorszczyzny wokalne, to kiepska, bo taka raczej wyłącznie szkolna i nie wyćwiczona była tu dykcja. Zresztą podobne było całe opracowanie emocjonalne utworu – jak z pod-

stawówki, a chwilami i z przedszkola. Co prawda, z tekstami i kompozycjami własnymi również mieliśmy do czynienia, ale było ich zaledwie kilka – niestety w tej chwili prym na koncertach, w telewizji, radiu i wszędzie właściwie wiodą covery.

Druga część Wieczoru zarezerwowana jest zwykle – jak już wiemy – na koncert jednego wokalisty/muzyka lub całego zespołu. Tak było i tym razem. Dopiero o godz. 22. 00, a może parę minut wcześniej, po kilkuminutowej przerwie technicznej wystąpił – jak już wiemy – duet Eweliny Rajchel i Piotra Kałużnego. Wspaniały jest ten duet – wokalistka śpiewa ładnym stonowanym i czystym głosem swoje teksty, również po angielsku, pianista i aranżer pięknie gra, także solówki na pianinie. Jednak czy nie było ich za dużo? W każdym utworze pan Piotr szalał na klawiaturze. Fakt, że pięknie, ale czasami trzeba umiaru... Dodać tu jeszcze należy, że gdyby dołączyli oni do swojego duetu Rajchel/Kałużny jeszcze inne instrumenty, na pewno zrobiłoby się o nich głośno, nie tylko w Poznaniu – ich występ bowiem spotkał się z tak gorącym przyjęciem, że po koncercie domagano się bisów, co pani Ewelina skomentowała nieśmiało: *Ale my nie spodziewaliśmy się bisów*. Może jednak oni najlepiej czują się w swoim towarzystwie i obecność innych muzyków zaburzyłaby tylko proces twórczy? •

PAMIĘTAJMY O OGRODACH

Ten cytat przejęty z map neuronalnych poetów ściśle się wiąże z moim i przyjaciół muzyków występem w Rodzinych Ogrodach Działkowych im. Chociszewskiego, potem na ogrodach „Głuszynka” na Starołęce, ROD im. 2 Armii Wojska Polskiego przy ul. Bukowskiej 175 oraz ROD im. Adama Mickiewicza przy Drodze Dęńskiej.

WŁODZIMIERZ JANOWSKI

Jako mieszkańcy miasta Poznania, w którym się urodziłem znane są obszary, na których dzierżawcy 200, 300 czasem z kawałkiem metrów kwadratowych pieczołowicie i cierpliwie przekopywali peląc fragment po fragmencie każdą piędź ziemi, niszcząc naturalne środowisko kretów – konflikt interesów.

Stawiali tanim kosztem jakąś altanę, która stanowiła dla działkowców często drugi dom, gdyż przechodząc na długo wyczekiwana emeryturę spędzali na ogrodzie koniec swej człecznej egzystencji.

Siali marchewkę, kapustę, sałatę i wszystko to, co mogło wzbogacić domową kuchnię. Nie ma wątpliwości, że owi działkowicze odciążali rynek wewnętrzny Państwa, które zawsze miało problemy ze zaspokojeniem podaży rynkowej.

Każdy starał się zdobyć „palmę pierwszeństwa” w najprzeróżniejszych konkursach ogłaszanych przez Zarządy. To najpiękniejsza róża, to przystrojenie altany, to uroda całej działki. Moi rodzice przez całe swe życie „uprawiali” te wymarzone kawałki gleby to na Smochowicach, to na Grunwaldzie za ogrodem Marcelesińskim.

Nikt nie zaprzeczy, chyba że jest totalnym ignorantem i dyletantem, że ogrody działkowe są dla miasta płucami, zatrzymują miejski kurz, wyciszają miejski hałas. Pełnią niezwykle ważną rolę w zbieraniu i cyrkulacji wody deszczowej.

Niestety dożyliśmy czasów, w których zaczął się liczyć zysk, w którym pierwszeństwo przejęli deweloperzy. „załatwiają” z kim się da i gdzie się da tereny pod budowę swoich osiedli, będących źródłem dochodu. „Ogra-



Rodzinyne zdjęcie solistów i zespołów

liśmy” z muzykami istniejące jeszcze ogrody, które na swe szczęście leżą na terenach niewygodnych dla „budowniczych nowej Polski”.

Jako jeden z wokalistów i muzyków miałem niewątpliwą przyjemność i radość uprzyjemnić kulturalną rozrywkę, jaką jest bez wątpienia muzyka życie społeczności działkowców. Ci oddani w całości swemu hobby ludzie nie mają często czasu na kontakt z kulturą jako taką. Przyjęli nas serdecznie obdarzając oklaskami i sympatią żegnając nas wręcz Papięskim „Dziękujemy”, a nawet udało się nam doprowadzić do też dziewięcioletniego działkowca, który doznał wyższych uczuć wsłuchując się w efekty naszych wykonania.

Myślę, że wprowadzenie działalności grup kultury na tereny pozostałości po „zielonym mieście” prowadzi do zaciśnięcia więzów

między wyalienowanymi nieco grupami działkowców, a miastem. Ponadto pozwala muzykom częściej sprawdzać swe umiejętności i talenty, korzystając z zubożałego rynku możliwości uprawiania sztuki w Polsce.

Pominę fakt lekkiej niewygody, w porównaniu z imprezami typu „Estrada”, ale na „bezrybiu i rak ryba” – bez urazy dla działek.

Gdzie te czasy, gdy pod znakiem Towarzystwa H. Wieniawskiego grało się to w obecnym parku Wilsona (niegdyś Kasprzaka), to w parku „Tysiąclecia...”

Na szczęście jest jeszcze Krzysztof Wodniczak mający dar przekonywania urzędników miejskich i zdobywający małe granty zabezpieczające honoraria dla artystów. Wspart te koncerty Wydział Kultury Urzędu miasta Poznania oraz Miejska Rada Seniorów •

Zdjęcie Andrzej Górczyński

HISTORIA PEWNEGO MNIE

W latach 2000/2001 w poznańskiej Farze odbywał się remont organów Ladegasta. Ukradziono wówczas lustro organowe. Opowiem państwu jak to się stało, że znów jest ono na swoim stałym miejscu.

REDAKCJA: NATALIA MIKOŁAJSKA

Oto ja.

Naszym źródłem będzie samo lustro. Udało mi się bowiem przekonać je, aby podzieliło się z nami swoją historią. Zgodziło się, ale pod warunkiem.

– Jakim?

– Chcę powiedzieć również o innych niż organy instrumentach liturgicznych.

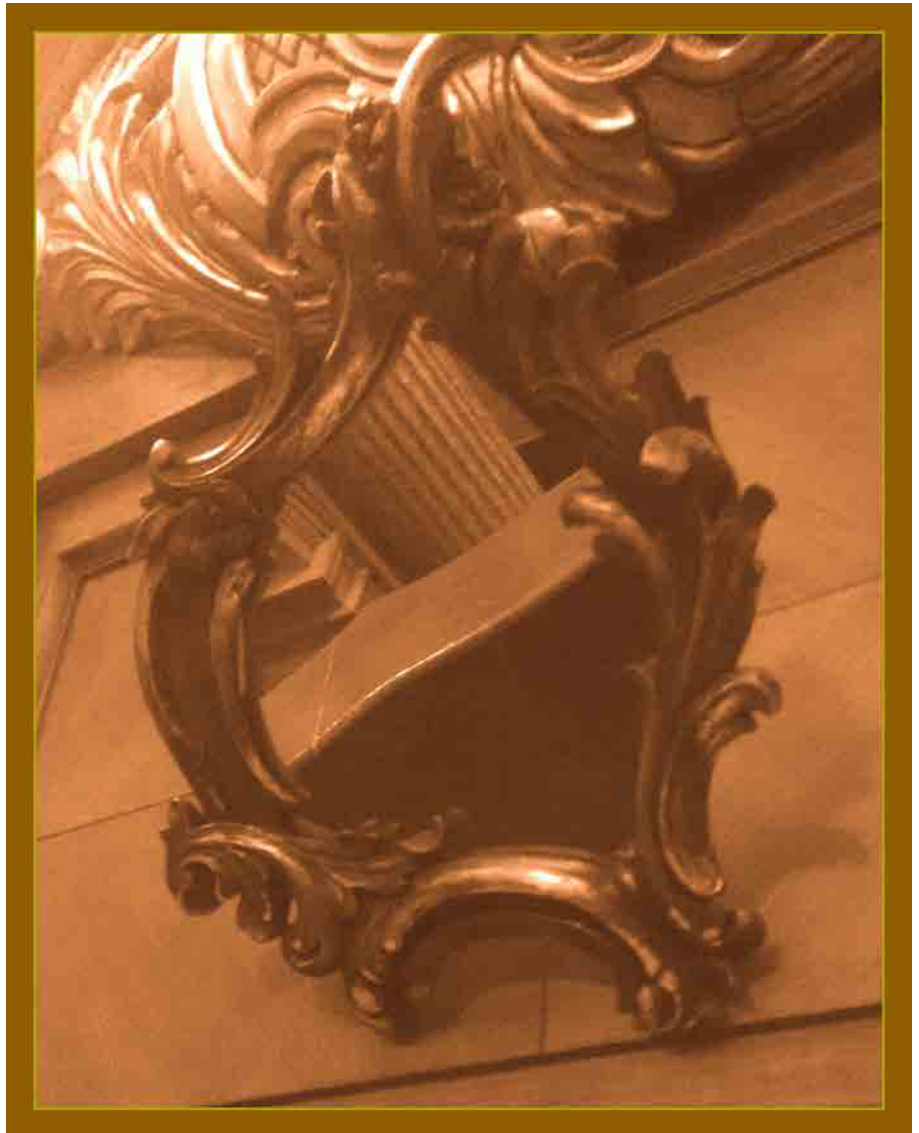
– Naprawdę, dlaczego?

– Bo warto wszystkich nieco douczyć, a każdy pretekst do nauki jest dobry... To co, chcesz poznać moją historię i chcesz posłuchać np. o tych wstrętnych gitarach w kościele, czy nie?

– No oczywiście..

LUSTRO ZACZYNA:

Mój *job* to organista, a raczej pomoc temu organistcie (*job* to po angielsku praca, ale fajnie czyta się to słówko po polsku – przyp. red.). Oczywiście dotyczy się to mszy świętych, bo w Farze grane są też koncerty. Wtedy mam luz, fajrant i nikt ze mnie nie korzysta. No, chyba że gra jakaś organistka-elegantka, która zawsze i wszędzie musi wyglądać świetnie. Taka nigdy nie przepuści okazji, żeby się we mnie nie przeglądnać. Ale organistek-elegantek raczej mało jest, więc generalnie pracować na koncertach nie muszę. Dodam, że dla mnie bycie lustrem organowym wcale nie jest łatwym *jobem*, bo nie jestem zbyt duży – w kościele Św. Krzyża na poznańskim Górczynie jest jeden wielki prostokątny mój kuzyn, z sześc, a może nawet więcej razy większy ode mnie. Super – jaką przestrzeń on ogarnia! Jednak ja nigdy z nim bym się nie zamienił – nie można godzić się na gorsze, bo dźwięk tamtych organów jest bardzo płaski, a samemu kościołowi brak tej strzelistości farnej, do której po prostu jestem już przyzwyczajony. Zresztą, nie przesadza się starych drzew.



Tak, tak, jestem starym lustrem w stylu barokowym – barok w Polsce to XVI i XVII wiek – ale spokojnie, nie bójcie się, aż takie stare drzewo ze mnie nie jest. Zrobił mnie w latach 50-tych XX wieku jeden z profesorów ówczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Nie wiem jak się nazywał, zresztą jest to nieważne – zrobił mnie i to był jego *job*, z którego wywiązał się znakomicie. Wiem za to, że wy-

gląda to dość dziwnie, iż Friedrich Ladegast nie przewidział lustra do swoich organów kościelnych. Jednak nie wiadomo w ogóle czy wtedy w zwyczaju było takie dostawianie lustra do instrumentu w kościele, czy też nie, bo może jakieś lustro jednak było, tyle że w zawierusze wojennej przepadło bez wieści. Pozostanie to zagadką. Zresztą, organy w założeniu pana Friedricha miały także służyć koncertom, a przy nich – jak już

mówiłem – z luster się nie korzysta. Z małymi eleganckimi wyjątkami. Ale to nieważne, bo najważniejsze teraz jest, że jestem tu, wróciłem, choć chciano mnie sprzedać i zgodziłem się opowiedzieć wam moją historię.

Przejdźmy więc do meritum, czyli do mojego zniknięcia. W latach 2000/2001 w Farze odbywał się remont organów. Fachowo nazywa się toto renowacją, bo było to dokładne, pieczołowicie przeprowadzone, szczegółowe, z ogromnym pietyzmem historycznym i dbałością o wygląd zewnętrzny i wewnętrzny instrumentu jego odnowienie, bowiem prawdziwy remont organów oznaczałby, że w sumie pojawiłby się nowe organy, już nie Ladegasta. Wtedy właśnie – zaraz na początku renowacji – zostałem odłożony na boczną empore chórową, świat o mnie zapomniał, ja zaś zapadłem w głęboki sen remontowy. Obudziłem się – nie wiem jak długo potem – kiedy usłyszałem znajomy głos organisty Grzegorza Celińskiego. Otworzyłem wtedy oczy i zobaczyłem jeszcze jedną znajomą twarz – ówczesnego proboszcza Fary ks. Wojciecha Wolniewicza i twarz drugą kompletnie mi nieznaną, która wyglądała tak jakby się czegoś obawiała. Dziś wiem już, że był to antykwaryusz z nieistniejącego już dzisiaj antykwariatu na Starym Rynku, który rzeczywiście się bał. Bał się, bo ks. Wojtek i p. Grześ nastraszyli go, że jeśli im mnie nie odda dobrowolnie (kosztowałem 1200 zł), to zawiadomią policję. Później dowiedziałem się, że pan Grzegorz natrafił na mnie zupełnie przypadkiem, kiedy przechodził koło antykwariatu przy Muzeum Henryka Sienkiewicza na Starym Rynku i spojrzał mimochodem na jego witrynę. Sprawdził na emporze chórowej bocznej czy mnie nie brakuje. Brakowało, więc zabrał ze sobą ks. Wojciecha i stare zdjęcia ze mną, które udowodniały, że ja to ja i poszli kłócić się z antykwaryuszem, który twierdził, że lustro – czyli mnie – miał w komisie od jednego ze swoich stałych „dostawców”. Facet postraszony policją, co szczęśliwie sprawiło, że się obudziłem, w końcu oddał mnie z powrotem do Fary. Wtedy to trafiłem już nie na boczną empore chórową, tylko do mieszkania ks.

Wojtka i tam dotrwałem do końca remontu, co *notabene* sprawiło, że jestem jedyną częścią nie odnowioną szafy organowej, choć nie jest aż tak źle – myślę, że stale wyglądam młodo i świeżo. Dobra, koniec historii. Zmieniamy temat.

Chcę was nauczyć głównie tego, że gitary nie są instrumentami kościelnymi, mimo że tak często słyszy się je teraz w kościołach. Och! Jak ja nie lubię gitar i jestem cięty i zły na jedną taką siostrzyczkę, która w swoim szarym habicie – szarytka jakaś chyba? – co tydzień pojawia się z chórkami dzieci na mszy o 11.00 w Farze i w części pieśni zastępuje organistę, a ja chwilami jestem niepotrzebny na mszy świętej. No, kto to widział? Lustro organowe nie wykorzystywane przez organistę w czasie mszy! Konstytucja o Liturgii Świętej mówi, że w Kościele łacińskim należy mieć w wielkim poszanowaniu organy piszczałkowe jako tradycyjny instrument muzyczny, którego brzmienie dodaje ceremoniom kościelnym majestatu, a umysł wiernych kieruje ku Bogu. Poza organami wolno co prawda używać w liturgii innych instrumentów, ale z wyjątkiem tych, które są zbyt hałaśliwe lub przeznaczone do wykonywania współczesnej muzyki rozrywkowej. A taka właśnie jest gitara! Oprócz niej do tego zbioru włącza się również: fortepian, akordeon, mandolinę, perkusję, wibrafon i jeszcze kilka innych takich dziwnych instrumentów. Teraz uwaga! Muzyka w czasie mszy świętej powinna być wykonywana wyłącznie „na żywo” i nie wolno w żadnym wypadku używać magnetofonów, adapterów ani radia.

Musiałam się tu trochę wciąć w ten muzyczny – liturgiczny wywód, ale w końcu obiecałam lustru czas na opowiadanie o innych niż organy instrumentach liturgicznych, więc, mimo że nie sądziłam, że będzie trwało to tak długo, nie mogłam złamać danego słowa i nawet pociągnęłam trochę temat:

– A co powiesz o skrzypcach i altówce? Mam od niedawna koleżankę, która gra na altówce właśnie.

Praktycznie wygląda to tak, że skrzypce i altówka są za ciche i moje organy zagłuszają każdą pojedynczą ich parę. Zresztą, solowa gra na skrzypcach czy altówce, którą chyba

bardziej masz teraz na myśli, niestety, dość szybko się nudzi. Oczywiście, można by tu stworzyć kwartet albo i całą orkiestrę, co jest jak najbardziej na miejscu, ale taki interes jest też drogi – każdemu muzykowi trzeba oddzielnie ileś tam zapłacić, bo przecież *nikt nie będzie grał za darmo* (są to słowa Darka Rogersa wypowiedziane w ‘Wywiadzie coverowym’, do którego dotarłem niedawno na waszym blogu, bo musiałem najpierw, zanim się zgodziłem, sprawdzić gdzie ukaże się ten artykuł i czy warto w ogóle w to się angażować).

Poza tym powstaje pytanie jak często, tzn. na ilu mszach dziennie i jak długo taka orkiestra, a ewentualnie kwartet ma grać. Na dodatek mamy też problem śpiewania i tego kto ma temu naszemu ludowi bożemu towarzyszyć w pieśniach. Wszakże normalnie robi to organista, a przecież jest także tak, że ambicja orkiestry – i dyrygenta, nie zapominajmy bowiem o szefie orkiestry – to błyszczenie i granie wybitnych dzieł wybitnych kompozytorów... Wszystko pięknie, a nawet bardzo pięknie, ale czy jest to potrzebne na każdej mszy? Powiem krótko: nie.

Poza tym liturgia po Soborze Watykańskim II powinna być powszechnie zrozumiała i wszystkim dostępna, tak samo muzyka – też ma być prosta. M. in. dlatego właśnie msze nie odbywają się już po łacinie, tylko tu w Polsce, w języku polskim, a wierni nie śpiewają już łacińskich chorałów, tylko pieśni po polsku. Przy czym połowa z tego to śpiew ludowy, który można by nazwać takim *disco polo*, tyle że starym. Zresztą tak to już jest, że niewielu ludzi, a właściwie tylko garstka z nich rozumie i zna zawilosci repertuaru klasycznego, nawet tego stosowanego w kościele, czyli liturgicznego – po prostu większość ludzi chodzi do kościoła i nie wie co słyszy. Niestety, to z kolei wymaga ich edukacji. Coś takiego na pewno potrwa wieki całe i będzie kosztować majątek, który kościół co prawda ma, ale nie na naukę wiernych, bo dawno już mecenasem kultury wysokiej nie jest... Hawk!

I lustro zamarło nieruchome, a mi pozostało tylko spakować manatki, zejść z empory chórowej i pojechać do domu.

Lustro z farnego Ladegasta

FORTEPIANISTA JACEK KORTUS

– wywiad z błyszczącym i czarnym fortepianem

Jak wiemy z tytułu fortepian jest czarny, błyszczący, nie ma na nim żadnej skazy – ani tej spowodowanej uderzeniem czy zadrapaniem, ani też tej od kopnięcia. Wygląda jakby wyjechał właśnie od producenta – wykonano go w japońskiej firmie „Yamaha”, był prezentem od Rafała Blechacza. To właśnie on – fortepian – stanie się na chwilę moją nową ofiarą wywiadowczą i odpowiadać będzie na pytania. Tak, tak... Bywają instrumenty mówiące, choć tak naprawdę większość z nich to milczki.

NATALIA MIKOŁAJSKA

B było to parę lat temu w „Piwnicy Farniej Pod Błazanym Kurem”, która – niestety – już nie istnieje. Było to niesamowite, bo knajpiana atmosfera sprawiała, że futerały od instrumentów różnych muzyków, wiedząc że jestem dziennikarką, zaczynały ze mną rozmawiać. Było to też zawsze spowodowane nieśmiałością urzędników muzycznych w nich przechowywanych. Było to na tyle częste, że – jakby w konsekwencji – moim wielkim marzeniem stało się zrobienie wywiadu z instrumentem. Jakimkolwiek. Niedawno nadarzyła się ku temu okazja. Po latach, ale i tak cała byłam w skowronkach.

Miałam zrobić wywiad z młodym pianistą Jackiem Kortusem, którego usłyszałam w Urzędzie Miasta Poznania w czasie recitalu fortepianowego pt. „Józef Wieniawski i Jego Mistrz”. Jest on także finalistą Ogólnopolskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie w roku 2005. Umówiliśmy się u niego w domu. Pojechałam tam, bodajże była to sobota, i musiałam czekać, bo pan Jacek omawiał akurat jakieś niespodziewane sprawy koncertowe. Jego mama zaprowadziła mnie do pięknego, dużego salonu z pięknym, dużym czarnym fortepianem, po czym wyszła. Usiadłam i usłyszałam niepewny i przyciszony szept: – Jesteś dziennikarką, czyż nie? Chcesz wywiadu? Często rodzice Jacka i on sam rozmawiają sobie o ważnych sprawach w moim salonie i parę rzeczy wiem. Ponieważ bardzo dobrze pamiętałam moje dawne kontakty z futerałami z jednej stro-

ny i wielkie marzenie ze strony drugiej, bez zmieszania i zastanowienia odpowiedziałam, że tak i wyciągnęłam kartkę z pytaniami. Natomiast fortepian już nie szeptał, tylko mówił głosem normalnym, a ja bałam się, że rodzice usłyszą. Dodać tu muszę, że na zdjęciu nie ma fortepianu, z którym rozmawiałam – jest inny, też czarny, bowiem ten mój cały jest zbyt nieśmiały, żeby udostępnić na potrzeby artykułu swoją fotografię.

Natalia Mikołajska: Powiedz mi kiedy i jak Jacek Kortus zaczął grać na pianinie?

Fortepian marki „Yamaha”: Na fortepianie... Ja jestem fortepianem, a on gra na mnie. Chciałabyś może na początek dowiedzieć się jaka jest różnica między mną a pianinem? Bo chyba nie wiesz.

Nie, nie wiem, a dobrze byłoby wiedzieć... Jaka jest więc różnica pomiędzy pianinem a fortepianem?

Zasadnicza... W pianinie cały mechanizm usytuowany jest w pozycji pionowej – kiedy naciskasz klawisz, to młoteczki mu przyporządkowane pracują w pionie. W fortepianie, czyli np. we mnie, one uderzają w poziomie, przez co szybciej wracają do pozycji wyjściowej i szybciej można wykorzystać je ponownie, szybciej grać. Zatem na pianinie ze względów technicznych nie da się zagrać niektórych bardzo szybkich utworów.

Dodrze, pouczające to. Ale, poziomy fortepianie, powiedz mi teraz kiedy i jak Jacek Kortus zaczął grać na pianinie? Jak stał się pianistą?

Jacek jest teraz fortepianistą. Pierwszy fortepian tata kupił kiedy Jacek miał jakieś 10, 11 lat. Wcześniej, oczywiście, było pianino – w wieku jakichś 7 lat – ale wszystko, cała pianistyczna, właściwie fortepianistyczna przygoda Jacka zaczęła się jeszcze w przedszkolu – kiedy miał 4 lata zaczął grać na keyboardzie, na którym grać miała jego siostra Karolina. To ona miała zostać pianistką, ale ostatecznie wcale z muzyką się nie związała – nierozważna i nieromantyczna – poświęciła się za to językom obcym i teraz zna biegle aż 4.

A ty nie jesteś pierwszym fortepianem Jacka?

Nie, ja jestem fortepianem trzecim i jestem prezentem od Rafała Blechacza.

Co najbardziej Jacek lubi grać?

Jacek lubi kompozytorów rosyjskiego romantyzmu: Rachmaninowa, Czajkowskiego, Scriabina Oczywiście lubi też grać Chopina, lubi Beethovena, Bacha. W zasadzie lubi grać każdą muzykę, ale wiem, że jakby miał wybierać, to byłby to na pewno neoromantyzm rosyjski.

Woli grać utwory dramatyczne czy lekkie, ocierające się o komedię?

Dramatyczne, stanowczo. Dodam teraz coś o jego rodzinie: tata Jacka gra amatorsko utwory dramatyczne i lekkie na gitarze, akordeonie klawiszowym i w zasadzie na wszystkich instrumentach klawiszowych. Zatem w praktyce na mnie też by mógł, ale tego nie robi – mnie trudno się stroi, a poza tym jeden fortepianista w domu wystarczy.

Gdzieś wyczytałam, że Jacek jest – ma 25 lat – wykładowcą poznańskiej Akademii Muzycznej. Nie za wcześnie?

Jacek ma lat 26, a wykładowcą jest, bo kiedy skończył z wyróżnieniem Akademię, od razu zaproponowano mu etat na Wydziale Instrumentalnym – specjalność fortepian. I teraz wciąż ma egzaminy.

Wykładowcy muszą do egzaminów podchodzić?

Nie, wykładowcy nie muszą do egzaminów podchodzić. Oni muszą je oceniać, co wcale nie jest taką mięciutką bułą z masłem. Nie mówiąc już o czasochłonności – każdy student prezentuje półgodzinny wybrany wcześniej przez siebie program, nad którym pracował w czasie całego poprzedniego semestru.

A kim dla Jacka jest prof. Waldemar Andrzejewski?

Prof. Waldemar Andrzejewski tak naprawdę Jacka wychował. Oczywiście tylko pod względem muzycznym, nie można odbierać roli rodzicom. Profesor zajmuje się nim od momentu gdy mały Jacuś miał 9 lat, a mnie na świecie jeszcze nie było. Po prostu zdał on na tyle dobrze egzaminy do Szkoły Muzycznej I stopnia – wiem, że tego nie pamięta i historię zna z opowiadań – że specjalnie dla niego zdecydowano się zatrudnić profesora, który wykładał i wciąż wykłada w Akademii.

To jak, nauczyciele od razu wiedzieli, że Jacek będzie wirtuozem?

Nie, nie wiedzieli. Nikt tego nie wiedział. Jednak w tym samym czasie nikt nie chciał ryzykować zmarnowania młodego talentu. Dlatego ostatecznie nauczyciele zdecydowali się zatrudnić wykładowcę w Akademii profesora, aby zajął się dogłębnie edukacją muzyczną małego Jacusia.

Czy Jacek często bierze udział w koncertach charytatywnych?

Pamiętam, że w zeszłym roku było ich sporo, bo mój fortepianista spędzał ze mną na ćwiczeniach strasznie dużo czasu. Mogę powiedzieć tylko o tym co mi się przypomina z roku 2012, z zimy roku 2012. Otóż jeden z tych koncertów organizowany był w Poznaniu, w starej drukarni przy rondzie Kaponiera, a pieniądze zbierała fundacja o bardzo miło brzmiącej nazwie, która brzmiała tak: „Chce mi się Chopina”.

Zbierali pieniądze na jakiś pomnik Chopina?

Nie, zbierali pieniądze na dwa domy dziecka.

A czy Jacek lubi występować charytatywnie, czuje się jakoś szczególnie?

Jacek bardzo lubi pomagać, a zwłaszcza lubi występy charytatywne ponieważ wie, że zebrane na dany cel pieniądze na pewno trafią do celu.

Wiesz może czy Jacek czytuje recenzje swoich koncertów?

Generalnie raczej tak, choć tego nie lubi. Nawet recenzji wyłącznie pozytywnych – one przecież mogą skutecznie zamydląć ci oczy. Jeśli natomiast chodzi o te negatywne, to przecież recenzent przychodzi tylko na gotowe dzieło. Nie było go, gdy Jacek godzinami nad tym dziełem pracował. I potem ten recenzent jedynie je ocenia, a nie wiadomo – może akurat będzie miał zły nastrój i stąd te negatywy. Także to czy ostatecznie otrzymamy recenzję obiektywną to spory znak zapytania.

Mówią, że recenzje to swego rodzaju drogowskazy dla artystów. Wszystkich, nie tylko muzyków.

Tak, pewnie. Wiem, że Jacek właśnie tak je traktuje, bo je czyta. Przy czym kiedy to robi, jest z dala ode mnie, także niewiele mogę tu powiedzieć.

Porozmawiajmy teraz trochę o płytach. Przecież są one czymś normalnym w życiu każdego muzyka. Również pianisty. W roku 2008 ukazała się pierwsza płyta Jacka z sonatami Ferenc Liszta i Fryderyka Chopina. Czy od tego czasu pojawiło się ich więcej?

Jacek to fortepianista... Nie za bardzo się orientuję w tych sprawach, ale chyba innej płyty nie było. Chociaż Jacek nagrywał od tamtego czasu wiele różnych rzeczy. Była to np. muzyka do filmu animowanego czy płyta-dodatek do „Gościa Niedzielnego”. Wiem też, bo jego rodzice coś prześluchiwali, że Jacek złożył wniosek o stypendium na nagranie płyty – to dosyć kosztowne – i jak na razie nic nie wiadomo. Przynajmniej ja nic nie wiem.

A wiesz co robi i co czuje Jacek po wygranym konkursie?

Po wygranym konkursie Jacek czuje ogromną radość, bo wie, że ten program, który na konkurs przygotował, nad którym ćwiczył

ze mną godzinami, był najlepszy w zderzeniu z programami innych konkursowiczów. Przy czym każdy wygrany konkurs jest dla niego przepustką do dalszej pracy, czymś mówiącym mu: podążaj dalej tą drogą, którą idziesz, bo to dobra droga... Dlatego następnego dnia Jacek ćwiczy na mnie już coś innego.

W czasie koncertu w Urzędzie Miejskim, na którym byłam, konferansjer powiedział o Jacku, że jest współczesną wersją Karola Szymanowskiego. Jak on się czuje z tym porównaniem?

Myślę, że czuje się wyróżniony, bo Karol Szymanowski to wybitny pianista i kompozytor. Uważam jednak, że porównanie to jest tu trochę nie trafione – Jacek nie komponuje. Nie zapytasz jednak jak czuję się ja, kiedy ćwiczy na mnie taki nowy Karol Szymanowski?

Ups, przepraszam. Jak czujesz się ty kiedy ćwiczy na tobie taki nowy Karol Szymanowski?

Ja czuję się, oczywiście wyróżniony, bo jak inaczej ma się czuć fortepian?

A dlaczego Jacek nie komponuje? Znakiem harfisty, niewiele starszy od Jacka, Michał Zator, uważa, że każdemu dobremu muzykowi zaczyna w końcu nie starczać to co stworzyli inni i musi sam zacząć komponować.

Tak, rzeczywiście. Jednak – jako że Jacek jak na razie komponować nie lubi – myślę, że po prostu jego czas jeszcze nie nadszedł. I tyle.

A powiedz mi jak ci się żyje z Jackiem, z tą nie komponującą połową współczesnego Karola Szymanowskiego?

Dobrze. Nie kłócimy się, żyjemy w zgodzie. Tylko on coś mało do mnie mówi, choć jednocześnie nie traktuje mnie po macoszemu, wręcz przeciwnie, bo mnie lubi. Bardzo nawet. Jednak traktuje mnie jak zwykły instrument, mechanizm, który ma być sprawny, ma działać. Przecież tak naprawdę ode mnie nie zależy nic – Jacek osiągnie sukces tylko i wyłącznie w zależności od tego ile godzin spędzi przy mnie ćwicząc grę.

Kto wie, może po wywiadzie to się zmieni i Jacek będzie już do ciebie mówił?

Bardzo bym chciał. Wręcz śnię o tym, co dziennie prawie. •

ŚPIEWANA NIE TYLKO DLA POETÓW

premierowy album (ZA) Delikatni

Dobre i mądre teksty, przyjemne dla ucha melodie i ciekawe aranżacje to wyznaczniki twórczości Zespołu Autorskiego „Delikatni”, który prezentuje nam debiutancki album pt. „Nic nie jest osobno...”. Jego wydanie zbiega się z 10-leciem twórczości poetyckiej Dominika Górniego, autora tekstów do większości piosenek zespołu i współtwórcy muzyki. Za publikacją krążka stoi Wydawnictwo „Bellona” i Fundacja Kultury i Historii w Warszawie, którzy sfinansowali jej wydanie.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Z blisko 50 autorskich piosenek na płytę trafiło 21, wykonywanych na koncertach i kilka premierowych. Z dobrze znanych publiczności (ZA) Delikatnych są tutaj takie jak m. in. : „Zaułki snów” (utwór napisany z okazji obchodów 25-lecia Odrodzenia Niepodległej Rzeczypospolitej), „Pozytywka”, „Sekret wiosny”, „Otwarty dom” (premiery koncertowa z okazji uroczystości beatyfikacji św. Jana Pawła II), „Tak trzeba”. Wśród nowych piosenek do świata poezji i lirycznych nastrojów zapraszają takie jak np. : „Na przystanku maja”, „Dedykacja dla Franciszka” i „Tango gwiazd”. Ten ostatni, zgodnie z życzeniem wydawcy, dedykowany jest pamięci Józefa Skrzypca, założyciela „Bellony”. Śpiewają je Małgorzata Franek-Malinowska, Renata Baranowska, Dominik Górny, Grzegorz Grześkowiak i Piotr Łakomy. Każda z piosenek – jak mówią słuchacze – jest o czymś, ma swoją opowieść i pozwala utożsamiać się z przeżyciami jej bohaterów. Klimat poezji śpiewanej również w aranżacjach w stylu rock (gitarra Michała Kurka), pop, blues i jazz (piano Dominika Grześkowiaka), uzupełniają 4 kompozycje instrumentalne (szczególnie wpada w ucho „Zakazany owoc”), którym lirycznej energii dodaje saksofon Darka Piechalaka.

Dlaczego warto posłuchać płyty Zespołu Autorskiego „Delikatni”? Decydują o tym



Dominik Górny



przynajmniej 4 rzeczy. Po pierwsze jest tutaj tradycja istnienia zespołu, który powstał w listopadzie 2012 roku i koncertował w ważniejszych ośrodkach kultu-

ralnych w całej Polsce, w tym w „Piwnicy Pod Baranami”. Po drugie, każda piosenka, choć podobna w stylistyce, jest inna od strony swojej tematyki. Sprawia to, że do albumu chce się wracać. Po trzecie. Słyszemy różnorodność przeżyć i emocji członków zespołu. Po czwarte. (ZA) „Delikatni” to zespół poznański, któremu udało się skupić uwagę środowiska ogólnopolskiego, co w dzisiejszych trudnych dla kultury czasach, należy uznać za sukces.

Co o swojej twórczości sądzą „Delikatni”? Przywołajmy choćby dwa stwierdzenia; Małgorzata Franek-Malinowska, wokalistka, wyznaje – „Interesuje mnie żywy kontakt z publicznością, a płyta ma pozwolić trwać temu klimatowi w domach naszych słuchaczy”. Z kolei Dominik Górny, jeden z założycieli grupy, mówi – „Cieszymy się, że znaleźliśmy swoich słuchaczy, choć wcale jego nie szukaliśmy. Dzięki temu wszystkim, którzy nas wspierają na twórczej drodze. Tworząc teksty, śpiewając i komponując muzykę zawsze miałem na uwadze prawdę przekazu. I nie chcę, żeby ta *prawda* była jakimś wielkim słowem. Chodzi o to, że w twórczości nie można się bać pokazać siebie, etapów dojrzewania emocji tak, aby były dla drugiego człowieka budujące i budziły nadzieję”. Ci, którzy wysłuchają płyty, mogą się przekonać, że tak jest, bo przecież „Nic nie jest osobno...” – jak mówi tytuł płyty. •

JUBILEUSZ ZESPOŁU WOKALNEGO KONSONANS

Uwerturę obchodów stanowił udany minirecital w Klubie Dziennikarza w Jeżyckim centrum Kultury, ale 21 lipca w osiedlowym Domu Kultury Jubilat odbył się Koncert Jubileuszowy XV lecia zespołu i zgromadził pełną salę widowiskową, co świadczy o znaczeniu i popularności tej grupy. W skład zespołu KONSONANS wchodziły dwie Panie (Renata Kupsh i Katarzyna Stasik – Haze) i trzech Panowie (Dariusz Stocki, Stanisław Joszcz i Jerzy Plenzner), tworząc kwintet wokalny -zgodnie brzmiący adekwatny do nazwy z podkreśleniem dużej zasługi kierownika Dariusza Stockiego, który jest „kombajnem” instrumentalno – wokalnym i sprawcą opracowań w warstwie podkładów.

KAZIMIERZ MILER

Bardzo szeroki repertuar nie spadł zespołowi z nieba lecz jest zasługą długoletniej pracy zdolnych, utalentowanych ludzi. Dzięki temu posiadli umiejętność zespołowego śpiewu oparte go o właściwą emisję i dykcję, poparty praca nad wyrównaniem brzmienia w poszczególnych głosach i rejestrach. To wszystko doskonalili KONSONANS przez lata, kiedy zaczynał jako grupa śpiewacza Zespołu Pieśni i Tańca Wielkopolska (za czasów kierownika, reżysera i choreografa Romana Matysiaka), a następnie towarzyszył folklorystycznym zespołom Lusowiaci i Staropoleanie. Tym muzycznym śpiewakom nie wystarczył repertuar folklorystyczny, poszerzali konsekwentnie zakres umiejętności w poszczególnych gatunkach muzycznych od pop aż po jazz. Niezależnie równolegle koncertowali samodzielnie. Zasługi na polu muzycznym docenił i obdarował KONSONANS rzeźbą Statuetką WODNIKA, znany animator kultury, prezes Towarzystwa PTAAK (Polskie Towarzystwo Artystów, Autorów, Animatorów Kultury) Krzysztof Wodniczak. W ten sposób KONSONANS dołączył do rodziny WODNIKÓW, w której już są Halina Frąckowiak, Krystyna Prońko, Ewelina Rajchel, Józef Skrzek, Piotr Kałużny, Wojciech Korda, Grzegorz Kupczyk, Wojciech Hofmann, Krzysztof Ścierański.

Gości koncertu jubileuszowego rozgrzały do czerwoności pozycje z repertuaru przebojów muzyki światowej (Moon Ri-



ver, Chanson d Amour, Lady Be Good, Hello Dolly), a kubańska Guantanamo bisowna na stojąco przeszła w gremialne „Sto lat” na część Jubilata. Był oczywiście szampan i płonący tort. Zespół długo przyjmował gratulacje i serdeczne życzenia oraz stopy

kwiatów. Ja gratulując KONSONANSowi powtórzę za prezesem Wodniczakiem : żeby nie ustawał w podnoszeniu poziomu i poszarzaniu repertuaru, aby w naszym mieście zasłużyć jeszcze bardziej na tytuł profesjonalnych wokalistów. •

VII WYŚCIG JASZCZURÓW

VII Festiwal Niezależnej Twórczości Filmowej i Fotograficznej Osób Dojrzałych 60 plus WYŚCIG JASZCZURÓW odbędzie się w dniach 8, 9 10i grudnia. w Poznaniu Jak przewiduje regulamin w pokazie konkursowym mogą uczestniczyć filmy i fotografie zrealizowane przez autorów, którzy w dniu zgłaszania filmu lub fotografii mają ukończone co najmniej 60 lat.

TADEUSZ KUJANEK



W przypadku pracy zbiorowej przynajmniej jeden z twórców musi mieć ukończone 60 lat. Utwory zgłoszone na festiwal nie mogą być realizacjami komercyjnymi, dopuszcza się jednak prace realizowane przez niezależnych producentów i fotografików, które finansowane są lub współfinansowane ze środków publicznych. Filmy i fotografie nie mogą mieć charakteru promocyjnego lub reklamowego i muszą to być prace wyłącznie powstałe nie wcześniej niż 2006r. Czas trwania filmu nie może przekraczać 60 min. Każdy autor może zgłosić maksymalnie 3 filmy i 10 fotografii lub 3 cykle zdjęć. Termin nadsyłania prac wraz z kartą uczestnictwa upływa 5 listopada br. Filmy i fotografie należy zgłaszać pod adresem POLSKIE TOWARZYSTWO ARTYSTÓW, AUTORÓW, ANIMATORÓW KULTURY PTAAAK, ul. Jackowskiego 5/7, 60-508 Poznań. Organizatorzy nie pobierają żadnych opłat za zgłoszenie filmu lub fotografii.

Organizator festiwalu Towarzystwo PTAAAK powołuje dwie komisje kwalifikacyjne (jedną dla filmów, drugą dla fotografii) celem weryfikacji zgodności zgłoszonych prac z regulaminem oraz wyeliminowania prac o niskich walorach artystycznych, a także nie spełniających wymogów technicznych. Autor zgłaszający film lub fotografie na festiwal wyraża jednocześnie zgodę na nieodpłatną prezentację podczas projekcji konkursowej i innych imprez promujących festiwal. Ponadto wyraża również zgodę na emisję 1, 5 minutowego fragmentu filmu w telewizjach regionalnych i ogólnopolskich w celach promocyjnych festiwalu. „Wyścig Jaszczurów”.

VII edycja Festiwalu to kolejna szansa na odkrycie w sobie talentów filmowych i fotograficznych, a w ten sposób także ocalenie dziedzictwa narodowego jakim jest najważniejsza ze sztuk, jak powiedział klasyk - film

i fotografia. Dzięki kolejnym edycjom Konkursu udało się zapoznać z ogromną ilością dokumentów, zdjęć oraz unikalnych wspomnień, historii opisanych uczestników wydarzeń z tamtych lat. Coroczny konkurs to czas mobilizacji, sygnał do przeszukania domowych archiwów, piwnic czy strychów i przypomnienia jak ważnym jest chronienie tych artefaktów. Przy okazji konkursu, honorujemy poza uczestnikami konkursu artystów, muzyków, animatorów kultury i fanów, którzy poświęcają swój wolny czas i środki na chronienie i kultywowanie pasji jaką jest filmowanie i fotografowanie.

Wyniki sześciu edycji Festiwalu WYŚCIG JASZCZURÓW wykazały, że idea jaka mu przyświeca jest nośna. Dzięki temu przedsięwzięciu pojawiło się wielu znakomitych realizatorów filmowych oraz wybornych fotografików, niekiedy właśnie na naszym festiwalu zadebiutowali •

WODNIKI POD LIPAMI

Stało się tradycją, że Krzysztof Wodniczak – znany poznański dziennikarz, publicysta, pomysłodawca i organizator wielu cyklicznych imprez i festiwali, animator kultury muzycznej, przyznaje ufundowane przez siebie statuetki WODNIKA ludziom i instytucjom, wyróżniającym się w różnych dziedzinach sztuki, ale przede wszystkim form muzycznych.

RYSZARD BĄCZKOWSKI

Kolejne takie wydarzenie miało miejsce 1. października w Osiedlowym Domu Kultury „POD LIPAMI”, gdzie odbył się koncert pt. „Wodniki Wodniczaka”. Koncert miał formę prezentacji na żywo różnych solistów i zespołów, dla których i tym razem Krzysztof Wodniczak ufundował WODNIKI – statuetki wykonane przez znanego artystę rzeźbiarza i fotografa – Kazimierza Rafalika.

Dla jednych wykonawców była to forma uznania, dla innych, również forma promocji, mająca na celu wypromowanie nowych talentów, które na to zasługują. A jeśli o odkrywaniu nowych talentów już mowa, to niewątpliwie wydarzeniem wieczoru był występ młodej i niezwykle utalentowanej wokalistki, Marty Grabowskiej. To, że ujęła (w końcu zdecydowanie już dojrzała) publiczność urodą i skromnością – to jedno. Ale wykonanie przez nią takich piosenek jak WRÓĆ DO SORENTA, EURYDYKI TAŃCZĄCE, czy CZŁOWIECZY LOS, było dla publiczności niezwykle zaskoczeniem. Tembr głosu Marty Grabowskiej i aranżacja, do złudzenia przypominające Annę German powodowały, że gdyby nie to, iż na własne oczy widzieliśmy na scenie młodą dziewczynę, nikt nie dałby wiary, że to nie sama Anna German zeszała z Nieba, by dla nas zaśpiewać. Zapewniam Państwa, że Marta Grabowska stanie się, a właściwie już się stała nowym odkryciem Krzysztofa Wodniczaka i czas, kiedy o niej jeszcze nie raz usłyszymy nie jest odległy.

Nie mało wzruszeń swoim występem dostarczył nam również wokalista so-

ulowy – Włodzimierz Janowski. Los pozwolił temu artyście oglądać świat tylko oczyma duszy, ale talent wokalny i walory głosowe, jakimi obdarzyła go Natura powodują, że swoim śpiewem (a i grą na saksofonie) artysta pozwala nam w głębi tej duszy zajrzeć. Dokonał tego, brawurowo wykonując takie standardy, jak: GEORGIA ON MY MIND, SWET HOME CHICAGO, TEARS IN HEAVEN, LET IT BE ME, czy I CANT STOP LOVING YOU – Raya Charlesa.

Zespół Forcom Band popisał się kilkoma znanymi i nie łatwymi wykonawczo utworami i o ile piosenka Czerwonych Gitar - Historia jednej znajomości, posłużyła zespołowi do wyczucia akustyki Sali, to trzeba przyznać, że wykonanie kolejnych standardów było bardzo zbliżone do oryginałów, a na szczególne uznanie zasługiwały partie solowe gitarzysty, którego koledzy z zespołu słusznie nazywają czarodziejem gitary.

Wspaniałym zwieńczeniem wieczoru okazał się występ zespołu wokalnego Konsonans. Zgodne i harmonijne brzmienie wokalistów (dwie panie i trzech panów) całkowicie uzasadnia trafność nazwy zespołu, zaczerpniętą z terminu muzycznego. CZEKOLADOWY TWIST, ZIMNY DRAŃ, czy LAMBETH WALK, prowokowały publiczność do śpiewania wraz z zespołem, co zresztą było intencją artystów i znakomicie się powiodło.

Szkoda tylko, że akustyk obsługujący imprezę nie zapanował nad nagłośnieniem, gdyż wzbudzające się od czasu do cza-

su mikrofony powodowały przydźwięk, który mocno przeszkadzał zarówno artystom, jak i odbiorcom ich wspaniałego występu. I nie o krytykę rzecz tu idzie, ale uwagę tę polecam Szefostwu O.D.K., gdyż warto zrobić wszystko, aby w przyszłości takie zjawisko nie psuło dobrych występów, jakimi ODK „Pod Lipami” zasłużenie może się szczycić.

Kulminacyjnym akcentem i nie małą niespodzianką okazało się uhonorowanie przez wokalistów zespołu Konsonans gospodarza wieczoru – Krzysztofa Wodniczaka, który właśnie obchodził swoje 70. urodziny. Tą niespodzianką było znakomite wykonanie piosenki zespołu ANDRZEJ I ELIZA – CZAS RELAKSU. Tyle tylko, że do tej właśnie melodii wokaliści wykorzystali tekst napisany swego czasu przez nieżyjącego już Andrzeja Sobczaka, specjalnie dla Krzysztofa Wodniczaka i też z okazji urodzin. Publiczność na stojąco przyłączyła się do śpiewu, a wrzucony Jubilat sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego, że nie ma aż tylu statuetek.

Aby czytający tę relację mogli ocenić walor tego „Dytyrambu na cześć Krzysztofa Wodniczaka” (właściwy tytuł autorski to „Czas Wodnika”), poniżej załączam jego słowa, a Zarząd i członkowie Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, życzą Czcigodnemu Jubilatowi wielu kolejnych sukcesów i stu lat w zdrowiu i wszelakiej pomysłowości!

Ale Drogi Krzysztofie, tych stu lat których Tobie życzymy, nie traktuj jako limit ostateczny, tylko jako pułap, poniżej którego zejść Tobie nie wolno. •

TWÓJ CZŁOWIECZY, SZCZĘŚLIWY LOS...

recital Marty Grabowskiej

Uśmiechaj się, do każdej chwili uśmiechaj... – ustami tego właśnie szczęścia, które nutą prawdy jest, zaintonowała swoją pieśń Marta Grabowska, 17 lipca 2016 roku, w Jeżyckim Centrum Kultury. Ta młoda, choć dojrzała w swoim głosie artystka, wcieliła się w postać Anny German. Nawet podobnie jak ta legendarna polska piosenkarka, ubrała piosenki w nastroje, których zwyczajnie, chciało się słuchać... chciało się je usłyszeć...

DOMINIK GÓRNY

Jaka była pieśń Marty Grabowskiej? – liryczna, nastrojowa, to znów dynamiczna i zawiadiacka, mająca swój człowieczy los.

Siedziałem przy stoliku Polskiego Towarzystwa Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAAK. Znalazłem swoje gniazdo. Tak, wcześniej go szukałem – wyznał jeden z gentlemanów, będących po prawej stronie piosenki, z którą chciałem się zaprzyjaźnić. Trwał ten wieczór i niebo bez gwiazd – było na nie za wcześnie. Nie za późno jednak na „Bal u Posejdona”.

Wybiła godzina osiemnasta. Weszła w obłoku białej sukni, na obcasach nie zaśpiewanej jeszcze melodii, z rumieńcem pragnień w gestach. Włosy rozpuszczone jak młode myśli... Ramiona przykryte oddechem snów – PIOSENKA o imieniu Marta... Niektóre osoby z publiczności, mówiły przed koncertem – ciekawa je-



stem kim jest Marta Grabowska? Jak zaśpiewa utwory mojej ulubionej piosenkarki? Pytania te, może nawet i słuszne, po około godzinie (tyle trwał recital) przerozdzili się w stwierdzenie – osobowość Marty Grabowskiej kryje w sobie wrażliwość artysty Anny German. I co ważne, nie robi tego w sposób wymuszony, ale naturalny. Wynika to z fascynacji ścieżką artystyczną tej piosenkarki – co zresztą podkreśliła wokalistka występująca na scenie poznańskiego „Ogródka Sztuki”.

Jeśli warto było przyjść na ten koncert, to zapewniam o tym słowa zaśpiewanej na bis piosenki „Człowieczy los” – „Na dzień szczęśliwy nie czekaj, bo kresu nadejdzie czas, nim uśmiechniesz się chociaż raz”. Ja się uśmiechnąłem. •

HAPPENING GITAROWY

Pojawili się w tym roku nowi organizatorzy Akademii Gitary, którzy za bardzo próbowali eksperymentować na żywym organizmie. Dotyczyło to szczególnie działań w obrębie Seniorów, poszczególnych mniejszych koncertów i recitali, a także odbywającego się Happeningu.

HIERONIM DYMALSKI



Puste krzesło, kapelusz, gitara, szalik przypomniaty śp. Tadeusza Mandat Lisa

W tym roku grających na Starym Rynku gitarzystów uczestników. Było bardzo wiele wolnych krzeseł, jednak jedno wyróżniało się; było bardzo charakterystyczne stworzone bowiem przez znajomych i kolegów od „muzykowania”. Na nim pojawiły się charakterystyczny kapelusz i gitara czyli rozpoznawalne symbole przez lata używane przez Tadeusza Mandat Lisa. Ten powszechnie lubiany poznański bard przez wiele lat uczestniczył w poznańskim Happeningu Gitarowym, a który zmarł 1 stycznia 2016 r. Przy tym „Lisowym” krześle, oddając Mu hold, pojawi-

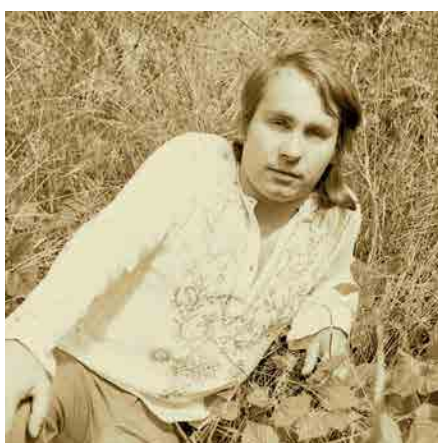
li się Zastępca Prezydenta Poznania Jędrzej Solarski, Przemysław Kieliszewski – twórca Polskiej Akademii Gitary, dyrektor Teatru Muzycznego, Krzysztof Wodniczak – prezes Towarzystwa PTAAAK (Tadeusz Lis był członkiem zarządu), muzycy Ireneusz Wojciechowski, członkowie Press Bandu Jacek Kasprzycki i Zbigniew Ostrowski. Jego przyjaciół, druż z ulicznych grań spotkań także grajek uliczny Waldemar Herczyński zagrał dla Tadeusza Mandata Lisa na harmonijce ustnej melodie z kanonu gospel i bluesa Amanzing Grace. Organizatorzy tegorocznego festiwalu nie pamiętali o tej charak-

terystycznej postaci tworzącej jakże urokliwy koloryt poznańskiego Starego Rynku, dobrze że znaleźli się tacy, którzy pokazali w ten sposób, że potrafią pamiętać...

POZNAŃSKIE BOOGIE – WSPOMNIENIE O WOJTKU

Moje zetknięcie z muzyką Wojtka Skowrońskiego sięga 1997 roku, kiedy to podczas spotkania wśród znajomych nagle usłyszałem świetny rock and rollowy utwór, który jak się okazało pochodził z ostatniej studyjnej płyty Wojtka – „Jak się bawisz?” (1987).

PIOTR PRZYBYLSKI



Wojciech Skowroński

Charakterystyczne zagrywki fortepianowe artyści, zdecydowanie podkreślały indywidualność Jego wirtuozerii, na którą nasze media były zamknięte właściwie niewiadomo z jakich powodów.

Skowroński był muzykiem zespołów: Storyville Jazz Band, Czerwono – Czarni, Bardowie, Hubertusy, Drumlersi, Nowi Polanie, Grupa ABC Andrzeja Nebeskiego.

Po opuszczeniu Grupy ABC postanowił utworzyć pierwsze swoje trio, które nawiązywać miało do muzyki, którą miał „we krwi”. Blues Trio (1969) nagrało pierwsze autorskie utwory Skowrońskiego. Wojtek konsekwentnie dążył do tworzenia muzyki, która była bliska Jego sercu – potwierdził to w kolejnych swoich projektach grając w stylach jak blues, boogie oraz stosując elementy rocka i jazzu.

Utworzony w 1972 Blues & Rock podtrzymał muzyczne tradycje, lecz popularność zdobyły pojedyncze przeboje. Jako ciekawostkę warto zaznaczyć, że w październiku 1972



zespół wystąpił na festiwalu Jazz Jamboree i podczas tego występu została nagrana na żywo pierwsza płyta w historii polskiej muzyki.

W 1985 roku została zarejestrowana w Polsce pierwsza płyta w stylu boogie „Fortepian i ja”. Nagrane przez trio utwory potwierdziły talent Skowrońskiego, pozwoliły nadać mu tytuł najlepszemu muzyka boogie w kraju. W tamtych latach, kiedy nie dominował już tak bardzo rock and roll, pojawiała się muzyka, której tak naprawdę jeszcze nie znano. Myślę, a raczej wiem, że Wojtek przyczynił się do propagowania tego stylu w Polsce. Dzisiaj choć nie ma Go z nami 11 lat, nazwisko Jego kojarzy się właśnie z bluesem i boogie.

Organizowane kilkakrotnie koncerty dla uczczenia pamięci i przypomnienia muzyki Wojciecha Skowrońskiego za każdym razem przyciągały rzeszę publiczność, która doceniła i nie pozwoliła zapomnieć muzyki, bardzo często granej w różnych klubach polskich i zagranicznych, m. in. także Poznania,



w którym Wojtek spędził prawie całe swoje życie.

Niestety jak to często bywa u nas w kraju, Wojtek nie był doceniony tak jak powinien, większe uznanie zdobył grając za granicą. Ludziom, którzy nie mieli okazji poznać muzyki Skowrońskiego mogę polecić stronę poświęconą Jego pamięci, na której można zapoznać się z całą dyskografią i dokonaniem. Jestem przekonany, że każdy znaj-



Wojciech Skowroński

dzie coś dla siebie, a wyszukana muzyka nie pozwoli odejść Wojtkowi w zapomnienie...

www.wojciechskowronski.pl

Skowroński współpracował z wieloma autorami tekstów a najpopularniejsze dla niego utwory pisali m. in. : Piotr Moszyński, Andrzej Sobczak, Jacek Cygan, Marek Dutkiewicz, Zbigniew Stawecki...

Jednym z moich ulubionych koncertów Wojtka jest występ w Studio Hi – Fi, który odbył się jesienią 1986 roku. Klimat koncertu pokazał, że Skowroński zawsze miał bardzo dobry kontakt z publicznością i zawsze wykonywał świetną muzykę. Szkoda tylko, że gospodyni koncertu niezbyt się do niego przygotowała – nie wiele wiedziała o Wojtku, nawet nie pamiętała tytułów piosenek, które niegdyś królowały na listach przebojów.

Drugim godnym polecenia koncertem to sopockie spotkanie z „Dinozaurami Polskiego Rocka” 11 i 12 lipca 1986 roku podczas koncertów „OLD ROCK MEETING”, których organizatorami byli Franciszek Walicki i Marek Karewicz.

Na koncert ten zjechali z całego świata muzycy, którzy dekady wcześniej tworzyli legendę polskiej sceny rockowej, występując po latach przerwy z zespołami mającymi wielki wpływ na rozwój muzyki rockowej w naszym kraju. Przez dwa długie wieczory brzmiała w sopockim amfiteatrze muzyka, która nie mogła nazywana być rock and rollem a otrzymała miano – Big Beatu...

Gorąco polecam zapoznanie się albumem pt: „Old Rock Meeting” i gwarantuję powrót do wspomnień oraz świetnej muzyki lat 60-tych, 70-tych, która już na wieczność zapisana została w historii polskiej muzyki rozrywkowej i chwała tym muzykom bo dzisiaj to nasza narodowa duma. Warto przypomnieć, że w lipcu 2013 minie 27 rocznica od tego historycznego wydarzenia.

Smutek nasuwa mi się na myśl, kiedy pomyślę, że tamte czasy nie wrócą a dziś już wielu artystów z nami nie ma, lecz gorszy jest fakt, że obecna muzyka nie ma ducha, jest sztuczna a pomimo tego bardzo często realizowana z playbacku. Czy zachowa się przez kolejne dekady w naszej pamięci jak Big – Beat? – nie sądzę... •

ZDJEŃCIA WIKTOR FRANCZYŹYŃ (5)



Blues and Rock Wojciecha Skowronskiego

CZAS JEST ILUZJĄ

– wywiad z Andrzejem Górnym

Czym dla Pana jest czas? Zgadza się Pan z Julianem Barbourem, który twierdzi, że czas jest iluzją?

Myślenie o czasie zaczęło się u mnie od bardzo dawna, ale pierwotnym punktem wyjścia do tego była przestrzeń, kiedy się przede mną nagle otwierała i zatrzymywała na długo, najczęściej w zaskoczeniu. I ona zawsze stawia mnie wewnątrznie na baczność, czułem, że jestem w pogotowiu, w oczekiwaniu, bez względu czy się coś dzieje, czy na nic się nie zanoszą; i nawet o wiele bardziej wtedy, kiedy niczego szczególnego nie oczekuję, a ona niemal intymnie dawała się odczuwać, zawsze w istocie nieosiągalna. Mówiłem sobie wtedy: wystarczy, że tak się w ciszy otwiera. Sytuacja sprzyjała temu w czasie wakacji. Rodzice zostawali z moim wtedy kilkuletnim bratem, w Zakopanem, a ja szedłem w góry. Miałem dwa lata takich absolutnie samotnych wędrówek, tym bardziej, że spotkanie wtedy w wysokich Tatrach z turystami nie było częste. I właściwie wystarczyły te dwa okresy, aby przestrzeń coraz więcej zaczynała dla mnie znaczyć. Stało się to nawet po cichu istotniejsze, niż zdobywanie turystycznie poszczególnych szczytów. Zaczynało też być powoli – mimowiednie – moją tajemnicą. Bo jak o tym mówić w naszym świecie kontaktów i rozmów celowych, i przede wszystkim użytecznych, czego z reguły wszyscy oczekujemy i żądamy – i mnie to, oczywiście, także dotyczyło.

Zdałem sobie dzięki temu sprawę, że doznawanie przestrzeni samej w sobie ma radykalnie odmienny charakter. Ona jest po prostu zwyczajnie bez ograniczeń uchwytnych w jakikolwiek sposób. I tak jedynie dawała się opisać i scharakteryzować. A ja znajdowałem wtedy siebie coraz bardziej jako sprzężonego z przestrzenią przede mną, która nie ma granic, I po co myśleć o cza-

ku, kiedy trwamy w intensywnym z nią kontakcie, widząc ją np. w obrysie dalekiego krajobrazu; czas co najwyżej tężał mi wtedy na wzór rozległej przestrzeni; i nie było potrzeby odrywać się od trwania w niej. To był, można tak powiedzieć, początek moich doświadczeń z czasem. Uświadomiłem sobie, że niepostrzeżenie czas przestaje być wtedy ważny, zrozumiałem, że w tym intensywnym kontakcie z przestrzenią, czas jakby „się zastał”, a więc czujemy, że jego realność jako bezwzględnie obiektywna kategoria bytu staje się wątpliwa. Wtedy w swoim rewaniu w człowieku, tym bardziej triumfuje poczucie wyzwolenia, wewnętrznej lekkości, niekoniecznie jednak dostatecznie sprecyzowane, dookreślone na tyle, aby wystarczało jako w pełni przeżyte i spełnione doświadczenie życia. Tak więc czas i przestrzeń traciły dla mnie swój jednoznaczny charakter dość wcześnie. Musiał jednak przyjść moment, kiedy człowiek do tego niedopowiedzianego w sobie przeżycia wróci.

Po latach odezwał się brak, można nawet powiedzieć, że tęsknota za intensywnym odczuwaniem przestrzeni przynoszącej człowiekowi poczucie otwarcia, ale i czającego się w tym skrycie – niedokonania, czego jednak się nie rozumiało, o co w tym chodzi. W latach siedemdziesiątych zwłaszcza po napisaniu powieści „Odsłoń, krzyknij”, gdzie bohaterom horyzont ich życia zakreślały jeszcze przede wszystkim miasteczko i wieś, próbowałem pisać powieść o Meksyku, o przestrzeniach jego wyżyn, gór i żyjących tam Indian. Punktem wyjścia miał być los małej grupki uciekinierów po klęsce Powstania Styczniowego 1863 r, która najpierw schroniła się w zaborze austriackim, by w końcu zaokrętować się w Trieście, należącym wówczas do Cesarstwa Habsburgów we Wiedniu, i stamtąd popłynąć do Meksy-

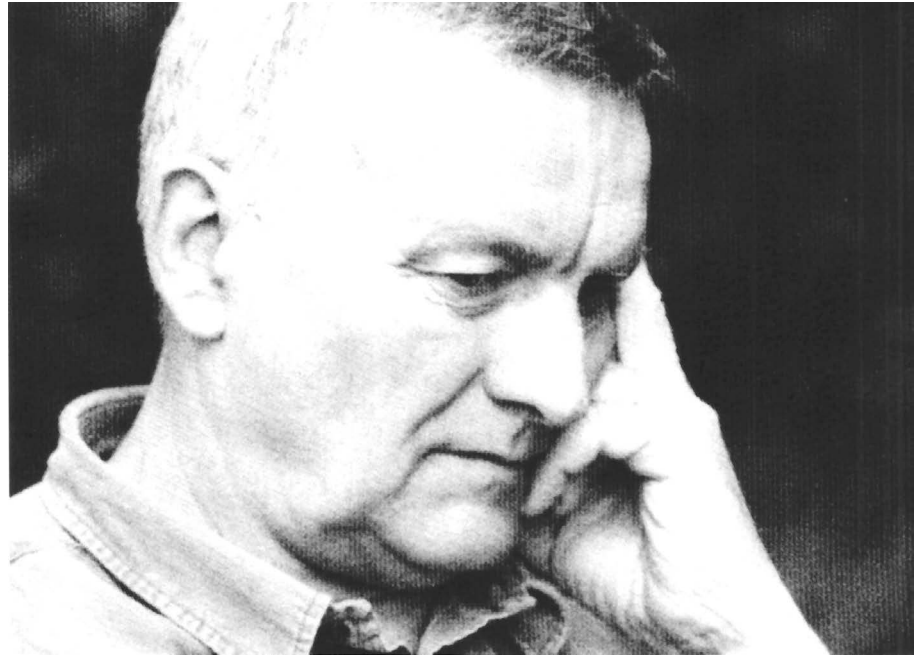
ku. Ale próba budowania przez Maksymiliana Ferdynanda, (którego brat panował we Wiedniu) cesarstwa w Meksyku pachniała kolejną awanturą kolonialną. Więc skończyłem rzecz na krótkim początkowym obrazie pustyni – na swój sposób triumfującej, niczemu nieuległej niezmienniejącej się przestrzeni, gdzie w dramacie ograniczonym do jedyne podziału na dzień i noc zabrakło jednak obecności człowieka, a ja nie potrafiłem konsekwencji tego braku wtedy przezwyciężyć. (Ten krótki fragment ukazał się w miesięczniku „Nurt” w połowie lat siedemdziesiątych)

Kilka lat później miałem jednak okazję do bardzo szczególnego kontaktu z pustynią, spędzając długie godziny na pokładzie statku płynącego wolno kanałem Sueskim w obie strony, gdzie kilkanaście metrów przede mną rozpościerała się pustynia Synajska. I oto bez ruchu rozciągającej się aż po widnokrąg przestrzeni wygaszał, jakby z góry, wszelki możliwy ruch, i po trochu także już we mnie myśli. O nic w tym pejzażu nie chciało mi się pytać, a już w żadnym wypadku o czas: czy cokolwiek, co widzę, istnieje w określonym czasie, i co to w ogóle znaczy? Czy tu o niego pytać, że coś upływa w określonym czasie, w naszych, przez człowieka stworzonych kategoriach – ma sens? Może po prostu to jest, sobie trwa! I na tym koniec. Tu każda myśl o ruchu obumiera w nieodpartym uspokojeniu przynikającym głębiej, zagarniającym coraz więcej w człowieku. To wtedy odruchowa niemal potrzeba, aby coś drgnęło, coś się zmieniło – zastygała, pozostawiała nas jako niepotrzebnych. To wtedy właśnie jedyne, co wprowadzało zmienność, ruch, a więc w konsekwencji, wręcz konieczność powoływania czegoś takiego do „istnienia” jak czas – to były omamy świetlnych błysków od czasu do czasu tworzące się i zanikające w jednostajnej oddali, gdy, napinając uwagę, wpatrywa-

łem się uporczywie w rozświetloną słońcem pustynię, będąc na tym pokładzie całkowicie sam; bo był to statek handlowy i byli na nim jedynie marynarze po prostu zajęci, zapracowani na swoich stanowiskach.

Kilka lat później doświadczyłem o wiele głębszego, bardziej rzeczywistego znieruchomienia rzeczywistości i okazało się, że czas nie potrafił się temu oprzeć, zdawał się znikać, trochę jak uzbrojenie nagle do niczego nieprzydatne. Bo tylko w pewnych okolicznościach bardzo mocno rozwiniętej naszej cywilizacji czas się zdecydowanie mocno, wszechwładnie niemal, aktywuje, i to do tego stopnia, jak obecnie, że potrzebne są nawet zegary atomowe z ich ogromną dokładnością. Są jednak sytuacje, kiedy odwrotnie, czas spowalnia, zdaje się wręcz dla nas znikać. Kiedy znalazłem się w Wietnamie takie absolutnie wyjątkowe doświadczenie mnie dopadło. Byłem w mieście Ho-Chi-Minh półtora roku po zdobyciu Południowego Wietnamu przez wojska Północnego Wietnamu, kiedy miasto pozostawało jeszcze w istocie przez jakiś czas ciągle Sajgonem, niby wielką metropolią miejską, tyle że zegary były już niepotrzebne i miasto, na poły jakby bez celu przed sobą – znieruchomiało. Mogłem, będąc tam dziesięć dni, włóczyć się po mieście, nie widząc w oczach mieszkańców oczekiwaniami na cokolwiek, rzecz można, życie zatrzymane w połowie oddechu. Siadałem czasem na progu bramy i patrzyłem na ludzi sposobujących się do posiłku i zaraz do spania w tym samym miejscu to znaczy na jezdni czy chodniku, gdzie trudno było przejść. Nie spoglądając na zegarek – to pomagało dopasować siebie do aktualnej rzeczywistości, gdzie niczego się człowiek nie spodziewał. Po co więc czas, wystarczyła świadomość nieustającego przepływu rzeczy, co niósł sobą rytm absolutnego uspokojenia jednoczącego wszystko w jakimś wspólnym nieokreślonym byciu, które nigdzie do nikąd nie musi prowadzić. Znikał wprawdzie lęk przed tym, czego dotąd się nie zaznało, ale nie znaczy to, że nabierało się jakiegokolwiek pewności w tym stanie zawieszenia.

Ten niezwykły, bo tylko kilkuletni moment, w życiu tego miasta kiedy czas jego zdawał zamierać, starałem się zapisać w powie-



ści „W podróży”, ale wtedy może najważniejsze stało się trochę inne, jedyne pytanie, jakie tam pozostało: Czy na los jaki spotkał mieszkańców, odpowiedzią może być wspólnota ich losu? Czy kryje się w tym istotna różnica, po człowieczemu ważna wartość? Bo czy na nic więcej nie jesteśmy się w takim stanie zdobyć? I z takim pytaniem wracałem stamtąd, które pozostało mi na zawsze, niezbywalne doświadczenie pamięci o czasie co staje pod znakiem zapytania.

U nas w Polsce uwagę przyciąga przede wszystkim rok 1989 r. Trudno byłoby się przed tym uchylić. Oto uzyskujemy wtedy wolność pojętą jako absolutne otwarcie dla wszystkich, i tych co byli za, i ci co przeciw zmianie. To istota solidarnościowej rewolucji i dlatego tak bardzo interesował się nią świat, jak to się może skończyć, taka na wpół szalona idea, którą mógł zrodzić tylko czas dziesiątek lat trwającego zniewolenia. Czy to możliwe, że nagle jeden jest czas dla wszystkich? Po trochu to nieomal tak, jakby grzech zrównać z dobrem. Może dlatego nikt się tej rewolucji kategorycznie – czyli walką na śmierć i życie – od razu nie sprzeciwił. Ta rewolucja (jak nigdy żadna inna) była dla ludzi różnych czasów – jakby tak naprawdę nie było granic, które rzeczywiście dzielą, i każą pytać najpierw, kto za dobrym, co obecnie – a kto za przeszłym, złym czasem. To była chyba istota polskiego cudu dosłownie tych

pierwszych miesięcy, a może tylko pierwszego i co najwyżej drugiego? W każdym razie z tego bierze się początek pomysłu Alka, aby „jechać przed siebie”. Dotknąć tego dziwnego, jakby otwierającego się bez końca czasu. A więc bez irracjonalności pojętej jako konkretna, rzeczywista siła, co bez końca by mogła otwierać nasz czas, nie byłoby tego: „idź, tam gdzie jesteś”. Miało być jedno wolne społeczeństwo, a więc jeden wspólny czas. Właśnie tak jak w Pana pytaniu, panie Redaktorze: czas sam w sobie pojęliśmy wtedy jak iluzję, bo jest oto w naszych rękach. My go właściwie tworzymy, a przykładem czy raczej dowodem, to zerwanie z dokładnym rozliczaniem tego co było, bo istotne stało się otwieranie się na nowe, nie oglądanie się do tyłu. Tylko to dla nas istnieje. Wszyscy dostaliśmy prawo do wolności, jak do nowej wolnej chwili, którą stanowimy, od której zaczynało się nasze życie i miało w niej trwać. Tyle, że taka chwila, trwanie w niej, zależne jest od tego, jak długo będzie nas na to stać; tym bardziej, że jest otwarty dla ludzi wszystkich czasów, i dobrego, i złego który był. Tylko tym popchnięty pisałem tę powieść, i dlatego taki tytuł: „Idź, tam gdzie jesteś” i zaprzeczające sobie w niej fakty. Bo kiedy przyznajemy się do wszystkich czasów, wtedy nie ma innej rady: trzeba iść do siebie, od tego zacząć poszukiwanie konkretnych rozwiązań, a nie politykować szumem haseł na wyrost.

Jest wolność w powieści – przede wszystkim wielkim otwarciem, które nie ma żadnych z góry zakreślonych granic, ani w przestrzeni ani w czasie – więc jest, i do przodu i do tyłu. Troje bohaterów będąc w nieustającym ruchu, czyli jadąc „przed siebie”, a konkretnie przez Niemcy, Francję i Hiszpanię, jest ciągle w teraźniejszości, trwa w czasie swego poznawania rzeczywistości wokół. To trwanie tak ich pcha przed siebie. Lecz nieustające otwarcie jest magnesem niezwykłym, bo niekontrolowanym, i stawia bohaterów wobec wszystkiego, co jest, a więc i przeszłości. Bo jeśli w tej wędrówce jest to wolne ich trwanie w pełnym otwarciu – to wszystko przychodzi do głosu, i jest prawie w każdej chwili możliwe: to dzisiaj, i przeszłość, i przyszłość! Takiemu egzaminowi, czyli prasowaniu dwukierunkowemu, do przodu i do tyłu, ze strony tych różnych czasów – jest poddane jednocześnie życie bohatera. Więc jak ten dziwny – bo obciążony bezmiarem trwania – czas teraźniejszy nazwać? To dopiero Alek w powieści zaczął mówić o beczasie, stojąc przed obrazem Velazqueza, przykuty wzrokiem portretującego artysty, co wychylił się zza ramy malowanego obrazu ponad trzysta kilkadziesiąt lat temu – a nie ja, sparaliżowany tym spojrzeniem zwróconym w moim kierunku! Bo mnie to dosłownie zatakowało. To nie żadna minoderia z mojej strony, panie Redaktorze. Ja nie użyłem tego określenia przedtem nigdy, chociaż oglądałem obraz w Prado dwukrotnie w bardzo różnych latach. Alek, postać z powieści, tak, a jednak poczułem się zaskoczony, kiedy zapisywałem jego przeżywanie tego co zobaczył na obrazie „Las Meninas” i wnioski jakie Alek zaczął wyciągać, kiedy przez okulary słowa „beczas” tak inaczej ukazywał mu się świat, jadąc, zwłaszcza później, z Madrytu dalej na południe. Być może bez Alka, sam nigdy bym tego określenia nie użył!

A kiedy w lipcu tego roku zobaczyłem bardzo ważny film Karola Jałochowskiego, redaktora działu naukowego „Polityki”, o Julianie Barbour’rze i jego teorii pojmowania czasu – to mało powiedzieć, że byłem poruszony, że się ucieszyłem. Okazało się, nie pierwszy raz oczywiście, że intuicyjne rozpoznawanie w dziele literackim, przykładowo,

takiego problemu jak czas, może korespondować w mniejszym czy większym stopniu, w sobie właściwy sposób, z wizją naukową i to z zakresu fizyki. Wspominam fizykę z pewną melancholią, bo jedyny czas, kiedy się z nią kontaktowałem, czy wręcz mocowałem, to była szkoła średnia, a stopnie moje, niestety, oscylowały wokół słabej „trójki”! Widocznie literatura i w ogóle dzieła artystyczne mogą mieć swoje sposoby – nazwijmy to tak – badania i rozpoznawania świata, którego człowiek jest jakąś mini mini mini cząsteczką.

Pozwolę sobie jeszcze na krótki cytat z powieści, kiedy Alek z Irką, co dopiero wyszli z Prado, idą do hostelu na pobliskiej Antocha’y, a ona już mu jego błysk odkrycia przy obrazie dokonany, zaczyna utrwać i rozszerzać: „– Tak – mówiła Ika – zgubić wtedy czy znaleźć jakikolwiek początek rzeczy, to trud po prostu zbyteczny. Ważne, że się trwa?... To tak jakbyś patrzył na zawsze w każdym spojrzeniu, bo nie tylko dla tej jednej chwili, kiedy akurat patrzysz... Alek, i co ci wtedy zostaje? Jedynie być mnichem na pustyni, gdzie świat zlewa ci się w jedną chwilę trwania, która jest tak długo, aż ciębie nie będzie. Może taka jest, rzeczywiście, wieczność?... To nie dla mnie, Alek. Wolę być okaleczona kalendarzem, zegarem, wolę ich władzę.” (str. 243)

Czy nasze losy to głównie przeznaczenie czy też dzieło przypadku?

Nie bardzo ufam takiemu podziałowi. Nie jest czasem tak, że przypadek to nierozpoznane jeszcze (albo takim pozostanie na zawsze!) dzieło przeznaczenia? A z kolei przeznaczenie, czy to po prostu brak naszej pełnej szczegółowej wiedzy; wiedzy warunkującej rozmaite przypadki życiowych sytuacji. na co my chcemy za wszelką cenę odpowiedzieć, a niekiedy zamazać, czy wręcz przekreślić własną odpowiedzialność, czy choćby niewiedzę, i mówimy o jakimś fatum, co prześladuje; o przeznaczeniu, któremu nie uda się człowiekowi przeciwstawić. Zapominamy o najważniejszym, że świat istnieje i żyje poza nami, kiedy my uzurpujemy sobie przeciwstawne, a co najmniej własne miejsce wobec jego losu; a kiedy coś nam

nie pasuje, mówimy: przypadek to, albo szczególnie los, co zdaje się być niczym zmożwa przeciwko nam. Śmieszne. Losy młodej dziewczyny, Kasi, w powieści, rzecz by można, niejako objawiającej się między trzema mężczyznami chciałoby się podczepić jednemu czy drugiemu jako winnemu, a w końcu trzeba słuchać komunikatu o tym, co się stało z nią, nieodwołalnego, i zostać bez słowa. Nie masz już ochoty mówić „przypadek”, „taki los”. Wszystko wydaje się niestosowne i głupie, bo jesteśmy w istocie po prostu bezradni wobec wielu determinant naszego życia. Ale nigdy nie wolno się przyznać! Przecież nie strzelimy sobie zaraz w łeb! Bo gdzie wtedy miejsce na rzeczywistą gotowość, na to, co nieoczekiwane, kiedy dramaty dwojga, a tym bardziej trojga, jak w przypadku tej powieści, wystawiają relacje bliskich sobie osób na próby, które przydają napięcia, gorzej, przynoszą ból, rozterki czy cierpienie. Co jednak – nie ukrywajmy – uczy mądrości życia, wyposaża w doświadczenie, czego inaczej nigdy by nie zdobyli. Nasza trójka może więc mówić o swoich wyborach, o decyzjach, czy ku jednemu prowadzą – bardziej niż o przeznaczeniu bo są one w żmudnym trudzie wywalczane.

Bardzo istotne jest – niczym wstępne założenie – zrozumieć, że w pełni sobie nie podlegamy. Chociaż trudno nam uznać tę prawdę; właściwie prawie niemożliwe, aby chciało się nam zaakceptować, że to właśnie jest podstawa dramatu ludzkiego, zwłaszcza dzisiaj w świecie, kiedy człowiek tyle osiągnął. A jednak pomimo tych nie wesołych uświadomień, dość często ludzkim człowiekiem, potrafimy być! Chociaż wydaje się, że mamy już go w objęciach swej wiedzy – a jednak jest jeszcze tajemnicą! Ciekawe... może na szczęście?

Wyjazdy, podróże to ucieczka. Od czego Pan najchętniej ucieka i dokąd?

Raz w życiu tak naprawdę „chętnie” uciekałem w Poznaniu na wrotkach ulicą Wyspiańskiego do Głogowskiej. Uciekałem i na szczęście skutecznie, bo biegli za mną chłopcy z Hitlerjungen z finkami w rękach, wścickli, że Polak odważył się dawać popisy, bo potrafiłem wykonać, np. „jaskółkę” na

asfalcie. I pewno by mnie w końcu dopadli (Głogowska była jeszcze wtedy brukowana), ale wjechałem na chodnik prosto w objęcia niemieckiego policjanta, a on ryknął na nich, nie na mnie. I zostało mi z tego jedno na zawsze, że nienawiść młodych to coś najbardziej niebezpiecznego, bo jest po prostu zwyczajnie głupia. Nikt nie daje sobie wmówić tak bardzo serio, jak młodzi.

Kiedy Alek mówi o wyjeździe z Polski w podwójnie gorących dniach lata 1989 roku to chyba dlatego, że rozpiera go wolność i chce doświadczyć tego momentu, tego niezwykłego czasu oczekiwanego od 45 lat. Powieściowego Alka to nie zupełnie dotyczy, dojrzałym człowiekiem był dopiero w latach siedemdziesiątych, ale za to jako dziennikarz-reportażysta miał bardzo przyspieszoną szkołę życia. Dlatego rok 1989 to dla niego przede wszystkim ogromna ulga i prawdziwe otwarcie życia jakby od początku, i na całego. Ale zgłupieć całkowicie już w tej wolności nie mógł, idąc bardzo śmiało do przodu, zapominając co było i jaki był. – albo odwrotnie wycofując się do własnej przeszłości by się w niej okopywać i bronić całej jaką była. To przypominanie, te swoje nawroty po drodze w przeszłość, która została niby za nimi, były w istocie tym, co wyostrzało oko na przyszłość. Może dlatego, wracając z tej „ucieczki do przodu” czym stała się ich wędrówka przez kilka państw zachodniej Europy, a tak naprawdę przez przygodę wspólnego życia ich trójki – są jedynie bardziej czujni, zdobyli doświadczenie, które otwiera im oczy na ogrom niewiadomego, jakie ich czeka w na nowo kształtującej się rzeczywistości; i być może nie dadzą się omamić żadnym fajerwerkom myśli, wyobrażeń – tym bardziej trudnym do rozpoznania, że rodzą się często z najlepszych i naprawdę szczerych pragnień, choć uwodzą w powikłania, które nie widomo jak dla nich się skończą.

Czy jesteśmy w stanie dobrze poznać siebie?

Z zasady wydaje się to niemożliwe ze względu na to, że nasze osobiste uświadomienia sprawdzamy w nas samych, a jednocześnie ochota do jedności, czy harmonii wewnątrz-

nej, aby ją osiągnąć jest tak duża, że fałsz nie tak trudno nam wtedy przychodzi. Z kolei społeczeństwo pojęte jako ostateczny, rezerwowy weryfikator naszych wyobrażeń o sobie, nie zawsze nam pomoże czy nas wesprze w samopoznawaniu. Jest trudno przewidywalny i bardzo zmienny w swych ocenach, jako że powstaje w oparciu o mnogość ludzkich uświadomień, które się w społeczeństwie formułują, podlegając grze różnych interesów. Może dlatego właśnie dzieło artystycznego teatru, muzyki, literatury, malarstwa – ma pewne szanse wtrącić się w ten proces rozpoznawania i definiowania przez nas siebie samego i naszego rzeczywistego stosunku do świata. Ale nie dlatego, że da to zadawalające odpowiedzi, jakich potrzebujemy i oczekujemy. Oto w zasadzie stara się z powodzeniem popkultura, aby nas uspokoić swoimi odpowiedziami, wzruszeniami do jakiego nas przywiedzie. Abyśmy siebie mogli łatwiej odnaleźć. Stara się przede wszystkim na nasze pytania, wątpliwości – mieć odpowiedzi, które by nas zadowolili. Abyśmy poczuli się w swym przeżywaniu razem z innymi, i nie stali wobec świata w pojedynkę. Tymczasem dzieło artystyczne nie daje nam łatwej drogi do odnalezienia się z innymi. Nie oddziela dobra i zła od razu wyraźnie i łatwo, bo życie często właśnie je splata tak, że stajemy bezradni. I dlatego czuje się ono w obowiązku to ujawniać, i rzeczywiście, niepokojąc się o nas, nawet to zaakcentować. A popkultura stara się nas raczej – bo nie zawsze! – uspokajać, i, chcąc nie chcąc, albo też niekiedy nawet dość cynicznie, sięga często po odpowiedź-czekoladkę, by, zapewniać, że jesteśmy przynajmniej na dobrej drodze do siebie i nawet wspólnej z innymi.

Film o Indianinie, na który do kina poszli bohaterowie książki, to nawiązanie do jakiegoś konkretnego obrazu czy wymyślona historia?

To sprawa dość złożona. W wieku młodzieżowym dla mnie Indianin to postać z książki Karola Maya, postać trochę złowroga, a Biały, oczywiście, bohater. Potem po wielu latach Indianin wrócił do mojej świadomości jako prześladowany, mieszkaniec rezerwa-

tu z którego ucieka, a my, Biali, go ścigamy. I wiadomo jak się to kończy. Pamiętam film: "Był tu Willy Boy" w latach siedemdziesiątych. Bardzo go przeżyłem, Ale była to zasadniczo różna, sprawa od ujęcia Indianina tak jak zobaczyłem go wiele lat później w mojej powieści. Bohater tego filmu, Indianin, rzucił wyzwanie porządkowi stanowionemu przez Białych.

Dopiero w ostatnich latach dość nieoczekiwanie wraca do mnie postać Indianina ale teraz zupełnie inaczej: jako model ludzkiego losu: to znaczy jest tym, który rzuca wyzwanie światu – że to on sam rządzi sobą, sam wybiera i mocuje się o swoje życie, nie przymuszony niczym; to fundamentalna różnica. Właściwie odkrywam go nagle jako kogoś bardzo bliskiego, choć do końca trudno z racjonalizmem naszej cywilizacji, to znaczy nas, Białych, go rozumieć. To tak jakby ta powieść dopiero po napisaniu otwierała mi na coś bardzo mojego, czego – jak mi się teraz uświadamia – przedtem nie doceniłem czy wręcz przeoczyłem pewne istotne aspekty. Teraz mam przed sobą jego bieg aż po kres, i myślę, czy potrafiłbym jeszcze się do niego naprawdę po ludzku zbliżyć, to znaczy rozumieć, jego poczucie świata w którym żyje, biegnie tak wytrwale, wyłącznie z własnej woli, i nagle przystaje z różnych powodów, których trudno się domyśleć – i znowu dalej. Ale jest ciągle tak, jakbym tej postaci nie dopisał w powieści do koniecznej pełni. I chciałbym jeszcze do tego wrócić. Tymczasem obecnie zacząłem pisać już co innego. Ale myśl we mnie jest; i nawet po przeczytaniu Pana pytania wieczorem, kiedy rano następnego dnia wcześniej wstałem, zapisałem od razu inny, dalszy fragment jego biegu (w takim pierwszym, oczywiście, chaotycznym zapisie); właściwie nie wiadomo po co, bo powieść już skończona, wydana i o niej rozmawiamy. Lecz Pańskie pytanie nie dawało spokoju. Bo z nim jeszcze dużo ma prawo się dziać, pomyślałem – i może w ogóle od początku?

Więc historia z Indianinem – by Panu dokładnie na pytanie odpowiedzieć – ani wymyślona, ani pobudzona jakimś pojedynczym, rzeczywistym obrazem – po prostu zawieszona (zaniechana?) od dawna. Ale coś się

urwało z dawno zmarginalizowanych pragnień, czy tęsknot – i przebiło do świadomości by jednak znaleźć ujście. Chyba wielu z nas ma takie historie zawieszane w sobie – ciągle do odpowiedzi...

Czy tak, jak książkowy Jacek, uważa Pan, że: *bałamucimy się wszyscy osobiście i politycznie.*

Świetnie, że Pan to poruszył, bo jest nam to przydane nieomal z natury. W powieści nie jest to problem kluczowy, ale w okresach przełomowych politycznie – takim właśnie jak rok 1989 – bałamucenie staje się wyjątkowo niebezpieczną bronią i dość powszechnie się do niej sięga. W krótkich okresach czasu, a decyzyjnie ważnych, kiedy sprawdzanie informacji z oczywistych względów kuleje, bałamucenie jest wyjątkowo skuteczne. Zwłaszcza prasa bywa tutaj dotkliwie w tym kierunku wykorzystywana i wcale nie koniecznie przez dziennikarzy; lub nawet nie zawsze ze złej woli! Bo, co najgorsze, ludzie bałamucają się często w imię szlachetnych celów, żeby lepiej, mocniej zadziałać. Gdyby na zebraniu, w Stanie Wojennym, gdzie powieściowy Alek się wypowiadał, nie było bezstronnego świadka, to głos, niezorientowanego w beczelnych metodach dezorientacji, czytelnika, który, zdziwiony, pisze do redakcji, dlaczego toleruje się w niej kogoś, o kim przeczytał informację że poparł Stan Wojenny w Polsce – mógłby być wysłuchany! Bo jak nie słuchać obywatela z troskanego o dobro sprawy!... Poza tym dajemy się też bałamucać – i to jest może najgorsze – sobie samemu, czasem zwyczajnie na co dzień, dla pewnej wygody, aby zachować dobre samopoczucie i pomóc sobie w wykonywanej, skądinąd pożytecznej robocie. Walka jest z tym na co dzień i trwa, bo prędzej czy później rzeczywistość sama nas zweryfikuje.

Czy można zrozumieć innych (np. bohatera własnej powieści) bez zrozumienia siebie?

Ja bym powiedział tak, że dochodzimy niekiedy do siebie dopiero właśnie poprzez innych, kontakt z nimi, przez poznawanie ich. Tym kimś może być nawet bohater własnej powieści, a tym bardziej gdy jest to kobieta,

zupełnie przecie inny wewnętrzny świat. I tak wobec innych, na których bardzo nam zależy, potrafimy być w pewnych szczególnych okolicznościach bardziej otwarci i szczerzy, niż sami ze sobą. Czasem wręcz przypominam sobie konkretne rozmowy, co mówiłem, lub czułem i potem, jak ostrzegawcza konstatacja: rany, a więc to tak? Tak jest ze mną?... Taka konstatacja zdarza się także, i to wcale nie tak rzadko, przy myśleniu o własnej postaci literackiej A w ogóle siebie łatwiej mi zdeorientować, niż innych. Niektórzy z tych innych, a tym bardziej, gdy jest nim kobieta, bardzo pomagają lepiej zrozumieć siebie, choć te osoby niekoniecznie muszą zdawać sobie sprawę, jak mi pomogły. Z bohaterami powieści w przypadku „Idź, tam gdzie jesteś”, było wyjątkowo, bo jest ich troje związanych blisko ze sobą przez długi powieściowy czas, i co najmniej przez dwa lata ze mną. Zdarzyło się im, trojgu, kilka sytuacji, które tworzą wspólnym i wzajemnym zaangażowaniem, gdzie stopień ich bliskości wymyka się popularnym określeniom, a sam, autor, czuję się poniekąd bezradny, jak tę ich bliskość nazwać. Jedno wiem jednak na pewno, że nie jest to w tym przypadku mankament, czy nieporadność literacka. Po prostu tak musi być, że ktoś to od razu odrzuci, a ktoś jednak uzna, że prawda ludzkiego zachowania może być bliska, choć nie musimy sobie tego koniecznie przetłumaczyć na jasną, niedwuznaczną formułę, kiedy nie byłoby już w nas, ani odrobiny wahania. B przecie takie jest życie – zawsze dwuznaczne, które wcale nie musi dać nam spokojnego osądu, choć przeczornie, i słusznie, mamy najczęściej taką pastylkę dla siebie przygotowaną.

– *Skrzydła są potrzebne waszym myślom, byście nie wchodzili tak dokładnie w nasze buty. Nie wszystko jest tu lepsze niż u was – mówi Jacques na temat zmian zachodzących w Polsce. Jakich błędów popełnianych w innych krajach w ostatnich latach Polacy powinni unikać?*

Słowa przez Pana pan cytowane z powieści oddają w ogromnym skrócie problem, jaki wypłynął w rzeczywistej rozmowie z francuskim dziennikarzem, który interesował się z wielką troską wydarzeniami w Polsce la-

tem 1989. Interesował się tak bardzo nami, ponieważ traktował idee i dążenia naszej Solidarności nie tylko jako sprawę wyłącznie polską, czy pozostałych państw bloku sowieckiego. Wtedy idee i już początek realizacji, łączący się dla niego z czerwcowymi zwycięskimi wyborami tego samego roku, były też sygnałem dla niektórych kręgów na Zachodzie i konkretnie także we Francji(-jak licznych, nie było o tym mowy). Chodziło mu o to, aby nie zaprzepaścić społecznego, wspólnotowego, głęboko, bezwzględnie demokratycznego sposobu myślenia Solidarności nie tylko na poziomie przedsiębiorstwa, gdzie ten ruch się zrodził, ale aby nie zapomniano o tym przy budowie struktur społeczno-gospodarczych w szerszej skali, i także całego państwa. To myślenie wyrastające w środowiskach robotniczych zakładowych załóg, po raz pierwszy było w rzeczywistym, osobistym (To bardzo podkreślał), ludzkim związku z intelektualistami, kręgami uczonych z uniwersytetów. Natomiast rolę polityków w rozmowie wręcz pomijał. Z jego doświadczeń francuskich wynikało, że w ostateczności liczy się dla nich jednak przede wszystkim kariera polityczna, a więc nieuchronnie, umiejętność prowadzenia gry politycznej, przesłania w końcu wszystko inne, więc i te zasadnicze, najważniejsze cele.

Czy warto uciekać przed siebie, skoro zawsze w końcu gdzieś się jest? Czy trzeba uderzyć w mur, by odkryć, że gdziekolwiek się człowiek ruszy, tam zawsze dopadną go jakieś cienie przeszłości?

Trzeba bezwzględnie uciekać przed siebie. Takim pretekstem, bardzo rzadko – bo siłą rzeczy rzadko się zdarzają – stają się wydarzenia historyczne, jak w przypadku powieściowej trójki. Ale w sytuacji Alka zwłaszcza, jest pytanie, czy ten wyjazd przed siebie wynikał tylko z tego wielkiego otwarcia jakie nastąpiło w Polsce?. Czy na tę „ucieczkę przed siebie”, w europejskie przestrzenie, niełożyły również całkiem osobiste, po części prozaiczne sprawy. To jego swoiste zakłinowanie psychiczne, w jakim się znalazł, kiedy pojechał do swojego przyjaciela Jacka. Kiedy poczuł potrzebę wyrwania się z tego kręgu

pytań, które tam się zrodziły, a na które oświadczenie nie miał odpowiedzi, i wyjazd jako potrzeba dystansu do siebie samego, stał się tak bardzo ważny.

Ucieczka przed wolnością jako otwarcie świata przed człowiekiem?

Niewątpliwie wolność przynosi nam pewne poczucie pustki, tym bardziej, kiedy towarzyszy nam wyczekiwanie na nią latami, pełnymi mozół, trudu i wyrzeczeń, czy nawet zdrad, o które przede wszystkim my sami będziemy się podejrzewać. Bo tak naprawdę, nic nie jest w stanie zrekomensować czy wynagrodzić stracony a tak naprawdę zabrany nam czas. Bo jest to przecież czas niedokonanego życia. I to niedokonanie będzie nas ścigać bez względu na dystans jaki potrafimy sobie wobec tej przeszłości wypracować. Alek chce tą upartą jazdą przed siebie w jakiś istotny nad tym zatriumfować. Czy mu się to udaje? Ja, autor tej próby, jakiej pozwoiliem mu siebie poddać, nie odpowiem Panu, panie redaktorze. Nie mogę. Mogłem mu tę próbę zorganizować, przygotować, życzyć, aby się nie zawahał, nie cofnął – ale odpowiedzieć nie mogę. To raczej Pana bym o to zapytał. Ale ta rozmowa, jak zrozumiałem pana, ma jedynie otworzyć problem, najszerszej jak potrafimy. Może uda się wtedy zasłonić tę pustkę wolności wartościami, które może przynieść jej otwarcie, ale nie musi, zdaję sobie z tego sprawę. Nie musi...

Miał Pan okazję zobaczyć obraz Velazqueza.

Dwa są takie momenty których zupełnie się nie spodziewałem i były jak potężne uderzenia w głowę. W pierwszym przypadku, to jakby skryte tajemne spotkanie, dwóch wielkich arcy mistrzów malarstwa Van Gogha i Gauguina za pośrednictwem ich autoportretów, które swego czasu wisiały w jednej sali naprzeciwko siebie (było to w muzeum Jeu de Pomme przy ogrodach Tuileries) i tak trudno, będąc tam, było mi się oprzeć wrażeniu, że jest to coś więcej niż zwykłe sąsiedztwo obrazów artystów, których tyle za życia łączyło by potem właśnie życie ich tak nagle bezwzględnie, i, rzecz można okrutnie rozdzieliło.

Drugi przypadek to właśnie Velazquez, którego Pan przywołuje. Spotkanie z jego malarstwem w Prado, a z obrazem Las Meninas w szczególności, bardzo zaważyło na moim myśleniu. Spojrzenie Velazqueza wychylającego się zza ramy malowanego obrazu domaga się swą nieodpartą przenikliwością odpowiedzi, tak bym to określił. I stało się to w moim przypadku nie od razu, dopełniało się w długiego procesu poznawania istotnej dla mnie prawdy o świecie, o czym szeroko była mowa na początku naszej rozmowy. Więc tu tylko dodam, pewno nigdy Velazquez nie stałby się dla mnie tym, kim jest obecnie, gdyby nie powieść „Idź, tam gdzie jesteś” i postać Alka, który słowem: bezczas – zamknął jedną z istotnych dla mnie spraw.

Jakie wątki autobiograficzne umieścić Pan w powieści?

Takich wątków pojętych jako pewne całości właściwie nie ma żadnych. Świadome czerpanie z biografii nie wchodziło za bardzo w rachubę. To, przynajmniej w moim przypadku, obywatelstwa swobodę wyobraźni, momentalnie pojawiałyby się problem wierności wobec faktów, zobowiązanie jak u reportażysty, którym przez kilka lat zresztą byłem, pisząc je do miesięcznika Nurt i warszawskiego dwutygodnika literackiego Współczesność. W tamtym wypadku najważniejsze było dla mnie właśnie zobowiązanie wobec rzeczywistości, czy wręcz poczucie misji społecznej. Poza tym jest to szczególne przeżycie wnikania, dotykania, niemal namacalnie, konkretnych ludzkich sytuacji, kłopotów życiowych ludzi. Literatura natomiast tworzy u mnie od razu poczucie wielkiego dystansu do rzeczywistości. Tutaj fakt musi przyjść od pełnego napięcia we mnie, i wtedy niby wyczarowany, wyłania się sam, goły, bez powiązań jeszcze, niczym fenomen z rzeczywistości jeszcze do końca nie rozpoznanej, a już opisywanej krok po kroku.

Fragmentem, który można na pewno nazwać autobiograficznym, jest właśnie wspomniana rozmowa z francuskim dziennikarzem, która odbyła się rzeczywiście. Ale są też

sytuacje i związane z nimi osoby, które „roztapiają się” niejako w narracji powieściowej nieomal jak kra lodowa co dostała się w ciepłe prądy. Ale są też momenty, które mimo że wtopione – nie zupełnie spłynęły z narracją. Odwrotnie, samotne, jak kolec rzeczywistości, tkwią nadal w pamięci, jakby do końca nie rozpisane, i można powiedzieć, że czekają w pamięci, kiedy będą miały jeszcze szansę ożyć.

Wracam właśnie tak do spotkaniu Alka z ową nieznaną na cyplu nadmorskim w Bretanii, dokładnie o porze, kiedy słońce schodziło powoli do oceanu. Bo tak było naprawdę. Nie pamiętam tylko czy to na pewno był Citroën, i czy ta młoda kobieta nie była jednak trochę młodsza niż napisałem. Chociaż tak samo jak tamta z powieści nie spojrzała w moim kierunku, kiedy byliśmy w oboje w samochodach i dzieliło nas nie więcej jak 7-8 metrów. Po sposobie w jaki zajechała na ten dość wąski cypel, czuło się, że nie była tam pierwszy raz. Jestem natomiast pewny i spokojny, że nie pojechała do tego hoteliku w zatoczce, bo patrzyłem za nią bardzo długo, i uważnie. I pojechałbym tam jeszcze teraz, natychmiast! Gdybym miał taką możliwość, żeby potwierdzić że jej nie ma. Nie ma! Jest tylko słońce tak samo jak wtedy. I jest na pewno na swoim miejscu, i w końcu topi się w oceanie.

Myślał Pan o ekranizacji „Idź, tam gdzie jesteś”? Według mnie książka ma duży potencjał filmowy.

Bardzo ważne dla mnie, że Pan to mówi. Zresztą już w tej rozmowie o tym raz pomyślałem, kiedy była mowa o Indianinie i uświadomiłem sobie, ile byłoby tu jeszcze możliwości dziania się życia. Można by powiedzieć, że „zatruli” mnie Pan ta myślą. Jest to jednak problem zależny tylko od zainteresowania ze strony reżysera. A więc jest to także trochę sprawa przypadku. Bądźmy dobrej myśli, że takie spotkanie z tą powieścią jest możliwe. •

powieść nabyć można w Internecie;

www.now-swiat.pl

księgarnia:www.poczytajka.pl

oraz w Głównej Księgarni Naukowej,

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 9/11.

BO JA MAM TAM TAKI KRAMIK...

Jaki kramik? Z czym kramik? Jak wewnątrz organów Ladegasta we Farze w Poznaniu – w instrumencie! – można mieć sklep? Zresztą, tam nie ma na to miejsca, bo zajmują je piszczałki i traktura gry (system łączący klawisze z piszczałkami). Przecież kram – jak czytamy w słowniku – to słowo pochodzące z języka niemieckiego i oznaczające drewnianą budkę, tudzież ławę z rozłożonym towarem, przy czym może to być i kiosk, i stoisko albo nawet stragan na rynku. Czy ten organista, z którym rozmawiamy przypadkiem nie jest szalony? W ogóle jak wyglądają w środku poznańskie organy Ladegasta?

NATALIA MIKOŁAJSKA

CO JEST W ORGANACH?

Moglibyśmy też zapytać: co jest w szafie organowej? Myślę jednak, że należy zacząć od podstaw, ale nie chcę przy tym, żebyśmy wszyscy stali się od razu organoznawcami i dlatego ograniczę się do minimum.

Zatem, organy piszczałkowe to instrument dęty klawiszowy, największy jaki kiedykolwiek wymyślono, który czasami znaczy więcej niż cała orkiestra symfoniczna, chociaż gra na nich jeden zaledwie człowiek. Bywa bowiem, że grając korzysta on z połączenia międzyklawiaturowego, które sprawia, że oprócz dźwięków wydawanych przez piszczałki odpowiadające naciskanym klawiszom i głosom z nimi połączonym brzmia również dźwięki z głosów będących w dyspozycji innej klawiatury (w klasycznych organach jest kilka klawiatur), a jej klawisze naciskają się same. Czary, magia i prestidigitatorstwo! Pomyśleć tylko, że czasami gra tak również nasz szalony rozmówca, czyli organista, który wewnątrz instrumentu chce handel uprawiać. No, absurd po prostu!

Historycznie rzecz biorąc pierwowzór organów pojawił się już w Starożytności, co nikogo nie powinno dziwić – wówczas ludzie wymyślili prawie wszystko. Co najciekawsze i zarazem najdziwniejsze – biorąc pod uwagę to co obserwujemy teraz – początkowo organy były instrumentem wyłącznie świeckim. Kościół bowiem, w obawie przed przeniknięciem kultury pogańskiej do liturgii, nie dopuszczał do ich udziału w muzyce kościelnej. Dopiero papież Witalian (żyjący w VII w. święty Kościoła Katolickiego),



► Zdj. 1. Prospekt organów we farze w Poznaniu – pochodzi z Wikipedii.

w okresie kryzysu chorału gregoriańskiego, wyraził zgodę na wprowadzenie organów do oprawy muzycznej mszy świętej.

Jednak w Europie średniowiecznej organy pojawiły się już w V w. (zatem jeszcze przed Witalianem), choć klawiatura przypominająca tę dzisiejszą ujrzała światło dzienne dopiero gdzieś w wieku XIII – wcześniej zamiast klawiszy były zasuwki tonowe, w które trzeba było uderzać, nierzadko wręcz walić pięściami, a ewentualnie łokciami, co naprawdę do najłatwiejszych rzeczy nie należało, a organiści mieli permanentnie chyba bolące i posiniaczone łokcie tudzież pię-

ści. Zresztą gra na organach wtedy (także w Baroku, kiedy żył Jan Sebastian Bach, największy kompozytor muzyki organowej i chociaż miał on już tę dzisiejszą klawiaturę) w ogóle raczej prosta nie była – najpierw trzeba bowiem dostarczyć powietrze do piszczałek, a do tego potrzebni byli kalikan-ci (od łac. *calcare* – deptać), którzy deptając pedały dźwigowe wprawiali w ruch miechy organowe pompujące to powietrze – bez powietrza nie ma klasycznych organów. Patrząc na sprawę z dzisiejszego punktu widzenia – świetnie, pojawiały się nowe miejsca pracy, patrząc na sprawę z hi-

storycznego punktu widzenia – źle, wymyślano nowe zajęcia dla służących i ludzi niższego stanu. Dodać należy tu, że dzisiaj mamy już elektryczne miechy organowe, które organista uruchamia jednym palcem naciskając odpowiedni przycisk – wiadomo, cywilizacja idzie do przodu.

Wróćmy jednak do historii organów – na przełomie wieków XVIII i XIX (długo po Janie Sebastianie Bachu) nastał Romantyzm. Był to okres przełomowy – nastąpiła wtedy potężna i nagła w sumie industrializacja. Zaczęto też poszukiwać nowych środków wyrazu w muzyce – jasne i lekkie brzmienia Baroku zmieniono na tonacje czysto romantyczne, czyli bardziej ciemne i cięższe. Miał wtedy także miejsce duży rozwój budownictwa organowego, a co za tym idzie wzrastała liczba budowanych instrumentów i ich jakość, ale także zmieniała się budowa organów. Przede wszystkim powstał podział na głosy i kompletnie rozbudowano – w zasadzie zrekonstruowano na nowo – rejestry (czyli grupy piszczałek o podobnej budowie i brzmieniu), w rezultacie czego organy za-

częły brzmieć jak prawdziwa orkiestra symfoniczna. Weźmy też pod uwagę i to, że 30 sierpnia 1818 roku w Hermsdorf w Niemczech (kraj związkowy Turyngia) urodził się pewien organmistrz (budowniczy organów) Friedrich Ladegast, który zbudował te w Poznaniu i – ale tylko pośrednio, bardzo pośrednio – jest powodem, dla którego powstał ten artykuł. Przyczyną priorytetową pozostaje wciąż kramik naszego organisty-handlowca, bo może jednak ten niemiecki organowy budowniczy – pan Friedrich – był ukrytym jasnowiedzem, przewidział taki rozwój wypadków i pozostawił w swoich organach trochę wolnego miejsca na ten kramik, a może nawet kramiki? Inwencja twórcza projektantów nie zna granic...

CO JEST NA LADEGAŚCIAŃSKIM STOLE DO GRY?

Poznańskie organy Ladegasta mają jak widzimy – 3 manualy (łac. *manus* – ręka) i 1 pedała, czyli klawiaturę nożną albo „manual” nożny bądź pedałow, jak to niektórzy (w tym ja) lubią mówić. Ma on aż 27 klawi-

szy i niektórzy (w tym ja) bardzo go lubią. Są co prawda na świecie organy mające po 5 i 7 manualów, ale standardem są te ladegaściańskie 3. W wyjątkowych przypadkach można spotkać również organy z kilkoma zestawami manualów lub z dwoma klawiaturami nożnymi. W Ladegaście w Poznaniu piszczałek jest 2579, w większości wykonanych z wysokostopowej cyny z domieszką ołowiu, antymonu, bizmutu, srebra i arsenu, ale – spokojnie – w organach nie ma arsenu. Piszczałki drewniane natomiast zrobione są ze szlachetnych gatunków drewna takich jak: świerk, jodła syberyjska i brzoza. Przy klawiszach zaś – i to jest ważne, choć o tym już wiemy – znajduje się traktura, czyli system przenoszenia ruchu pomiędzy klawiszami a poszczególnymi piszczałkami organów. Bez niej, czyli bez tego ogniwa pośredniczącego w przekazywaniu na odległość woli organisty, nie ma klasycznych organów.

Ale wróćmy ponownie do Romantyzmu i budowy organów – w epoce tej w instrumencie pojawiły się żaluzje, a powszech-



► Zdj. 2. Stół do gry – pochodzi ze strony organów farnych.



► Zdjęcie 3. „Dwa światy, czyli za i przed prospektem – wykonał Bartosz Seireft.

nie przyjmuje się, że żaluzje wynalezione zostały już w Starożytności (przecież wcześniej – na początku artykułu – przypominaliśmy sobie, że ludzie wymyślili wtedy prawie wszystko). Żaluzje wymyślili Egipcjanie (z naciąganej trzciny) i niezależnie Japończycy (z drzew bambusowych). W Europie zostały one opatentowane jako produkt techniczny dopiero w roku 1769 przez londyńskiego przedsiębiorcę Edwarda Berana. W Romantyzmie, co interesuje nas w tej chwili najbardziej, trafiły one do organów i pojawiły się przy pedałach nożnych. Organowe żaluzje sprawiły, że jeden nasz szalony organista-handlowiec ma czasami tak, iż może

uzyskiwać różne odcienie dynamicznego brzmienia, jak przy całej orkiestrze symfonicznej, która przecież może mieć i około 100 członków.

CO JEST ZA LADEGAŚCIAŃSKIM PROSPEKTEM?

Prospekt to – jak widzimy na zdjęciu nr 1 – przednia wyeksponowana część szafy organowej. Jest głównym elementem dekoracyjnym organów, który czasami jako pierwszy rzuca się w oczy w kościołach i aulach koncertowych. Stanowią go wbudowane piszczałki prospektowe, które najczęściej wykonane są ze szlachetnego, bardzo błyszczącego się albo wręcz świecącego

metalu. Właściwy instrument – organy – znajduje się za prospektem, schowany we wnętrzu szafy organowej.

Prospekt to również – jak widzimy na zdjęciu nr 3 – ściana, która oddziela od siebie dwie rzeczywistości, tę pokazową i tę „pracującą”. Nas ciekawi bardziej ta druga, bo normalnie jej nie widać. Wiemy już, że w szafie organowej, za prospektem są piszczałki – kojarzą się nam one z czymś obłym, okrągłym i kulistym, ale w organach te drewniane wcale takie nie są i widać, że to bardzo kanciaste wielościany, bo tylko w takich przepływające powietrze wyda odpowiedni dźwięk albo i dźwięki. Inaczej sprawa wygląda z piszczałkami metalowymi – mają one postać rur. Uzupełnić trzeba jeszcze to, że patrząc na te dwa światy ze zdjęcia nr 3 i wracając do tematu głównego, czyli do handlu w instrumencie, trzeba jednak tu zaznaczyć, że może aż tak szalony ten organista nie jest, bo widząc to zdjęcie i analizując jego szczegóły z wolnym miejscem stwierdzamy, że jest tu i miejsce na kramik, ale taki raczej mały. Bez szaleństw. Tylko co ten nasz organista ma w tym kramiku? Drugie śniadanie? Książki? Widzimy, że nasz organista nie jest ani gruby ani nawet trochę przy kości (sprawa drugiego śniadania – niestety – upada) i wiemy z pewnych źródeł, że mimo iż posiada on radio i telewizję, zdarza mu się od czasu do czasu czytać książki. Może więc książki? Ale kto teraz czyta książki? Mówi się, że tylko inteligenci. Mamy zatem inteligentnego, wykształconego organistę, który opiekuje się organami. Tylko tyle albo aż tyle.

Wiem o tym, bo byłam w Ladegaście i widziałam ten mały kramik – nie są to książki organisty, tylko po prostu zbiór mniejszych lub większych narzędzi, nożyczek, młotków i taśmy klejącej, którą wtedy akurat musiałam sobie wyobrazić, bo jej nie było, a miała być – nasz organista jej właśnie szukał. I nie znalazł. Ten kramik to po prostu miejsce z tym wszystkim co z reguły ma przy sobie taka zwykła złota rączka. Dodać tu należy, że drewniana budka – jeśli się trzymać tego tłumaczenia z języka niemieckiego z początku artykułu – pewnie by się jednak w organach nie zmieściła naszemu inteligentowi. •

WYNYL ZNÓW POPULARNY

Na całym świecie sprzedaż płyt kompaktowych spada. Jednak rozkwita moda na rzeczy stare lub nowe, stylizowane na stare. W samych Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich 6 lat sprzedaż kompaktów zmalała o ponad połowę. W tym czasie popyt na płyty winylowe wzrósł o 355 proc.

MICHAŁ SOBKOWIAK



Co prawda, w przypadku CD mówimy o setkach milionów sztuk, natomiast winyle to jedynie kilka milionów. Podobna tendencja występuje w Polsce. W 2011 roku sprzedano w naszym kraju 50 tysięcy takich płyt. – *Ludzie wyczuwają, że coś staje się modne i się na to snobują. A niektórzy myślą nawet, że mogą na tym zarobić* – twierdzi Krzysztof Przyślewicz z niewielkiego sklepu muzycznego De'Molika we Wrocławiu. I opowiada: – Ludzie przynoszą do nas używane winyle z własnych piwnic, które zostały już niemal zżarte przez myszy i chcą za nie dużych pieniędzy.

TROCHĘ HISTORII

W 1887 roku Amerykanin niemieckiego pochodzenia Emile Berliner opatentował gramofon, różnił się on od fonografu zastosowaniem płaskich dysków (wytwarzanych początkowo z cynku, twardej gumy, szkła, a ostatecznie od lat 90. XIX w. z szelaku) za-

miast woskowych cylindrów. Jednak przełomem w rozwoju rynku fonograficznego było zaprezentowanie w 1948 roku przez firmę CBS-Columbia nowego rodzaju nośnika – płyty winylowej. Gwarantowała ona wyższą jakość dźwięku, a także umożliwiała nieprzerwane odtwarzanie muzyki przez co najmniej kilkanaście minut. Wraz z rozwojem hip-hopu i muzyki rap w latach 80. ubiegłego wieku, płyty gramofonowe spopularyzowali na powrót DJ-e, dla których winyle stały się instrumentami muzycznymi. I są nimi do dziś.

Audiofile odkurzają winyle, bo słuchanie ich to zupełnie inne, magiczne obcowanie z muzyką. A trzaski i szumy zupełnie temu nie przeszkadzają. Wręcz przeciwnie. W sklepach sieci Media Markt, Saturn czy Empik znajdziemy regały z płytami gramofonowymi. Tu znajdziemy krążki wyłącznie nowe w cenie od 70 złotych w górę. Sklepy zamawiają coraz więcej czarnych płyt, gdyż popyt na nie rośnie.

Krzysztof Przyślewicz sam zbiera winyle od 40 lat i ma ich w domu ponad dwa tysiące. Mówi, że mimo iż małe sklepy płytowe zostały „zjedzone” przez molochy typu EMPIK czy Media Markt, młodzi ludzie coraz częściej odwiedzają De'Molikę. Także Ci, którzy odsłuchują muzykę głównie w internecie lub ją po prostu ściągają.

Kiedyś posiadacz adaptera i płyt gramofonowych był gwiazdą towarzystwa. Szczególnie w Polsce, gdzie nagrania gwiazd zza żelaznej kurtyny były rarytasem. Dariusz Poskuła, który sprzedaje używane winyle we Wrocławiu przyznaje: – *Kupują starzy, młodzi, także DJ-e. Niektórzy przynoszą mi płyty, inni przychodzą tylko po to, żeby porozmawiać o muzyce, jeszcze inni lubią się targować* – śmieje się wrocławianin.

MODA MINIE, PASJONACI ZOSTANĄ

Czarne płyty z muzyką funk, soul i disco są nadal kopalnią sampli dla DJ-ów i produ-

centów muzycznych. Chodzi o to, żeby na bazie wyciętego ze starego nagrania fragmentu stworzyć zupełnie nowy utwór.

Fani analogowych brzmień uważają, że dźwięk, który generują czarne krążki, jest lepszy niż ten z kompaktu. Twierdzą, iż ludzie zaczynają mieć dość cyfryzacji. Tęsknią za starą dobrą książką i płytą gramofonową. Rozumieją to też duże wytwórnie płytowe, które wznawiają stare nagrania Beatlesów czy Pink Floydów. Na winylach ukazują się również sporo premierowych nagrań, także polskich artystów.

Właściciele poznańskiego Vinylgate Recordstore zebrali blisko 2 tysiące albumów, w większości na winylach. Część jest owocem wieloletnich poszukiwań, część zakupili niedawno w Londynie. Jednak są świadomi tego, iż prowadzenie sklepu muzycznego jest w erze udostępniania plików przez Internet, działalnością raczej ryzykowną finansowo.

– *Dlatego w naszym sklepie będzie dużo nagrań, które wyszły tylko na winylach, niektóre trudno znaleźć na Youtube. Zapotrzebowanie jest, co odczuliśmy, sprzedając albumy przez Internet* – tłumaczy przedstawiciel Vinylgate Recordstore.

Czasami „czarne” skarby są zakurzone czy zabrudzone, ale prawdziwi fani winyli i z tym fantem sobie poradzą. Wystarczy krążki wyczyścić specjalnym preparatem, który można bez problemów kupić w sklepach. To też jest rytuał. Można także nabyć specjalną myjkę do płyt, ale to już większy wydatek.

Modę na winyle widzi także Andrzej Masłowski, z poznańskiego Masłowski CD. I... nie do końca ją rozumie.

– *20 lat temu zachwycaliśmy się kompaktami a teraz je odrzucamy. A przecież zawartość wielu współcześnie wydawanych płyt winylowych jest fabrycznie zgrana z kompaktów* – twierdzi Masłowski.

Jeśli ktoś ma w rodzinie lub w gronie przyjaciół miłośnika płyt gramofonowych, to może warto sprezentować mu kolejną do kolekcji, przy okazji robienia prezentów świątecznych. Taki prezent na pewno ucieszy. Trzeba się tylko zorientować, jakie płyty już posiada, żeby nie dublować. •

WOLNOŚĆ MAMY JAK NAM JĄ NARYSUJĄ

Trzy łyki muzyki to dobrze

Słowa piosenki Liroya sprzed dwudziestu lat są dziś bardziej aktualne niż w czasie, kiedy powstały. W połowie lat dziewięćdziesiątych organa państwowe kontrolujące prawomyślność publikacji, zwane cenzurą, nie istniały. Wtedy możliwe było nagranie piosenki „ZChN zbliża się” przez Piersi. Mimo to zespołowi wytoczono z tego powodu kilka spraw sądowych. W 1993 roku grupa dostała sądowy zakaz publicznego wykonywania tej piosenki.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Na kolejnej płycie Piersi usłyszeliśmy ironiczne „Powróćcie komuno”, które można było spotkać na wielu listach przebojów.

Panowie z Big Cyca nagrali m. in. „Nie wierzcie elektrykom” dedykowane Lechowi Wałęsie czy już w pierwszej dekadzie XXI wieku „Moherowe Berety” lub „Złoty warkocz” (dedykowany Renacie Beger). Te utwory również gościły w radio.

Najwyższą próbą wolności słowa była piosenka Pudelsów zatytułowana nomen omen „Wolność słowa”, w której po równo obrywa się przedstawicielom i lewej i prawej strony sceny politycznej, a także kleru. I ten utwór w 2003 roku stał się przebojem i bywał (choć rzadko) grany w mediach publicznych.

Okres rządów koalicji PiS-LPR-Samoobrona był początkiem zmian. Lady Pank z piosenką „Strach się bać” miała problemy, gdyż media bały się narazić zwolennikom i przedstawicielom Prawa i Sprawiedliwości. Dlatego Janusz Panasewicz przy okazji nagrywania kolejnej płyty wyznał, że „*lepiej pisać o fajnej babce z cyckami, niż o głupim polityku*”, gdyż te są apolityczne i radio chętnie zagra.

Więcej szczęścia miały Strachy Na Lachy, które śpiewały: „*Żyję w kraju, w którym każdy chce mnie zrobić w chuja*”. Piosenka „*Żyję w kraju*” była grana nawet w radiu publicznym, ale wy-

nika to z tego, iż w utworze nie ma konkretnego adresata, więc jest apolityczny.

Jeszcze bardziej brak wolności słowa stał się widoczny, gdy Paweł Kukiz stał się niewygodny dla pewnych środowisk po zajęciu się polityką. Piosenki, które nagrał w ostatnich latach i które dotyczą problemów społeczno-gospodarczo-politycznych naszego kraju nie są puszczone w mediach mainstreamowych, gdyż są nieprawomyślne. Dotyczy to także najnowszej piosenki Pawła Kukiza, w dość sarkastyczny sposób opowiadającej o wakacjach dwóch panów. Według pewnych mediów ten utwór także jest polityczny.

Guolec Orkiestra nagrała niedawno piosenkę „*Młody maj*”, która zdeklasowała inne piosenki podczas festiwalu w Opolu. Niestety, nawet to nie pomogło, aby utwór trafił do głównych rozgłośni radiowych. Dlaczego? Bo zawierał słowa: „*kocham ten kraj, wierzę w ten kraj*”.

– *Powiedziano nam, że się nie mieści w konwencji... Faktycznie, to niepopularne: „kocham ten kraj, wierzę w ten kraj”...* – opowiada Łukasz Golec.

Warto wziąć to pod uwagę, gdyż nie warto słuchać stacji, w których „konwencji” nie mieści się patriotyzm. My pozostajemy apolityczni, kulturalni i na naszej stronie internetowej prezentujemy wszystkie piosenki „niepoprawne politycznie”. •

POETKA HELENA GORDZIEJ

Poetka Helena Gordziej urodziła się w Poznaniu. Po maturze podjęła pracę w administracji państwowej. Ponad trzydzieści lat przepracowała w różnych wydziałach Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu. Za pracę w tej instytucji otrzymała brązowe odznaczenia i nagrody.

OPRAC. DANUTA BARTOSZ

Debiutowała wierszami w „Gazecie Poznańskiej” w roku 1970.
Bibliografia:

Pierwszy tomik poetycki „Odchodzące pejzaże” ukazał się w 1979 roku.

„Między nowiem a pełnią” (1983),
„Spragnione źródła” (1985),
„Sercem przy ziemi” (1986),
„Wierność wahadła” (1987),
„Siejba milczenia” (1988), – (zdobyła Nagrodę Funduszu Literaturnego),
„Sługi rozdroży” (1990),
„Szczony i pindy od Chwaliszewa do Wilidy” (1991),
„Po stronie słońca” (1991),
„Kreda i cierniem” (1991),
„Kształty chwil” (1992) – dwa ostatnio wymienione tomiki przyniosły autorce Nagrodę XV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Uznano je za najlepsze książki poetyckie roku.
„W chodzę w wiersz” (1993)
„Przedsiemek milczenia” wybór wierszy (1993)
„Narastanie krzyku” (1994),
„W obecności gwiazd” (1995),
„Tętnice wiosen” (1995),
„Dojrzewanie czerni” (1996),
„Sławni w wierszach” (1996),
„Koleiną czasu” (1997),
„Witraże godzin” II wybór wierszy (1998),
„Dekalog jutra” (1998),
„Liturgia samotności” (1999),
„W obnażonym sadzie” (2000),
„Skazani na mrok” (2000),
„Zanim zgaśnie dzień” (2001),
„Dzień w kolorze piasku” (2002),
„Czyciele nowiu” (2002),
„Wariacje schodzącej planety” (2003),



„W matni horyzontu” (2003),
„Mszał widnokregu” (2004),
„Trzeźwy ból” (2005),
„Ponaglanie świtów” (2005)
i inne.

Helena Gordziej jest autorką prozy dla dzieci – „Zegarynka”, i „Chodaczek i Truchcik” oraz tłumaczką poezji niemieckiej i Baśni Hansa Christiana Andersena. Opublikowała 44 tomików poezji, dwie książki dla dzieci, dwie powieści o tematyce społeczno- obyczajowej „Bramy czasu” i „Ładny pogrzeb”. Wiersze Heleny Gordziej znajdują się w „Antologii Tysiąclecia” IRBIS (1998) oraz w innych antologiach, a także w podręcznikach szkolnych.

Autorka została uhonorowana licznymi nagrodami m. in. Jana Kasprowicza (1999 r), Nagrodą „Fotel Horacego” przyznaną przez kapitułę II Międzynarodowego Kongresu Poetów w Lublinie, Nagrodą XV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego za Najlepszą Książkę

Roku oraz Funduszu Literaturnego. Poezję Heleny Gordziej opublikowano w językach: greckim, serbsko-chorwackim, czeskim, węgierskim, esperanto, rosyjskim, białoruskim, niemieckim, rumuńskim, ukraińskim, i hiszpańskim i francuskim.

JUBILEUSZ HELENY GORDZIEJ – PIERWSZEJ DAMY POEZJI

11 lipca 2013 r o godz. 14:00 w Złotej Sali Pałacu Działyńskich, Stary Rynek 78 odbyło się jubileuszowe spotkanie Heleny Gordziej – poetki, chluby i dumy poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Jubilatka w tym dniu celebrowała swoje 85- te urodziny.

Wyjątkowo rzadko zdarzają się twórcy wielkości Heleny Gordziej. Nieprzypadkowo Witek Różański nazywał Ją Matką Poetów. Wykształciła bowiem wiele szeregów poetyckiej bohemy. Jest najwybitniejszą, obecnie żyjącą poetką Wielkopolski. Dołączyła do wielkich dam poezji takich jak Kazimiera Iłłakiewiczówna, Bronisława Wajs-Papusza czy Łucja Danielewska.

O JEJ TWÓRCZOŚCI MÓWIĄ:

Dr hab. Dariusz Lebioda: „Osiągnęła to, czego nie udaje się znaleźć wszystkim – mądrość i piękno, a nade wszystko liryczną nieśmiertelność...”, „To się udaje naprawdę poetom największym”, „W jej wierszach zdezystała się niezwykła wprost inteligencja, wyczucie języka, umiejętność budowania metafory, zdolność konstruowania piętrzących obrazów i wielorako głębokich przestrzeni”. „Ta prosta dziewczyna dostała od losu dar poezji i profesji, stała się osobowością literacką ogromnego formatu – nikt, kto będzie pisał o literaturze Wielkopolski przełomu wieków nie będzie mógł jej pominąć”.

Prof. dr hab. Ignacy Stanisław Fiut : „Buduje pewną ekologiczną wizję przy pomocy słowa i treści i metafizycznych, unikatowo skomponowanych w pełne całości literackie obrazy, których zadaniem jest udomowienie człowieka w jego środowisku przyrodniczym i kulturowym”.

Dr Stefan Mełkowski: „Mamy tu do czynienia z poezją wysokiej klasy, otwarta na szerokie rzesze ludzi, które swoje myśli i uczucia znajdują lepiej i mocniej wyrażone w wierszach poetki”. Piękny wiek i niezwykle obfity dorobek twórczy. Jubilatka jest nadal wyjątkowo aktywna, ciągle zadziwia nowymi tomikami i pomysłami. Młodzież z podziwem i ogromną uwagą podpatruje sekrety Jej aktywności i wielkiego talentu. Wydała ok. 50 książek i zapowiada następne.

Za osiągnięcia w poezji i działalność kulturotwórczą Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego wyróżniło Helenę Gordziej

Złotą Statuetką Hipolita Cegielskiego. Pierwszą statuetkę Hipolita otrzymał Papież Jan Paweł II. Helena Gordziej otrzymała wyróżnienie razem z prezydentem Lechem Wałęsą. W roku 2008 Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznaczył poetkę Medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. W roku 2012 otrzymała Nagrodę Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej.

Cieszymy się bardzo, że jest wśród nas Helena Gordziej – Królowa Wielkiej Poezji. Drogiej Jubileatce życzymy Sto lat, zdrowia i pomyślności i jeszcze wielu, wielu wspaniałych spełnień literackich – nowych tomików i nowej poezji, a nade wszystko żeby Jej wiersze nigdy nie straciły Światła miłowania.

Helena Gordziej – Królowa Wielkiej Poezji każdemu podaruje serdeczny, przyjacielski uśmiech i powie dobre, ciepłe, matczyne słowo”.

Helena Gordziej:
RĘCE

Popatrzyłam na swoje ręce
i nie chciałam się do nich przyznać
Napięte żyły
chropowata skóra pełna zmarszczek
Czy to są moje ręce pytałam
sama siebie
i zaraz znalazłam odpowiedź
Przecież wiesz jak ciężko pracowały
przez osiemdziesiąt lat
ile przeniosły ciężarów
bliskim i obcym pomagały w trudach
dźwignia życia
Nie dziw się wyglądowi
byłaś potrzebna
spełniona w pomaganiu słabszym
Nie podtykaj rąk ludzkim oczom
położ je na grzbiecie psa
psy tulą się do ciebie gromadnie
nie patrzą na wygląd
Z miłością liżą twoje dłonie
twarz
i to jest właśnie najwyższa zapłata
od życia

ANDRZEJ GÓRNY

„IDŹ, TAM GDZIE JESTEŚ”

Czy wszystko ma swój sens? Czym jest czas? Na te i inne pytania próbują odpowiedzieć sobie bohaterowie książki Andrzeja Górnego „Idź, tam gdzie jesteś”.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Symbole zejść na ziemię,
tak powinno być,
kiedy rzeczywistość wraca do normalnego życia
i wzniosłe zaklęcia stają się niepotrzebne.

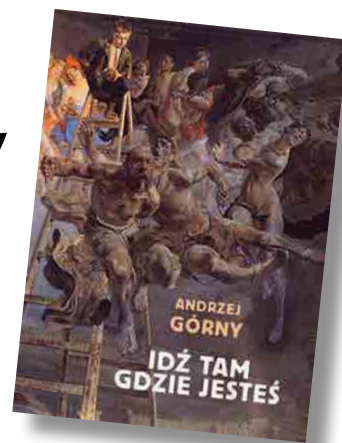
Akcja powieści rozgrywa się w okresie przemian roku 1989. Troje młodych ludzi, których łączy ze sobą nie tylko wspólny adres, wyrusza w podróż na południowy zachód Europy, by odnaleźć swój cel życia, przewartościować wyznawane wartości, a przede wszystkim – by zrozu-

mieć siebie na wzajem. Powieść Górnego czyta się bardzo szybko, losy i przemyślenia bohaterów wciągają do tego stopnia, że ciężko oderwać się od lektury. Książek nasyconych rozważeniami filozoficznymi nie brakuje, jednak autorowi „Idź, tam gdzie jesteś” udało się z wdziękiem połączyć intrygującą akcję, w tle której następują przemiany ustrojowe w roku 1989, z definiowaniem samego siebie czy szukaniem celu wycieczki „przed siebie”. Jednak, gdy już się wydaje, że wszystko jest wyja-

śnione, sprawy nieoczekiwanie znów się komplikują. Książkę Andrzeja Górnego polecić można zarówno czytelnikom literatury przygodowej, jak i stricte filozoficznej.

Nigdy nie ma nic.
Zawsze jest coś.

Andrzej Górny urodził się w Poznaniu w 1933 roku. Autor powieści i opowiadań (zadebiutował w 1962 r.), ekonomista, krytyk teatralny, członek Polskiej Akademii Filmowej oraz uczestnik Poznańskiego Czerwca 1956, a po latach współautor scenariusza do filmu „Poznań ’56” (reż. Filip Bajon, 1996).



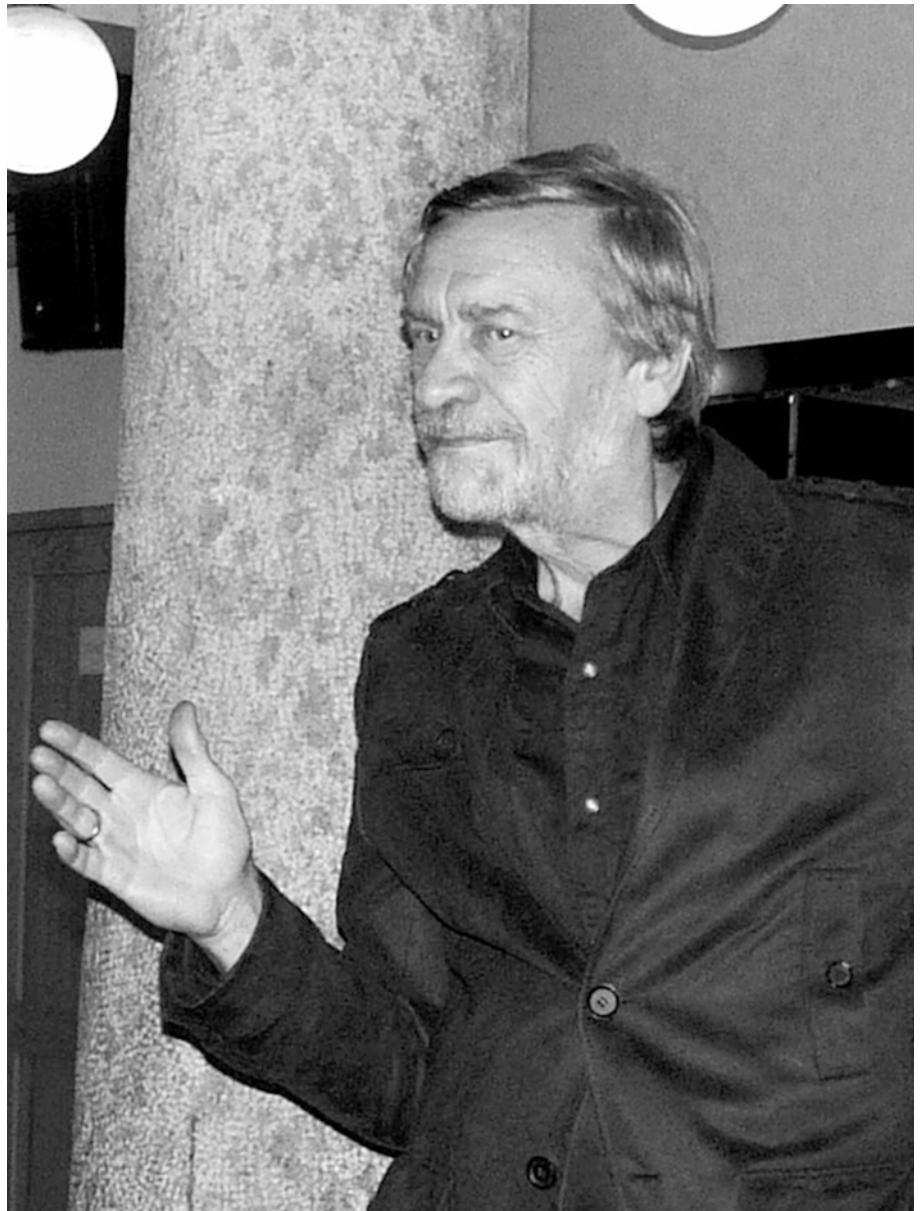
JAROSŁAW ANCZEWSKI

(1954–2016)

Jestem tylko szarą myszą magistracką” – mawiał nieraz Jarek. Nazbyt skromnie: był człowiekiem-instytucją, na którego wiedzy i entuzjazmie opierał się raczkujący świat pozarządowej kultury w Poznaniu. Odszedł w poniedziałek, niemal do ostatnich chwil służąc twórcom i animatorom kultury.

Pracę zaczynał pod koniec lat 70. w Pałacu Kultury (dzisiejsze Centrum Kultury Zamek), gdzie rychło – z przerwą na szefowanie Miejsko-Gminnemu Ośrodkowi Kultury w Buku – przejął kierowanie kluczowym działem Muzyki, Teatru i Folkloru. Współorganizował wiele znaczących wydarzeń o międzynarodowym charakterze, ale wspominając ten czas największą satysfakcją czerpał ze wspierania twórczości amatorskiej, ze szczególnym uwzględnieniem grup dziecięcych. Nie krył dumy, gdy trafiał na kogoś spośród tysięcy dzieciaków, które przewinęły się wtedy przez Pałac – już w roli twórcy lub animatora kultury.

W latach 90. poświęcił się współtworzeniu Centrum Kształcenia Ustawicznego – jako jego kierownik wytyczał ścieżkę rozwoju tej niedocenianej często formie edukacji. Nigdy bowiem nie zadowalał się utartym schematem działania – będąc entuzjastą nowych technologii, z pasją odnajdował dla nich nowe zastosowania i dlatego także dzięki niemu niebawem wnioski na dofinansowanie projektów kulturalnych w Poznaniu będą składane i rozliczane elektronicznie. Od 1999 roku Jarek pracował bowiem w Urzędzie Miasta Poznania, stając się jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy Wydziału Kultury. Tu także rzucał się na niezbadane tereny: współtworzył nową strukturę szkolnictwa artystycznego, wdrażał nowe reguły dotacji dla organizacji pozarządowych (w tym słynne małe granty), animował Komisję Dialogu Obywatelskiego.



Przede wszystkim jednak zawsze BYŁ. Otaaczał opieką nowych adeptów sztuki urzędniczej, pomagał zagubionym w gąszczu przepisów artystom, przekonywał działaniem, że w pracy urzędnika „od kultury” nie ma miejsca na nudę, bo przecież nie ma dwóch takich samych spektakli, festiwali czy wystaw. A gdy w końcu udawało się go przekonać, że nawet on potrzebuje czasem odpoczyn-

ku, zawsze był gotowy pomagać na (dowolną) odległość, choćby i z kutra, na którym na pełnym morzu łowił ulubione dorsze. Wieczny odpoczynek... Nie Jarku, my, prawdziwie szare magistrackie myszy wiemy, że Ty na pewno znajdziesz szybko coś ważnego do roboty na tym lepszym świecie. Koleżanki i Koledzy z Wydziału Kultury Urzędu Miasta Poznania. •

TADEUSZ WIERZBICKI

(1975–2016)

DAREK ROGERS

Zycie jest scenariuszem pisanym codziennie, nie zawsze przewidywalnym i zrozumiałym. Stawia nam wiele pytań, na które znajdujemy lub nie znajdujemy odpowiedzi te prawdziwe jak i te będące wytworem naszej wyobraźni. Na swojej drodze spotykamy przyjaźń, miłość, przyzwoitość, strach, obojętność, nienawiść i złość, co wybierzemy świadomie, a co nieświadomie nikt nie jest w stanie szczerze odpowiedzieć. Spotykamy też ludzi, dla których to, co robimy jest ważne, jest prawdziwe. Muzyka jest malutką częścią naszego życia dla niektórych istotną dla innych obojętną. Kilka ostatnich lat spędzonych w klubach Svejku i Stajenka Pegaza pozwoliło mi realizować moje posłannictwo muzyczne, jakim było i jest propagowanie muzyki autorskiej płynącej prosto z serc tych, co two-

rzą dla wszystkich, którzy cenią sobie szczerłość i prawdę. Poznałem Tadzia przed siedmioma laty, kiedy to zaprosił mnie do zagrania koncertu w Svejku. Po pierwszym koncercie zaprosił mnie jeszcze kilkakrotnie, grałem w duecie z Pawłem, z zespołem Margines, czy też indywidualnie. Rozmawialiśmy wielokrotnie, głównie o muzyce i któregoś dnia Tadzium zapytał mnie, czy nie poprowadziłbym w Svejku jamów i tak się rozpoczęła nasza ścisła współpraca, która wydawała wciąż to nowe owoce, wieczory muzyki autorskiej, konkurs Natchnienie. Dwudziestego dziewiątego lipca w Stajence Pegaza odbył się ostatni koncert z cyklu Wieczory Muzyki Autorskiej, a była to trzy setna impreza muzyczna od początku naszej współpracy. Mieliśmy jeszcze wiele pomysłów, które stopniowo mie-

liśmy realizować, między innymi szkoła perkusyjna prowadzona przez Marka, salka prób dla zdolnej młodzieży z muzyką autorską, warsztaty. Tadzium wspierał mnie w każdym calu był mecenasem i propagatorem tych wszystkich muzycznych działań, a jednocześnie skromny i zawsze pozostający w cieniu wydarzeń. Takich ludzi jest mało, coraz mniej i wraz z jego przedwczesną śmiercią zamknął się pewien pozytywny rozdział w mojej muzyce, moim życiu. Upłynął już przeszło miesiąc, a do mnie jeszcze to wszystko nie dotarło, że nie zapalimy papieroska w wystrojonej komiksami salce, że już nikt nie gra, nikt nie słucha i czy pozostało tylko echo w pustej Sali. Na zawsze zostaną we mnie miłe wspomnienia i pamięć o człowieku, który wiele zrobił dla innych. •

STEFAN POPŁAWSKI

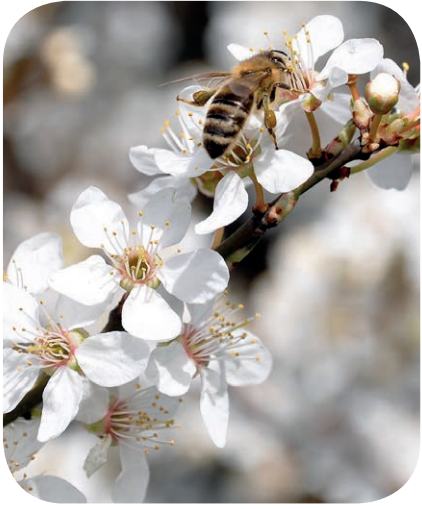
(1945–2016) Artysta, Tkacz, Malarz, Rzeźbiarz

TAMARA PRZYPIS

Na Jego losy i twórczość wpłynął prof. Tadeusz Bursztyński w latach szkolnych. Egzamin maturalny zdał w liceum w Głogowie i do którego uczęszczał z moją mamą Ireną. Razem z rodzicami chcąc nie chcąc przywędrowali po wojnie czyli na ziemię odzyskaną z Michałowa w woj. nowogrodzkiej. Po skończeniu Szkoły Dekoratorstwa i Reklamy studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Dyplom uzyskał w 1970 roku i od tego czasu pracował twórczo. Pracując wytrwale, zdobył wiele laurów, nagradzających wybitnego artystę, zajmującego się tkaniną artystyczną. Jego genialny pomysł wykorzystania w tkaninie projektu do którego inspiracją był negatyw fotograficzny pozwolił Mu stać się postacią, której nazwisko zaistniało w encyklopediach sztuki i nie tylko. Często

mawiał, że to pozwala Artyście zachować ziemską niesmiertelność. I to się udało, a poza tym, już w Poznaniu, robił świetny sok pomidorowy z czosnkiem to wspomnienie wschodnich korzeni. Goszcząc u Niego i rodziny można było się raczyć do woli. Lubił też popijać herbatę rumiankową, gawędząc o tym o tam tym zawsze z poczuciem humoru i wielką serdecznością. W pamięci całej mojej rodziny na zawsze zostaną te chwile uczące nas, jak w przypadku mojej, techniki i sztuki tkactwa, (to krótka współpraca przy „Śmierci w Wenecji”) jak i miłości do życia, sztuki i świata... Cenił godność, pokorę i szlachetność, szczególnie po ostatnich wyborach. Zastanawiał się już w latach osiemdziesiątych czy Jego tkanina trójwymiarowa jest rzeźbą, bo i wcześniej a wówczas szczególnie wszelkie dziedziny sztuki intergrując się i mieszając się ze

soba zaczęły tworzyć jedno czyli niezaprzeczalny sztuki. W przypadku Stefana także tworzył tkaniny i aplikacje, zdobywając laury na najważniejszych wystawach tkaniny artystycznej (Międzynarodowe Biennale Tkaniny w Lozannie, Biennale Miniatur Tkackich w Szombathely, Węgry) oraz w Meksyku, USA i Izraelu. Brał udział w ponad 200 wystawach międzynarodowych. Jest też Laureatem wielu nagród i medali na najważniejszych konkursach tkaniny artystycznej. Zdobył Grand Prix na Międzynarodowej Wystawie Sztuka w obronie środowiska – Warszawa 1089 r. Liczne nagrody za tematy sportowe (I nagroda w konkursie olimpijskim Warszawa, 1986, medale PKOL Los Angeles, Sarajewo. Jego prace znajdują się w muzeach i galeriach polskich i zagranicznych. Stefan Poplawski jest i będzie z nami, a po nas tym bardziej... •





KOŚCIOŁY (WARTE) POZNANIA

Fara – poznańska perła baroku

W pierwszym odcinku naszego subiektywnego mini przewodnika po poznańskich kościołach opisana została najważniejsza świątynia miasta – Katedra, w kolejnych zaś inne ciekawe i mające długą historię świątynie znajdujące się w jej okolicy.

BARTOSZ KAJ



Dziś przyszedł czas na drugi najważniejszy kościół w mieście, a mianowicie Bazylikę kolegiacką Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, św. Marii Magdaleny i św. Stanisława Biskupa, czyli po prostu Farę Poznańską, znajdującą się przy ul. Gołębiej, tuż przy płycie Starego Rynku – w samym sercu miasta.

Według wytycznych kościelnych fara to drugi najważniejszy kościół miasta. Dotyczy to miejscowości posiadających (tak jak Poznań) katedrę, która jest pierwszą i najważniejszą świątynią. W przypadku braku katedry fara pełni rolę najważniejszej świątyni i tak jest w wielu miastach jak choćby we Wolsztynie.

Poznańska fara jest jednocześnie kościołem kolegiackim. Jej początki datuje się na rok 1651, kiedy to sprowadzeni do Poznania jezuiti rozpoczęli budowę nowego kościoła w stylu barokowym. Zakończyła się ona dopiero w roku 1701, a sam kościół został poświęcony w 1705 roku. W tym miejscu należy wspomnieć także o innej bezpośrednio związanej z tym miejscem budowli. Mowa rzecz jasna o także barokowym Kolegium jezuickim zbudowanym w latach 1701 – 1733, które znane jest praktycznie każdemu mieszkańcowi Poznania, bowiem właśnie tu znajduje się obecnie Urząd Miasta.

Do 1802 roku w bezpośrednim sąsiedztwie fary (przy obecnym Placu Kolegiackim) stał też inny kościół - Kolegiata św. Marii Magdaleny. Po definitywnej rozbiórce świątyni z powodu fatalnego stanu zniszczonej budowli parafia farna przejęła kościół po kasowanym właśnie zakonie jezuitów - dzisiejszą farę. Pamiątką po dawnej kolegiacie jest rzeźba Chrystusa Bolejącego wykonana około 1430 roku znajdująca się w farze czy też serce dzwonu (częściowo wbite w ziemię), które obecnie można zobaczyć na terenie Urzędu Miasta.

Dokładnie w dniu 29 czerwca 2010 roku poznańska bazylika kolegiacka otrzymała honorowy i szczytny tytuł bazyliki mniejszej (basilica minor), którym do tego czasu mogła się posługiwać jedynie poznańska katedra (od 1962), a został jej nadany przez papieża Benedykta XVI.

Bazylika kolegiacka to jeden z najbardziej znanych zabytków Poznania. Fara jest wybitnym przykładem baroku i to nie tylko w skali miasta, ale całego kraju. W tym stylu zbudowanych jest jeszcze kilka innych poznańskich kościołów, lecz mimo ich wielkiej wartości żaden nie jest w stanie dorównać farze. Jest to największa barokowa świątynia w Poznaniu, a i jedna z największych w Polsce.

Kościół jest obecnie w doskonałym stanie technicznym, który zawdzięcza gruntownemu remontowi sprzed dosłownie paru lat. Jak można przeczytać na stronie parafii „Projekt w 75 % sfinansowany z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach ZPORR oraz w 13% z dotacji Urzędu Miasta Poznania”. Fara posiada też cały wieniec przepięknych kaplic.

Kolejnym niewątpliwym atutem tej właśnie świątyni są unikatowe wręcz w skali ogólnopolskiej organy. Instrument zbudowany przez wybitnego Friedricha Ladegasta do dziś zachwyca i urzeka brzmieniem. Niektórzy specjaliści oceniają ich barwę nawet wyżej niż tych z Leżajska czy gdańskiej Oliwy. Nic więc dziwnego, że fara z racji swojej olbrzymiej wartości (nie bez powodu często nazywana perłą baroku) i fantastycznemu położeniu, dosłownie w samym sercu miasta, jest żelaznym punktem dla niemal wszystkich turystów zwiedzających Poznań wraz z jego zabytkami zlokalizowanymi w obrębie Starego Miasta.

Warto wspomnieć, że to właśnie do fary na Mszę św. udają się uczestnicy organizowanego od paru lat Orszaku Trzech Króli w dniu 6 stycznia – zaraz po finale pochodu i odśpiewaniu paru kolęd na Starym Rynku. Z poznańskiej kolegiaty wyrusza też tradycyjna „miejska” Droga Krzyżowa przechodząca przez centrum miasta na Plac Mickiewicza, która odbywa się wieczorem w pierwszy czwartek Wielkiego Postu. Przez cały rok organizowane są także koncerty organowe. Ciekawostką jest też lipcowy festyn farny Warkocz Magdaleny. Fara to miejsce, gdzie w dni powszednie (w ciągu roku z wyłączeniem okresu lipiec - sierpień w godzinach 6.30 – 19.30) oraz w niedziele (10-11, 18-19) można skorzystać z Konfesjonału Stałego Dyżuru.

